

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/155

1960



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. NOWAKOWSKI :

SZTAMBUCH

A. BOBKOWSKI :

BIOGRAFIA WIELKIEGO KOSMOPOLAKA

A. JANTA :

FLET I APOKALIPSA

SPIS RZECZY

Tadeusz Nowakowski:	<i>Sztambuch</i> (I)	3
Andrzej Bobkowski:	<i>Biografia wielkiego Kosmopolak</i> ..	19
K.A. Jeleński:	<i>Czyste malarstwo czy poetyka</i> ..	33
Aleksander Janta:	<i>Flet i Apokalipsa</i>	46

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Podstawy polityki neutralizmu</i> ..	56
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	66

SPRAWY I TROSKI

Janusz Kowalewski:	<i>I znowu niewola</i>	73
Roman Królikowski:	<i>Uhuru</i>	84

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Kazimierz K.:	<i>Wspomnienia wrześniowe</i>	93
---------------	-------------------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

Czesław Miłosz:	<i>Elegia na kłopoty z polszczyzną</i> ..	112
Paweł Hostowiec:	<i>Puryzm językowy a przekład</i>	114
Zygmunt Markiewicz:	<i>„Wielka niedola” języka polskiego we Francji</i>	117
K.A.J.:	<i>Polskie wystawy w Paryżu</i>	122

KSIAŻKI

Aleksander Kawałkowski:	<i>Polska w drugiej wojnie światowej</i> ..	125
Zbigniew Jordan:	<i>„Fragmenty Filozoficzne”</i>	132
Piotr Wandycz:	<i>Górny Śląsk w polityce polskiej</i> ..	139
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	145

J. Beckowa, M. Borwicz, L. Dende, K.M. Dziamski, A. Manteuffel, M.K. Pawlikowski, Wł. Pobóg-Malinowski, St. Sęp-Szarzyński, B. Taborski:	<i>Listy do Redakcji</i>	145
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Wrzesień – Septembre** **1960**

INSTYTUT



LITERACKI

DALSZE WPLATY NA DOM "KULTURY"

Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz czwarty ..	17,50	NF
Antoni Zieliński, Elisabethville (Congo)	18,00	„
Lech Krysiwicz, Montreal, Que. (Kanada)	10,00	„
Mirosław Wierzbicki, Brighton, Mass (USA) po raz czwarty	25,00	„
Jan Bortkiewicz, Newark, N.J. (USA)	20,00	„
St. Kowalski, Miami, Fla. (USA)	20,00	„
Stefan Tuszak, Harrison, N.J. (USA)	5,00	„
Anonimowo (Kanada)	15,00	„
Roman Grocholski-Jordan, Detroit, Mich. (USA)	30,00	„

DZIEKUJEMY

Sztambuch (I)

W. A. Zbyszewskiemu, który zaklina mnie na wszystkie świętości, abym wreszcie przestał pisać o Niemczech.

„Przyszłość niektórych narodów zależy od przeszłości ich sąsiadów”. Uderzony trafnością sformułowania prof. Toynbee, zapisałem sobie to zdanie do notesu z cytatai, gdy zadzwie-
czał dzwonek.

Nieźla zabawa: znowu listonosz wydobywa z torby pękata księę. Album. Jeszcze jeden sztambuch. Safianowa okładka. Metalowa sprzączka. Złożony grzbiet. Taki sam album, do jakiego kiedyś, przed laty, wpisywało się bez troskie elemeledudki w rodzaju:

„Biją się Turki, biją się Greki,
lecz nasza miłość potrwa na wieki”...

Ba, jest i czuły list w załączeniu z którego wynika, że narody powinny się przyjaźnić między sobą, a wojna jest przekleństwem dla ludzkości. Siusznie. Album ten przysyła mi poleconą, ubezpieczoną pocztą pewien dorosły, sympatyczny pan z niebardzo podłego miasta Baden-Baden w Niemczech zachodnich. Dentysta z zawodu.

Niemcy, to sentymentalny naród. *Ein Volk von Lieschen Müllers* — jak sami nieraz mówią o sobie. Niektórzy znawcy twierdzą nawet, że właśnie w tej sentymentalnej podściółce giez okrucieństwa najchętniej składa swoje jajeczka. Wiem, wiem: mówiąc o cechach tego lub innego narodu, bardziej niż ognia trzeba się wystrzegać wytartych *clichés* („szeroka dusza rosyjska”, „angielska flegma”, „polski bałagan”). Jowisz naddunajski, Karl Kraus, wołał kiedyś, że największe niebezpieczeństwo dla świata stanowią *terribles simplificateurs*, uproszczacze, uogólniacze, straszni fryzjerzy jednego grzebienia. Ale nic na to nie poradzimy, że czujne (choć może nieco uprzedzone) oko i ucho nasze przyswiadcza istnieniu aż nadto

znajomego świata. Nieodmienny krajobraz upodobań. Te same rekwizyty. Zwłaszcza po miasteczkach, gdzie leżą prawdziwe Niemcy.

Tak, ile tutaj słodkich altanek, spowitych w bluszcz, ile gipsowych karzełek w ogródkach i cikliwych piosneczek o polnej rzyżce, a niemal w każdym parku — o, *wie süß!* — uśmiechnięty chłopaczek z kamiennymi loczkami trzyma pod pachą rybę. Z omszonego pyszczka leje się woda. Infantylnie wierszyki, wyhaftowane na ręcznikach, oprawione w ramki, strąsają na tapetach. Ile „romantycznych” jeleni zapatrzyło się na oleodrukach w pełnię księżyca. Rykowisko brzydoty. W bawialni, i owszem, powieszają nawet coś nowobogacko abstrakcyjnego, kleks nad kleksami, ale przy czynnościach intymnych: jedzeniu, piciu, liczeniu banknotów przed zaśnieciem, powiększaniu rodziny, najprzyjemniej jest wodzić okiem po zegarze z kukułką, zegarze ze Schwarzwald. Kicz as kicz can.

Któryś ze skrzętnych spisywaczy plotek (później nazywanych historią powszechną) napisał kiedyś, że rewolucje są ulubionym zajęciem bezrobotnych adwokatów. A jak okrutne bywają odwety pseudoartystów czy pseudomyślicieli! Kto przypatrzy się takim zawiedzionym w swoich *ukrytych*, (a więc najważniejszych) ambicjach intelektualnych czy artystycznych postaciom jak niedoszły malarz, estetyczny Matysiak do kwadratu, Hitler, czy metniak filozoficzny Rosenberg, czy choćby lichy wierszokleta Baldur von Schirach, spostrzeże, że jednym ze znaków szczególnych hitleryzmu był Wielki Kicz. A jacy oni byli przy tym sentymentalni! Himmler zachwycił się wszelką tandetą i chałturą, gorliwie krzewił podrabianie piosenek ludowych. Kochał kwiaty polne. Wypowiadał się za ochroną przyrody. Zachowała się fotografia: uśmiechnięty pan w binoklach kucnął w przysiadzie, aż mu się czarne bryczesy niebezpiecznie napięły na udach, aby nacieszyć oczy widokiem pierwszej sasanki na łące pod Garmisch. Hitlerowi, gdy ze skalnego okna w Berchtesgaden podziwiał zachód słońca w dolinie, oczy wilgotniały ze wzruszenia. W loży monachijskiej opery Marchoß Göring odwrócił kiedyś twarz zroszoną łzami: biedna Cho-Cho-San odebrała sobie życie w drugim akcie „Madame Butterfly”. Oj, kochano wszelkie Pucciniady, kochano! Martin Bormann, jeśli go sądzić po listach do swej Gerdy był ostatnim Filonem XX wieku...

Zaprawdę, „straszni mieszczanie” nie są wymysłem Tuwima. Żyją i kwitną po dzień dzisiejszy bodaj we wszystkich grupach społecznych bez wyjątku. Obcisły włoski garniturek (zamiast skórzanych porciat na szelkach lub turystycznych „pumpów”), francuski burgund (zamiast plebejskiego piwka), strzelista limuzyna-meteor z aluminiowymi skrzelami (zamiast bryczki) tylko zewnętrznie zmieniają człowieka. Pod skorupą zaś *Michel bleibt Michel*. I to z przerażająco zacnego „Hermana i Doroty”.

Dlaczego w sentymentalnym Michelu wielu myślących Niemców upatruje niebezpieczeństwo nie tylko dla swego boleśnie doświadczonego narodu, ale i dla reszty świata? Na ten temat, od dawna aktualny, wypowiedział się przed wiekiem (choć i w innej intencji i z „innych pozycji”) Hoffmann von Fallersleben (późniejszy autor „Deutschland über alles”), sztydząc ze swoich rodaków bez litości: „Spokój jest pierwszym obowiązkiem obywatela”. Kufelek, fajeczka, szlafrok, niedzielny spacer jako namiastka umysłowego ruchu. O resztę niechaj łamią sobie głowę inni. Ci na górze. (My też mamy podobną receptę: „Czyń każdy w swym kółku co każe Duch Boży, a całość sama się złoży”. Nieprawda! Nic się samo nie złoży!) Michel chętnie popada w słodką drzemkę, w moralną neutralność, mózg polityczny porasta mu tłuszczem łatwości, sumienie rdzewieje, a gdy go wyrwą z duchowego „deutsche-far-niente”, zrywa się na równe nogi, chętnie, aż za chętnie, spełnia swoje „święte obowiązki”. Łatwo go wtedy na wszystko namówić. Choćby na Majdanek.

Posłuszeństwo wobec przełożonych, to bodaj najgroźniejsza wada narodowa Michela. Doskonały znawca Niemiec, historyk francuski Edmond Vermeil, doszukując się korzeni zła, sięgnął daleko, bo aż w epokę Reformacji. Zdaniem jego, ktokolwiek po Reformacji wysuwał w Niemczech teorie gloryfikujące państwo, natrafiał na grunt użyźniony przez protestancką koncepcję dyscypliny społecznej i lojalności wobec władzy. (Może to i słusza teza w odniesieniu do Prus. Czym sobie tłumaczyć kult posłuszeństwa w tradycyjnie katolickiej Bawarii?). Wpływ religii na błogosyt moralno-polityczny Michela? Wiekowe drogowskazy w rodzaju: „...a cesarzowi, co cesarza jest”, „król z bożej łaski”, *cuius regio, eius religio* na pewno nie przyczyniły się do rozzagwienienia w Michelu „ducha, wiecznego rewolucjonisty”. Sprawiedliwość każe dodać, że pod kopułą takich pojęć żyli przez pokolenia nie tylko pradziadowie Michela, ale i inne narody europejskie. Nasuwa się więc pytanie, dlaczego rozwój sytuacji duchowej jednostki i społeczeństwa odbył się tutaj inaczej niż gdzie indziej? Co wpłynęło na tę odmienność? Kiedy się rozeszły drogi między Niemcami, a innymi narodami tej samej cywilizacji? (Pomyśleć tylko, że światło prawa magdeburgskiego świeciło kiedyś od Flandrii po Podole!).

Ostatni rabin Berlina, dr Leo Baeck, po oswobodzeniu z Teresina wyjechał do Ameryki. Gdy go zapytywano, czy to, co się wydarzyło w Niemczech, w czasie brunatnej nocy, mogłoby się z „równym powodzeniem” wydarzyć w Ameryce lub w Anglii, zdecydowanie zaprzeczył. — „Nie! — powiedział — Po stokroć nie! Zagadnienie jest nie tyle natury religijnej czy moralnej, co politycznej: łączy się z instytucją wolnego obywatela, która właściwie w Niemczech nigdy nie istniała. Naprawdę wolny obywatel, to ten, który prowadzi nieustanny spór ze swoim państwem, a któregoś dnia wstaje i mówi na głos: „Dotąd, tylko dotąd, i ani kroku dalej!”.

Emigranci niemieccy w Londynie („Klub 1943”) wydali w czasie wojny imponującą monografię pt. „Cztery wieki walki z tyranią w Niemczech”. (Od Ulricha von Hutten po Sparta-kusa). Warto się zagłębić w tym zbiorze. Choćby po to, aby do słów rabina Baeka dorzucić jedno zdanie uzupełniające: szlachetnych śmiaków, którzy mieli odwagę powiedzieć „Nie!”, nigdy nie brakowało w Niemczech.

Dlaczego nie zdobyli rządu dusz w narodzie? Co zadecydowało o ich klęsce?

Długi list gończy

Z punktu widzenia badań bakteriologicznych nad tutejszą kulturą wcale nie jest pewne, co stanowi większą groźbę dla duchowego organizmu mieszkańców altanek: laseczniki Zyg-frydów, Hagenów, Gunterów, Brunhild i Krymhild z Nibelungów czy prątki łzawych Werterów? Potężny śpiew Wal-halli czy niewinny zegar z kukułką? „Zmierch bogów” czy wierszyki Wilhelma Buscha?

Wagner, oskarżony nr 1. Piewca „niemieckiego miecza” — wiemy. Truciciel, podżegacz, hodowca demonów — wiemy. Zresztą, co z filozoficzno-estetycznej katapulty przeciwko gromkiemu heroldowi swoistej mitologii wystrzelić należało, z pasją zawiedzionego wielbiciela, ba — wyznawcy, wystrzelił już Nietzsche w swoim „Fall Wagner” i „Nietzsche contra Wagner”. (Tutaj wtrąć, że polski czytelnik „Jenseits von Gut und Böse”, który padł ofiarą braku moralności w świecie i z nazwiskiem filozofa kojarzy sobie takie formułki jak „nadczołowiek”, „instynkt życia ponad intelektem”, „patoś zdrowia”, „afirmacja woli”, „Bóg umarł”, „jestem prawem sam dla siebie”, „żyjemy niebezpiecznie”, zauważy sceptycznie: „Przyganiał Nietzsche Wagnerowi a sam smoli”). Nie brak również pośpiesznych odczytywaczy tekstów, którzy gotowi są wyprowadzić swoistą „Genezis z ducha”: Schopenhauer-Nietzsche-Spengler-Rosenbergowska brechta „Mit XX w.” Marksista Lukacs w swoim „Zniszczeniu rozumu”, śledząc filozoficzną drogę Niemiec do Hitlera, zgotował irracjonalistycznej myśli „reakcyjnej” Trybunał Norymberski w wielkim stylu. Posadził na ławie oskarżonych m.in. Schellinga, Schopenhauera, Nietzschego, oraz swego nauczyciela: Maxa Webera. Faszyzacja inteligencji niemieckiej — napisał z rozpędem — byłaby niemożliwa bez... Jaspersa. Przy lekturze Lukacsa pamiętać trzeba, że dzieło jego powstało w określonych warunkach: oficjalny werdykt Moskwy całą niemarksistowską filozofię po śmierci Hegla skazał na „reakcyjność”.

Wagnera, powściągliwie mówiąc, nie lubię. Nie pojmuję, jak Baudelaire mógł się zachwycać „Tannhäuserem”. A jednak złowrogie pohukiwanie Wotanowych rogów w świecie Wagnera jakoś mnie nie przeraża, i wcale nie jestem pewien,

czy ów brunatny parweniusz z rodu Schicklgruberów, który podpalił świat, rzeczywiście wziął się z perkusji. Nie kotłów się lękam, surm bojowych i bębnow, ale beztróskich fujareczek i flecików. Tych niewinnych pstrągów w strumyku, kołysaneczek, smykania fioleczków leśnych, malowanej różyczki polnej. *Hat' ein Knab' ein Röslein sehn...* I pluszu w saloniku, i obrazów Spitzwega, i chórów męskich, wyspiewujących przy *stammtisch'u* radosne „hallii-haloo” weberowskich wolnych strzelców, i „Co mi las opowiada” — muzycznego oleodruku Mahlera. *Espressivo* mistrza pseudoczułości. Maestro klękał na widok dymiących skib ziemi. Natchnienia szukał w gęstym borze. Zaszlochał kiedyś z podziwu, gdy łososiowa róża z gatunku „Rumieniec dziewicy” zakwitła w ogródku. *Wie süß, edler Gustav!*

A najlepsze przy tym, że ten niezamierzony współbudowniczy niemieckiej *Gemütlichkeit*, sympatyczny obieżyświat, wieoletni k.k. Hofoperdirektor w Wiedniu wcale nie był Niemcem i zawsze tylko najlepsze miał intencje. Sam mówił o sobie: „*Mein Gott*, po trzykroć jestem przybłądą: jako Czech w Austrii, jako Austriak w Niemczech, i jako Żyd na całym świecie”. Bynajmniej nie jego ambitne symfonie (tak bardzo cenione dzisiaj w Holandii), tylko banalne „*Wäscher-mädel-tänze*” zachwyciły Berlin, Krefeld, Monachium, Kolonię czy Essen, i po dziś dzień straszą wśród brzydkich mebli, w niedziele po południu, po kawie z kuchem i schagsahną.

Pochodzenie w takich wypadkach nie gra większej roli. „Po owocach ich poznacie je”. Heinego też nazywano obcym ciałem w narodzie (*ein Fremdling*); w rzeczy samej — był duchowym cudzoziemcem, chciał przecież czarnemu orłu wyrwać pióra i obcinać szpony, a jednak jego „*Mailieder*” i altankowe pobrzęki na gitarze nie najgorzej przyczyniły się do złego rozsentymalizowania burszów na prawym brzegu Renu. Trudno mu, oczywiście, robić z tego tytułu (pośmiertnie, nota bene) wymówki, że ten czy ów oficer-pogromca partyzantów po „skończonym zadaniu” nucił sobie (w sto lat po wielkim Düsseldorfczyku): „*Ich weiss nicht was soll es bedeuten, dass ich so traurig bin...*”. Ale tak było. I to daje do myślenia. Przy czym, powtarzam, był to żarliwiec, wiodący swój bój z Fryderykiem Wilhelmem IV i z królem Hanoweru Ernstem Augustem i z Bawarem Ludwikiem I i z carem i z Metternichem, i z cenzurą i ze szpiclami; potykał się z ojcami późniejszych patriotów z SA czy SS; buntował się przeciwko takiej ojczyźnie, z której do Londynu uchodzić musieli w zeszłym stuleciu — Marx, a w obecnym Freud. A jednak... *Habent sua fata...*

Bakteriolog kultury pamiętać musi o truizmie, że muzyka nie tylko wyrasta z psychiki zbiorowej, nie tylko ją wyraża, lecz również ją kształtuje. A już niewiele narodów na świecie ukształtowała w tym stopniu co Niemców. Banalna liryka późnych neoromantyków, mętniactwa wczesnej moderny w połą-

czeniu z pustym wilhelmińskim patosem przeszły nad tą ziemią jak zakaźna choroba. Taki, na przykład, król złego smaku, Ryszard Strauss, mogący stanowić podmiot osobnego aktu oskarżenia, czy Max Reger, czy jakże typowy Hans Pfitzner, ptak wypchany, więc niewysokiego lotu, twórca przedziwnych utworów: „Z niemieckiej duszy”, „Serce”, (a jakże!), „Róża z ogrodu miłości” (a niech dunder święnie tę neoromantyczną obsesję róży!). Hoży Hans nie tylko głosił hasło tzw. „Rückbesinnung”, ponownego uprzytomnienia sobie głównych wartości ideowych szkoły romantycznej, przepojonej, oczywiście, krzepiącym i ożywczym nacjonalizmem, ale jeszcze pokazał jak można przy pomocy muzyki zepsuć najlepsze liryki Eichendorfa. A że koniec wieniec dzieła, przywdział na starość mundur partyjnika.

Ktokolwiek zada sobie trud prześledzenia związków między fałszywym sentymentalizmem a okrucieństwem ludzkiej bestii, bez zdziwienia spostrzeże, że krew ma smak s ł o d k a w y . Droga do piekieł wybrukowana jest neokami cukru.

I chociaż zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie utożsamianie etyki z estetyką (Górnicki: „Z Boga się piękność rodzi, a jest nie oddzielona od dobroci jako gorącość od ognia”), podejrzewam, że diabeł, wieczny imitator, lubi kicz, zajada się sztucznym miodem, a nocuje pod złocącym stropem, wśród fałszywych ludwików w owym przelukrowanym zamku Neuschwanstein, gdzie podrobiona uroda osiąga stopień brzydoty na wskroś metafizyczny. (Myślę jednak, że z tą samą nieufnością, co moja wobec pewnych zjawisk i wynaturzeń kultury niemieckiej, można by się zastanawiać w jakim stopniu pewne gusta epoki wiktoriańskiej skropiły się w... angielskim obozie koncentracyjnym dla Burów, i jaką to sentymentalną piosenczkę nucił uzbrojony wykonawca kiplingowskiej misji *The White Man's Burden*, zanim swoją czułość skrupiał na hinduskiej skórze). Nie rozumiem tych profesorskich, heidelberskich płaczek, które oplakują *Verlust der Naivität* (utrata naiwności) lub rozpaczają nad de-sentymentalizacją republikanów związkowych. Zbyt piękne, aby było prawdziwe.

A może pośród postępującego racjonalizowania tego, co irracjonalne (myśl tę podsuwa nam lektura Jaspersa) słodki sztambuch czy wierszyk o gwiazdeczce mogą uchodzić za słomkę, której się kurczowo chwyta współczesny topielec na morzu technicyzacji? Warto się nad tym zadumać. Czym sobie wytłumaczyć niewygasły afekt Michela do gipsowego karzelka w nadreńskim ogródku? Jaką windą zjechać w głąb tego zjawiska? Socjologiczną? Nie ma przecież dziś nauki modniejszej nad socjologię...

Sonda Orwella

Tak jest, pisarz powinien dostrzegać to, czego nie dostrzegają inni. Orwell, który odznaczał się nie tylko umiejętnością stosowania techniki „oka zwolnionego”, ale i roetgenowską przenikliwością spojrzenia, istny mityczny Linceusz, w jednym ze swych pasjonujących (jak zawsze) szkiców zastanawiał się nad społeczno-gospodarczym pochodzeniem wulgarnej brzydoty pocztówek, sprzedawanych w angielskich kąpieliskach. Uderzyło go, bodaj w Brighton, że ulubionym tematem tych sadystycznych bohomazów-karykatur są otyłe, złe, czerwono-nose, stare ropuchy w przykuszach kostiumach kąpielowych, wiedźmy nie pozwalające mężom po pracy na kufelki piwa w pubie, na karty, na igraszki ze swywołnymi rusalkami...

Jaka potrzeba zrodziła to swoiste „zamówienie społeczne”? Skąd się wziął zawrotny popyt na ten właśnie rodzaj „humoru”? Stara żona w charakterze koźlicy ofiarnej. A może to coś więcej: wentyl bezpieczeństwa, katalizator, piorunochron? Temat, zdawałoby się, wiecznie aktualny, „biologicznie” zrozumiały (vide choćby te odęte gęby osiemnastowiecznej babo-zwierzyny w „Southwark Fair”, „Gin-Lane”, „Beer-Street” czy „The Rake's Progress” bezlitosnego Hogartha; *every woman is at heart a Rake* — szydzi Pope), ale dlaczego właśnie wśród wczorajszych nędzarzy, dziś już jako tako opierzonych, niemal *middle-class*, karykatury antyżonine przeżywają szczególną, wręcz podejrzaną „koniunkturę”? Formuła: „gust jest kwestią edukacji” nie wystarczy. Z jakich czasów datuje się zmowa jadowitych fabrykantów pocztówek? Sprzed rewolucji przemysłowej? Z okresu emancypowania się warstw upośledzonych? „Baza” zmieniła się od tamtych czasów nie do poznania. Zatem wiecznie fatygowana „nadbudowa” nie nadąża? „Świadomość szerokich mas”, jak się to mówi, z trudem kuśtyka za galopadą „przemian”, i pewnie nigdy jej nie dogoni. Hm, a więc w tych po dziś sprzedawanych w Brighton obrazkach korpulentnych megier z parasolami i wałkami do ciasta pobrzmiwać by miały pośmiertne echa dawnej bezsilności warstw pokrzywdzonych? Tej nieszczęsnej biedoty, która nie mogąc zmienić warunków społeczno-gospodarczych, całą swoją stęzoną nienawiść obracała przeciwko... ofiarom tych warunków: przedwcześnie starzejącym się, zaharowanym towarzyskom jakże psiego życia?...

Efektowne, literackie, ale czy trafne? Czy za sto lat, kiedy kobiety w ogóle nie będą pracować i przedłużą swoją młodość do lat siedemdziesięciu, znikną mściwe karykatury żon na niewybrednych pocztówkach w Brighton i St. Leonards-on-sea? Wątpliwe. A co będzie, jeśli jutro ktoś odkryje nową jaskinię w Pirenejach i oczom zdumionego historyka sztuki ukaże się na ścianie, zamiast zwierząt kopytnych, rewelacyjna karykatura człowieka przedhistorycznego: rozjuszona *hic mulier* z ka-

mienną maczugą w rękę? Z jakim to wtedy pośpieszymy „kluczem”?

...i naszych tropicieli

Zart żartem, ale próby zbyt odkrywczej interpretacji zjawisk obyczajowych; interpretacji, jak się to mówi, „wzbogaczonej o nowe narzędzia krytyczno-poznawcze”, dość często kończą się wycieczką na manowce. Przykład pokrewny, z historii literatury. Czytam w jednej ze srogich rozpraw polonistycznych, że tu i tam pojawiające się w twórczości Gałczyńskiego zwroty o biednym, zahukanym tatusiu są głosem pokolenia i stają się w pełni zrozumiałe na tle panującego wówczas w Europie kryzysu gospodarczego. Wywód prosty jak świca. Bezrobocie doprowadziło do poważnego osłabienia tradycyjnego autorytetu żywiciela rodziny. Nie mógł jej wyżywić, bo nie miał z czego. „Deprecjacja ojca”. Cios w instytucję jako taką. Stąd właśnie ta podświadoma pogarda przedwojennych pisarzy dla biednego „tatusia”...

Tęja, a może się jeszcze dowiemy na jakim to tle ekonomicznym biblijny Cham natrząsa się w Pierwszych Księgach Mojżeszowych z nagości ojca swego, Noego? Jak odkrywczość, to na całego. Po co sobie żałować? I tak już w niektórych kołach naukowych przebąkują, że romantyczne przesła miłości Adama do Maryli ugięły się pod ciężarem złych zbiorów w Tuhanowiczach.

Wracając do moich Niemców: przemysłne próby jakiegś arcyracjonalnej czy zgoła „klasowej” interpretacji afektu Michela do sztambuchów i Gartenzwegów, niestety, do żadnych odkryć Ameryki, a raczej Atlantydy, nie prowadzą. Nawet Zakład Socjologii i Historii Kultury Polskiej Akademii Nauk niewiele by tutaj wskórał. Wytrych społeczno-gospodarczy, tak chętnie coś tam obnażający i demaskujący, czy tylko „ukazujący mechanizm”, żadnych tutaj skrytek obyczajowych nie otwiera, choćby dlatego że Michel w szlafmocy jest klasowo wszechobecny. Westchnijmy tylko. Sztambuch jest nieśmiertelny. Od brightońskich pocztówek trwalszy. A gipsowy karzelek w ogródku przeżyje nas wszystkich.

Album na etażerce

I jeszcze jeden relikw ujdzie cało. Relikt, którego ani rdza, ani mól ani złodziej...

W dłużącej się już nieco, jak na moje nerwy, emigracyjnej odysei po świecie, zjechałem, podobnie jak inni współpelnigrzymi, spory szmat ziemi, obilem się o setki najrozmaitszych hotelików, pensjonatów, *bed-and-breakfast-room*ów i tym podobnych falsyfikatów własnego kąta. Homo bidgostiaensis z

piwa i kości, wyhodowany na ziemiach należących niegdyś do Niemców, na każdym z tych postojów odczuwałem brak pewnego drobiazgu natury towarzysko-obyczajowej. Otóż gdziekolwiek zawiesił zakurzone sakwy na pątnicznym kosturze, czy to był motel na Florydzie, biały kolos w Hawanie, szklany kurnik w Mexico-City, krypta w Wenecji, parszywa rudera w Chicago, stylowy półklasztorek w Granadzie, ćwierć *château* pod Tulużą, pół-bajzelek w Paryżu, pluskwiarnia w Barcelonie, *quasi castellum* w Palermo, podniebna nora na Manhattanie, okopcona wylęgarnia samobójców w Manchesterze, czy schludna facjatka w Amsterdamie, jakoś nigdzie nie natrafiałem na instytucję „pamiątkowej księgi gości”. Tu i tam widywałem podobne albumy w Austrii i Szwajcarii, ale ojczyznę ich od pokoleń są Niemcy.

Wyjeżdż w góry lub nad morze, a bodaj w każdym pensjonacie ujrzysz na etażerce opasłe tomisko z pozłacanym grzbietem. I letników zobaczysz płci obojga, jak z językiem przekrzywionym w kącie ust, niby dzieci w szkole do kajetu, z wielkim, mozołnym zapalem wsmarowują do albumu szarotki, mewy, jelonki, morskie latarnie. Piszą o drewnianym młynie i strumyczku. O brzozywej ławeczce z sercem wyciętym na poręczu. O lipie szumiącej przed studzienką. (Żałosny bohater Henryka Manna, Diederich, dusza poddańcza, lubi Lohengrina, bo tam „niemiecki szumi dąb”). Parada wytartych liczmanów. Zbiorowa potrzeba ckliwości. Równie silna jak chęć zajądania się zakalecem *Heimatfilmów*. Typowy bohater: der Förstersohn, syn leśnika. Tęsknota człowieka cywilizacji technicznej do natury? Jan Jakub z Genewy *redivivus: retour à la nature?* Może. Oni zawsze tacy byli. Jeszcze przed zstąpieniem do piekieł techniki. Z jaką radością w oku pokazywał mi niedawno młody liryk z Zagłębia Ruhry zdanie Jean Giono: „Uwolnijmy się od wielkich miast. Trzeba je zniszczyć”...

Wpisują więc do albumów rymowane dyrdymuszki o pięknie przyrody, rzekomo uszlachetniającym człowieka. (Zbadajcie metryki urodzenia przestępców wojennych. Ilu z nich wyrosło wśród przepięknych krajoobrazów Alp bawarskich, Tyrolu, Salzkammergut? Oczyszczająca moc przyrody? Nordycki Faun, Hamsun, wręcz zrastał się z przyrodą w jedno. W „Panie” opiewa zapach mokrych liści, w „Misteriach” jego bohater ściska i całuje drzewa leśne w transie na pół erotycznym. Wielki miłośnik natury. A jednak ślepotą i głuchotą moralną popchnęły go do aprobowania nieludzkiego systemu. Podobnie się rzecz miała ze sławnym podróżnikiem szwedzkim Sven-Heddingem). Przed powrotem do biur i sklepów skarżą się, wilgotnoocy, że upływa szybko życie, jak potok mija czas, za rok, za dzień, za chwilę... *Adieu*, leśniczówko nad ruczajem! Zegnaj, gwiazdeczko migocąca nad ciemnym borem! Ach, ta rycyna uczuciowa Schumanna i Schuberta! Na wieki wieków zabłądziła pod najeżone antenami strzechy. Nie przepędzi jej ani neon, ani uczona cybernetyka ani nawet konwulsje elektro-

grajszafy, w której niczym diabeł uwięziony przez egzorcystę szamocze się i własnym śpiewem dławi apokaliptyczny Elvis Presley. A może się, miękkoścercowi, nacztyli w szkole pięknych strof Oskara Loerke o „Oddechu ziemi”, o matce-Wisłe, o ojcu-Horyzoncie: „Niechaj się twa dusza osiedli w nurcie rzeki”?

Uciezka w „panteizm”...

Tutaj dodam, że niektóre uciezki w przyrodę dodatkową odślaniają uciezkę. Zwłaszcza w powojennej literaturze niemieckiej pojawia się znamieny palimpsest podświadomości, przybrany w symbolizm, nie waham się powiedzieć: fałszywy. Nawet u tak szlachetnie potykającego się z widmami przeszłości pisarza, jakim jest Carl Zuckmayer, natrafiamy na wybieg w celiwość uteatralizowanej Natury. Realistyczną akcję dramatu „Śpiew w piecu gorejącym” (zbrodnia SS-mannów dokonana na żołnierzach francuskiego Ruchu Oporu) autor przyozdobił symboliczną ramką. Na początku i na zakończenie sztuki pojawiają się upersonifikowane siły natury: Ziemia, Wiatr i Burza, aby wziąć w swe ramiona przestępców i ich ofiary, zdrajców i zdradzonych. „Wszechogarniająca, najspawiedliwsza ziemia wszystkich ich osądzi!” — powiada Zuckmayer. Przypomnę sobie, że już wolę niedoskonały ludzki trybunał za drewnianym stołem, niż „panteistyczne”, pseudomistyczne, fałszywą moderną zalatujące, operowe, moralnie rozwodnione eksklamacje papierowych chochołów.

Ani Alighieriego ani Camusa

Znamienne, że ciężka choroba, jaka nawiedziła miliony mieszkańców tego kraju, nie fascynuje ludzi pióra. Poza wyjątkami, dającymi się wyliczyć na palcach, nie dostrzegam w powojennej literaturze niemieckiej poważniejszych prób rozprawy z przeszłością i poszukiwania owego *peccatum originale*: jak w dwudziestym stuleciu mogło dojść do himmleryzmu. A przecież to jeden z niewielu tematów o których w ogóle warto pisać! Literatura, która tak wielką rolę spełnia, gdy potrzeba trafnej diagnozy czy skutecznej terapii (przydałaby się „terapia szokowa”), i to nie tylko w przypadku samotnej jednostki (prześwietla ją, przecina na czworo, schodzi w najczarniejszą głąb ludzkiego *mare tenebrarum*), ale całych społeczeństw i narodów, tutaj sromotnie zawodzi. Gdzie jesteś, nowy Alighieri? Ach, oni nawet swojego Camusa nie mają! Ani Defoe, kronikarza plagi. A przydałby się po tym wszystkim nowy Dostojewski, jeśli nie Bernanos. Epidemie, nieuleczalne choroby, sabaty czarownic, węzowiska, degeneracje... Sztuka od początku swego istnienia nachyla się nad czarną

studnią. Nie trzeba sięgać do starogreckich erynii, do diabłów-skorpionów u Hieronymusa Boscha, ani do hydry schowanej pod tekstami Szekspira, ani do Nocy Walpurgii, ani do romantycznej demonologii Chamisso. Dość niedawno, jeszcze za pamięci rodziców naszych, zdarzyło się, że naturalizm w literaturze zbiegł się z rozkwitem medycyny, psychopatologii, studiami nad *degenerescence*. Kliniczne przypadki w świecie Zoli (Rougon, Macquart, Coupeau, Gervaise, Nana, „Assommoir”) zeszyły się z eksperymentami psychiatry Magnana w paryskim Zakładzie św. Anny. Nieuleczalnie chorzy bohaterowie Ibsena (Rank w „Norze”, Oswald w „Upiorach”) zrodzili się w okresie generalnego szturm medycyny na odwieczne plagi ludzkości. (Być może, dalszy postęp medycyny całkowicie przepłoszył z kart literatury tradycyjne typy ludzkich wraków, aby... zaludnić je innymi. I nastanie z czasem sytuacja podobna do naszej refleksji przy słuchaniu „arii z kaszlem” w „Cyganerii”: przy dzisiejszym poziomie wiedzy lekarskiej biedna Mimi nie potrzebowałaby umierać na suchoty). Z jaką uwagą przyglądał się ówczesny pisarz pogruchotanemu fizycznie i psychicznie człowiekowi! A dzisiaj? Dzisiaj jest inaczej. W kraju nawiedzonym przez zarazę jakoś nikt nie chce się zająć latami dżumy. Nie podstawiono zwierciadła tamtemu czasowi, tantym *assommoir*’om i ich ofiarom. Zawiadowcy sumień mniej są uczuleni na choroby i wynaturzenia swoich współczesnych niż Zola, Ibsen czy Strindberg. Pisują czyściutki, starannie wystukane na maszynie stroniczki. Bez upiorów. Bez wbijania pióra w węzowisko. Chcąc poszukać artysty-filozofa rzeczywiście urzeczzonego ludzką trwogą, nie ma co jeździć do Hamburga, Lipska czy Berlina. Prędzej znaleźć go można w Paryżu, w zażywej osobie wizjonera piekła, tego który jadł z drzewa Nietzschego i Heideggera, a więc Satre’a (choć jego „Uwięzieni z Altony” tyle mają wspólnego z Niemcami, co Schillera „Don Carlos” z... Hiszpanią) czy w dorobku Camusa. I jeszcze jedno: jeśli literatura powojenna w Niemczech, niczym biblijna gmina Leodycei, nie jest dziś ani zimna, ani gorąca, lecz niebezpiecznie letnia, czy można mieć nadzieję, że po iluś tam latach chłopcy i dziewczęta na tej ziemi pomyślą sobie z ulgą: przy dzisiejszym poziomie wiedzy lekarskiej naród nasz nie potrzebuje już umierać na chorobę zwyrodniałego nacjonalizmu? I czy „dys-dionizyjskie upojenie” (termin Manna) raz na zawsze, bezpowrotnie, legnie w lamusie skompromitowanych anachronizmów?

Moralisci źle widziani...

Zdarzyło się niedawno, że jeden z pisarzy niemieckich z dużą pasją opisał w swej powieści powojenne kariery niektórych plutokratów z Zagłębia Ruhry, takich co to przez pół roku mieszkają w nowej kolonii niemieckiej, w szwajcarskim

trójkącie: Locarno-Ascona-Lugano. (Tak zwana „emigracja podatkowa”). Nie napisał arcydzieła na miarę Balzaca, to fakt bezsporny. Ale zastanowił mnie *ton* niektórych recenzji. Czołowy krytyk literacki nad Menem (nazywano go niegdyś „ewangelistą Trzeciej Rzeszy”) oburzył się: „Moralistą nazywamy najczęściej tego pisarza, który dobrych zamiarów nie potrafi oblec w doskonałą formę artystyczną”... Efektowne spostrzeżenie. Śmiałbym się z tej uszczypliwości na głos, gdyby wypowiedział ją kto inny. W tym jednak wypadku ogarnia mnie niemiłe podejrzenie, że szanowny gentleman z Frankfurtu ma swoje osobiste powody, aby nie lubić moralistów. Podobne cenzurki na lewo i na prawo rozdaje również inny luminarz, który w r. 1940 wprost nie mógł się nachwalić antysemitckiego filmu „Jud Süß”... Proszę mnie źle nie rozumieć: wcale nie zalecam denuncjacji jako metody rozprawy z przeszłością i gotów jestem wierzyć, że z niejednego Szawła wspinały wyrasta Paweł, ale... coś się tutaj nie zgadza, i, co gorsza, ciąży nad atmosferą życia kulturalnego.

Nie jest również sprawą przypadku, że przy ocenie twórczości popularnego pisarza Hansa Habe (konfekcja literacka, *that's true*) niektórzy recenzenci, chociaż gotowi są umrzeć w obronie zasady *sine ira et studio*, przypominają sobie dodatkowo, ot, tak *en passant*, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Békessy, że ojciec był węgierskim Żydem, a on sam, w amerykański mundur przyobleczon, należał do „Morgenthau-boys”...

Bogiem a prawdą, na widok wczorajszego hitlerowca czy stalinowca nikt się z nas nie ubiera czym prędzej w togę. — „Nie lubię emigrantów — powiedział mi pewien rodak z Kraju, na pół żartem na pół serio, — zbyt chętnie zasiadacie za sędziowskim stołem, macie za dobrą pamięć”... Może to i prawda. Jeśli wolno się odwołać do własnych, skromnych w tej dziedzinie doświadczeń: gdy mnie, na przykład, ten lub ów zależny od swoich mocodawców publicysta czy druh-pisarzunio ugryzie w druk czy w eterze, a potem sumituje się w przywrotnym liście-grypsie czy w paryskim bistro przy *apéritif*ie, że „musiał”, najpierw uderzam w lament: „et tu, Brute...?” a później powiadam dość obłudnie: „Jeśli ci to, przyjacielu, może w czymkolwiek pomóc, nie żałuj sobie, *en avant!*”. Ale w duchu zadaje sobie, jakże ludzkie, pytanie: czy rzeczywiście... „musiał”? A może wcale nie „musiał”, tylko z własnej a nieprzymuszonej woli?... Znacznie trudniejsza sytuacja, gdy do naszego stolika przysiadzie się ojciec marnotrawny, który opiewał cnoty Inkwizytora. Czy godzi się udawać, że „nie się nie stało” na tym najlepszym ze światów? (Znakomity Lec powiada: „Wieszczu — krzyknąłem — jesteś bez czoła! A wieszcz zawoła: „Laur, co mi rośnie u skroni, i to zasłoni”...)

Choć sądzę, że nawet gorliwy głosiciel i dozorca Przenajświętszej Konsekwencji Moralnej, Savonarola i Katon w jednej osobie, nie powinien mówić i pisać o niemoralnej (*per*

se) zasadzie winy i odpowiedzialności zbiorowej hitlerowców, stalinowców itp., to jednak trudno mi się pogodzić ze wspaniałomyślnym poglądem jednego z moich przyjaciół, który powiada dość niefrasobliwie: „Skoro Niemcy Niemcom puścili tamte sprawy w niepamięć, tym bardziej my, Polacy, powinniśmy nasze umysły zaprzętać czym innym”... Piłacie, nie myj m o i c h ręk w swojej misce!

O reinkarnacji i „prawdziwym obliczu narodu”...

W podejściu do najnowszej historii Niemiec najczęściej dochodzą do głosu dwie skrajne tendencje. Jedna z nich wyraża się w dość niedorzecznej próbie potraktowania okresu 1933-1945 jako awantury, epizodu wyrwanego z kontekstu, zamkniętego w sobie, bez drzewa genealogicznego. Zazwyczaj jest to próba nie bezinteresowna. Jeszcze jedna forma politycznego i moralnego eskapizmu. Drugą zaś, równie jaskrawą i skrajną, tendencję cechuje chęć rozrachunku ryczałtem, uogólnieniem szermujące anachronizmem i aż nadto stosowaną nauką o dziejczności. Jaka pokusa dla umysłów pochopnych! Dla skwapliwych wyciągaczy wniosków na dzisiaj! Wyznawca fatalistycznej zasady: „jak świat światem” może się dowoli cofać w przeszłość, do Psiego Pola, „krwawej wody w Raduni” i Grunwaldu, nawet do Biskupina. Badacz atawizmów, zwolennik dalekiego rozbiegu w tył, lubo nie Tybetańczyk, lecz srogi wyznawca materializmu dziejowego, wierzy w reinkarnację Ulricha von Jungingen w Adenauera, chociaż nie jest całkiem pewny, czy duch Jagielly wcielił się bez reszty w pierwszego sekretarza partii. (Miło nam jednak stwierdzić, że najazd heretyków na Jasną Górę i nieczne praktyki bisurmańskie pod Cecorą nie ciąży już na naszych dzisiejszych stosunkach ze Szwecją i Turcją. Ani „Potop” Sienkiewicza ani „Duma o hetmanie” Żeromskiego nie podsuwają nam myśli o odwecie. Szwedzi i Turcy nie zagrażają naszemu terytorium. Karol Gustaw nie wcielił się w miłościwie panującego szwedzkiego demokraty Gustawa VI Adolfa, a siedemnastowieczny sułtan Osman w gen. Gursela. Odetchnijmy z ulgą).

Hitleryzm nie wziął się z powietrza. To jasne. Dyskusje nad jego metryką fascynują Niemców na pewno w tym samym stopniu, co i inne narody europejskie. Ale wydaje mi się nieraz, że za mało uwzględniają one analizę tzw. *Nationalgeist*, który nam, widzom z zewnątrz, jawi się z większą wyrazistością. Zagadnienie pierwszej wagi. (Choćby dla tych, którzy przemysłują o profilaktyce). Dyskusja o duchu narodowym Niemiec, jak wiemy, trwa od Herdera i romantyków. Tysiące tropów. Kto posiada żyłkę detektywa, staje przed pokusą szukania winowajców i rozsądników ukrytych w głębi bibliotecznego szafy. Napisano stopy książek o Fryderyku Wielkim, o bałwochwalcach silnego państwa z Heglem na czele, o Bismarcku, o

roli filozofii niemieckiego idealizmu, o promieniowaniu pruskim na zjednoczone Niemcy, o duchu fryderycjańskim w epoce wilhelmińskiej etc. Taki, na przykład, diagnosta-historyk Fischer-Baling, dobrał się do lat republiki weimarskiej, twierdząc, że kompleksowy nacjonalizm niemiecki po r. 1918, wyżywający się w legendzie o „ciosie sztyletem w plecy”, w szukaniu wymówek, w umyślnym niedostrzeganiu genezy pierwszej wojny światowej, najskuteczniej wyprostował ścieżki przed fałszywym prorokiem z Braunau. Trudno się jednak zgodzić z coraz częściej spotykanym w tym kraju poglądem, że w epoce hitleryzmu Niemcy „sprzeniewierzyli się samym sobie”, odchodząc od swego powołania, zdradzając własne ideały, zapierając się najlepszymi cechami swej narodowej świadomości i osobowości (*Wir haben unsere wahre Art vergessen*). Pogląd taki jest równie uproszczony, jak twierdzenie, że „właśnie za Hitlera prawdziwe oblicze narodu niemieckiego ukazało się w całej pełni”. Szablony, slogany, formułki: druty kolczaste i żelazne kurtyny w umyśle człowieka... Trzeba się bronić. Przed demagogią. Przed szantażem taniutkiego patriotyzmu.

Pamięć i satysfakcja

Do tematu! Z żalem spostrzegam, że sztambuch dentysty z Baden-Baden, który dał mi pretekst do rzucenia niniejszych uwag na papier, też jest upstrzony cklivymi wierszykami, lepi się od sentymentalnej słodyczy jak papiererek zdjęty z cukierka. A ja, jak na złość, pech prawdziwy, mam swoje alergie, idiosynkrazje i psychiczne wysypki właśnie na tym punkcie, i kiedy, na przykład, w porannym blasku zacna wycieczka siwowłosych staruszczyków z plecakami, ciupagami i przyjemną piosenką o trzech liliach wyrusza w góry, i już przysłonięta gałęziami kwitnącej jabłoni znika za gajówką, przypominają mi się różne niepotrzebne rzeczy. O tych trzech liliach kazano nam kiedyś śpiewać na mrozie. A pokryta białym kwieciami jabłonka... Z tą jabłonką było tak: wrażliwy na cierpienie martwych przedmiotów ludożerca w mundurze miał kiedyś łzy w oczach, głowę zwiesił w niemym bólu. Jakże nie miał, biedak, płakać: nocny wiatr połamał kwitnące gałązki w sadzie. Widziałem tę szlachetną rozpacz. Niezła scena do filmu. Coś dla Wajdy. Błada twarz. Łza spływająca po policzku przecina druty. Kamera musi koniecznie znaleźć się z tej strony drutów. Jak nasze oczy wtedy. Operator-formalista może tę łzę sobaczą zawiesić na samym ostrzu kolca. Zabrzmi ironicznie.

Pamięć, natrętna wiedźma-suflerka, podpowiada dalej: a pamiętasz tego zamyślonego strażnika w Dreźnie, wysmukłego blondyna o przezroczystych oczach? Miły był to chłopak: w odróżnieniu od Hoang Ho czy Jang Tse, które występują z brzęgów raz na rok, wylewał poezję liryczną co tydzień.

Czytał nam swoje grafomańskie wiersze w tzw. „*Effektenkammer*”, gdzie ubrania po zmarłych i straconych układaliśmy w równe kupki. Rzekłbyś: zacyzny saksoński Orfeusz rozbraja swym śpiewem dzikie lechickie zwierzęta w Hadesie. Cóż to właściwie było? Czy zgrabne formułki w rodzaju „brak wyobraźni moralnej” wyjaśniają podobne zjawiska?

Ale wracamy do badeńskiego dentysty. Właściwie to nawet budujące, że w nieczulej epoce odrzutowców i rakiet tyłu dorosłych berbeci nie rozstaje się ze sztambuchami. Gdyby sporządzić światowy spis albumów, Niemcy na pewno zajmą pierwsze miejsce. Hobby z biedermeierowską podszewką. Spostrzegam, że wielu skąd inąd poważnych obywateli poluje na autografy niegorzej od wyrostków na skuterach czy podfruwajek podróżujących przez powietrze na petticoatach. Ba, mają nawet swoją „Ligę” (tutaj nawet anarchiści byliby znakomicie zorganizowani, a co dopiero kolekcjonerzy), prasę związkową, niewidoczną giełdę z notowaniami kursu dnia...

Nieraz próbuję sobie tych maniaków wyobrazić. Wpatruję się w ich listy jak w szklaną kulę. Nie umiem odgadnąć twarzy. Na próżno usiłuję umieścić nieznajomych adresatów w jakiejś społecznej szufladce. Nawyk myślowy podsuwa najłatwiejszą etykietkę: drobnomieszczańska miazga. Emerytowani urzędnicy magistracy, księgowi, dzierżawcy ogródków działkowych, ekspedienty w hurtowni nasion lub gwoździ, gospodynie, pastorkowe, pielęgniarki? Aż tu, o dziwo, odzywa się górnik z Bochum, dyrektor banku z Berlina, robotnik leśny z Bawarskiego Lasu, i wtedy już nic nie rozumiem. Tym razem, jak wspominałem, zgłasza się dentysta. Album-mamut. Grubszy niż mszał lub psalterz. Dorobek dwóch pokoleń. Na pierwszej stronie podpis Hindenburga. Mrowisko połączonych myśli. Pod każdą mądrością ze ściennego kalendarza widnieje wspinały zawijas. (Ale przestańmy się bić w cudzą pierś. Albo to i w naszych imionnikach, nie czyta się hucznych maksym w rodzaju: „Miej serce i patrzaj w serce! — Adam Mickiewicz” lub „Serce? A to Polska właśnie! — Stanisław Wyspiański”?).

Muszę się pochwalić, że to nie pierwsza przesyłka tego typu. Najwidoczniej jakiś biuletyn zbieraczy wciągnął mnie na swój rozdzielnik, bo od pewnego czasu dostaję listy zatytułowane „polski pisarz”, poczta przysyła mi sztambuchy, a listonosz który jeszcze przed rokiem miał mnie na schodach bez *Grüss Gott!*, z przyjaznym uśmiechem podnosi rękę do daszka. Czuję się więc jak hotelik, któremu dano w Baedekerze jedną gwiazdkę więcej. Zbieracze proszą mnie w listach o wpisanie „czegoś ładnego”, na pamiątkę, i domagają się choćby jednego zdania po polsku, koniecznie po polsku...

„Na przykład — podsuwa mi jeden ze studentów — mógł by mi pan wpisać do albumu: *Noch ist Polen nicht verloren* (Jeszcze Polska...) To takie piękne zdanie!”...

Skłamałbym, mówiąc że mi te prośby nie sprawiają satysfakcji. *Vanitas*? Oczywiście. Ale to nie tylko sprawa próżności,

do której się chętnie przyznaje. (Komuż to, ach komu, nie smakują zatrute rajske ulegalki z drzewa popularności?) Satisfakcje, zresztą, bywają rozmaite. Na przykład pewien Żyd węgierski, „absolwent” Oświęcimia, a obecnie filmowiec, ilekroć przejeżdża przez Monachium, chodzi się fotografować do dość kiepskiego atelier przy Franz-Josef-Strasse. Podejrzewam go, że nie zaglądałby tam tak często, gdyby nie pewna drobna osobliwość: otóż właścicielką tego zakładu jest rodzona siostra... Heinricha Himmlera!).

Lecz jest i inny wymiar. Wymiar w głąb. Zakopiańczy przypominają sobie zapewne, że u wejścia na Stary Cmentarz widnieje napis: „Narody tracąc pamięć, tracą życie”. Mądre słowa. Często o nich myślę. Zwłaszcza przy lekturze Toynbee'go. Elektra u Hofmannstahla powiada: „Nie jestem zwierzęciem: nie umiem zapomnieć”. Każdy z nas, duchowych pogorzalców, jest po trosze tą Elektrą. I okrzyk jej może służyć za motto naszej powojennej twórczości. Kiedyś, w okupowanym Włocławku, żandarm w ściętym kasku uderzył mnie na ulicy: mówiłem na głos po polsku, co było wówczas źle widziane. Dzisiaj zaś proszę mnie, żebym wpisał kilka słów po polsku. A może to ten sam żandarm? A może jego syn?

Można się, doprawdy, nieraz zadumać. Nad zmiennością ludzkich losów. Nad zagadką niemieckiego leprosarium.

(Dokończenie nastąpi)

Tadeusz NOWAKOWSKI

WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO

**PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PACZKI HASKOBY**

Katalog 500 najpopularniejszych
na żądanie

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Biografia wielkiego Kosmopolaka

*Ani jest synem własnej
ojczyzny, ani żadnej innej.*

Józef Conrad, *Nostromo*.

Biografia nie jest rzeczą łatwą, dobra biografia trafia się rzadko. Conrad Jocelyn Bainesa jest biografią świetną. To wyczerpujące studium biograficzno-krytyczne będzie stanowiło przez długi czas dla każdego miłośnika Conrada swego rodzaju biblię o tym pisarzu. W granicach dostępnych i najnowszych materiałów Baines zawarł wszystko, co dotąd można było o Conradzie napisać i zrobił to solidnie zachowując jednocześnie lekkość. Robota pierwszej klasy. A wcale nie łatwa.

Conrad jest jeszcze ciągle pisarzem z wielu białymi plamami nieodkrytych zakątków, jest okazem człowieka o bardzo złożonym składzie chemicznym, ni to Anglikiem, ni to Polakiem, typem zupełnie jeszcze nie przebadanym w naszej epoce *nationalisme rampant*. Wszystko to w piszącym jego biografię może łatwo stworzyć pokusę do fabrykowania tzw. śmiałych hipotez, czyli po prostu mówiąc bujania. Tego bujania, które np. wyczuwa się nieraz w „oficjalnej” biografii Conrada Aubry'ego, u Bainesa nie ma ani śladu. Prawdopodobnie dzięki temu, że Baines nie znał Conrada osobiście tak, jak Aubry, i podszedł do obiektu swoich badań bez obciążeń. Uniknął przede wszystkim kolorowych i uromansowanych wersji, którymi Conrad na pewno poubierał wiele faktów ze swojego życia i twórczości podając je Aubry'emu.

Kocham Conrada, uważam go za jednego z niewielu naprawdę wielkich prozaików, ale nie wykluczam, że przebiwszy się, że pokonawszy niesamowitym wysiłkiem wszystkie przeszkody i doszedłszy do celu, Conrad dobudował wiele rzeczy

Jocelyn Baines, *Joseph Conrad. A Critical Biography*. Londyn, Weidenfeld and Nicolson, 1960; 12 nl i 507 i 1 nl. i tabl. 4.

do własnego życiorysu. Jest to zupełnie naturalna skłonność w każdym człowieku, który zaczawszy od zera dochodzi do wielkości i ma szczęście zebrania jej owoców choćby w ostatnich latach życia. Każdy z nas nosi w sobie mniej lub więcej romantyczną autobiografię, najczęściej nie mając ku temu prawa. Conrad miał je w pełni i nie dziwiłbym się, gdyby nieraz z niego korzystał.

Baines to wszystko wyeliminował, odsiał i przesiał i oparł się tylko na faktach. Przecedził nawet własne wersje Conrada posuwając zasięg swojej docieklivosti i krytycyzmu do najdalszych, ale zawsze usprawiedliwionych granic. Żadnych efektownych rzutowań, żadnych rekonesansów po cienkim lodzie w tym nie ma. Zachował obiektywizm angielskiego sędziego. Wyssał wszelkie dostępne źródła do ostatniej kropli, nie pogardził pomocą uczonych w Conradzie Polaków w kraju i na emigracji, nie popełnił ani jednego niechlujstwa w piśmowni zwrotów, wyrazów, nazwisk i nazw geograficznych polskich (czego Francuzi nigdy się nie nauczyli) i dał książkę naprawdę ostrą i pasjonującą.

O latach dziecińczych Conrada wie się stosunkowo dużo. Baines przedstawia ponurą epopeję tej rodziny z koniecznymi szczegółami, spokojnie i z anglosaskim chłodem. Wystarcza to zupełnie, aby nawet obcy czytelnik mógł zrozumieć — i może wyrozumieć — powody antyrosyjskiego urazu Conrada, który pozostał w nim na całe życie. Umierająca klasycznie na zesłaniu w Rosji młoda jeszcze matka, potem towarzystwo opętanego patologicznym patriotyzmem i polskim mistycyzmem ojca, którymi wprost tyraniłował cichego i chorowitego chłopca, to była „Kinderstube” Conrada. Wreszcie pogrzeb ojca w Krakowie, *pompes funèbres* z wszystkimi przystawkami grabarskimi, z których to miasto zawsze słynęło i w których się wyspecjalizowało. W sumie makabra i galicyjska choroba. Miał od czego uciekać. Ale zanim ucieknie, chodzi do gimnazjum. I tu mała niespodzianka.

Gdy po dwóch latach gimnazjum w Toruniu, wstąpiłem do trzeciej klasy gimn. Św. Anny w Krakowie (później przemianowanego na im. Bartłomieja Nowodworskiego, założyciela), pamiętam że zostałem tam uroczystie wprowadzony przez moją ciotkę, która pokazała mi najpierw wmurowaną, bodaj że na półpietrze, płytę marmurową z wyrytymi na niej nazwiskami sławnych uczniów tej najstarszej w Polsce średniej uczelni. Widzę na niej do dziś m.in. nazwiska Wyspiańskiego i Conrada Korzeniowskiego. Otóż przez sześć lat pobytu w tym gimnazjum legenda Conrada trwała. Nie przysięgnę, ale wydaje mi się, że ustawiono tam jego popiersie w przed-sionku czy też na klatce schodowej. Profesorowie opowiadali nawet, że Conrad nie był żadnym wspaniałym uczniem i miał słabe stopnie, bo jakoby zachowały się jakieś odpisy świadectw czy adnotacje w archiwach gimnazjalnych. Czym się pocie-

szalem. Legenda trwała i była tak ogólnie przyjęta, że nikt nie podawał jej w wątpliwość.

Baines, przy pomocy Z. Najdera w kraju, ustalił że Conrad wcale do gimn. Św. Anny nie chodził, że nie ma jego nazwiska w żadnym spisie uczniów z tych czasów, że najprawdopodobniej chodził do gimn. Św. Jacka. Jest to o tyle ciekawe, że dość średnie gimnazjum Św. Jacka (po trochu tzw. gimnazjum repetentów, które mi ciągle groziło) nigdy nie rewindykowało Conrada, że jego przynależność do Św. Anny nie była nigdy przez nikogo poddawana w wątpliwość. Przyjmowało się nawet, że Conrad tam zdał maturę. Nie zdał, przerwał naukę prawdopodobnie na rok przed maturą i wyjechał z Krakowa w świat.

Baines słusznie wspomina, że nie trzeba posuwać się zbyt daleko w domysłach, dlaczego Conrad powziął decyzję wyjazdu. Któż z nas w młodych latach nie marzył o morzach dalekich. Jeżeli chodzi o mnie, to uśilo wałem uciec już z czwartej klasy. Uciekałem od ułamków i od tekstów łacińskich i greckich. (Koszmar. Trzeba popaść w starczy romantyzm, żeby wspominać ze wzruszeniem lata szkolne). Conrad, obok tego wszystkiego, mógł także uciekać od tego, co skrótowo nazywa się sztychami Grottgiera. Świetnie go rozumiem. A poza tym nie trzeba zapominać, że w tych czasach istniała tendencja do wyjazdów. Jak dziś, tak i wtedy nasz *Drang nach Westen* był wprost proporcjonalny do *Drang von Osten*.

Młody Conrad opuszcza Kraków w październiku 1874 r. W półtora roku po nim, w lutym 1876, opuszcza Warszawę Sienkiewicz (starszy od Conrada o 11 lat) jako awangarda naprawdę poważnie planowanej początkowo imprezy przesiedleńczej do Ameryki całej grupy ludzi o znanych już w Polsce nazwiskach. Juliusz Sypniewski, Lucjan Paprocki, Stanisław Witkiewicz, Adam Chmielowski i Modrzejewska z mężem projektują osiedlenie się w Kalifornii i założenie tam jakby małej osady polskiej. Bo i oni mają dość. Z tej grupy Modrzejewska już na stałe pozostanie za granicą, a Adam Chmielowski jako Brat Albert wyemigruje wewnętrznie do założonego przez siebie zakonu Albertynów. Sienkiewicz długo namyśla się zanim wróci, pisze nawet „dramat amerykański z walki tutejszych partii, nie dlatego aby wam go przesłać, ale aby go wystawić w tutejszych teatrach i jeśli się da, zarobić grube pieniądze”, jak to sam pisze w liście do E. Lea, redaktora „Gazety Polskiej”. Maria Skłodowska osiada we Francji na stałe i wyszedłszy za mąż za Francuza i wychowawszy córki na Francuzki, popelnia właściwie „zdradę”, bardzo podobną do tej, jaką zarzucano u nas Conradowi. W ogóle wielu ludzi wyjeżdża wówczas z Polski, Polacy osiedlają się w Rosji, w Niemczech, w Austrii, w Czechach, w Rumunii itd. Dla Polaków spod zaboru austriackiego cała Europa stoi otworem, małżeństw mieszanym jest mnóstwo i nikt im się nie dziwi, między-narodowy przeciąg wieje po całej Polsce i jest rzeczą normalną. Wystarczy poczytać trochę pamiętników z tych czasów, aby

od razu dostrzec to zjawisko jako rzucające się w oczy. Szczególniej w dzisiejszych czasach.

Największą białą plamą w życiorysie Conrada jest okres jego młodości. Zaginęły bowiem jego listy do wuja Bobrowskiego (czy było ich wiele?) i tylko listy tegoż wuja do lekkomyślnego siostrzeńca dostarczają pośrednio pewnych wskazówek. Wielka szkoda, bo w czasach francuskich Conrada działy się na pewno różne rzeczy i byłoby to bardzo interesujące, w jaki sposób młodzieniec bujał starego wuja. Puszczony samopas przed dwudziestką, chłopak szumiał. Gdy po drugiej podróży do Indii Zach. ląduje w grudniu 1875 r. w Hawrze, opuszcza okręt i, via Paryż, wraca do Marsylii. Píše wtedy do wuja, że zgubił cały bagaż w Hawrze. Raczej w Paryżu... Ponieważ historia ze zgubionym bagażem powtarza się potem po raz drugi, tym razem w dramatycznej wersji utraty całego mienia w katastrofie „Annie Frost”, którą znał chyba tylko z widzenia i która istotnie poszła na dno, ale dopiero w rok po utopieniu jej przez Conrada w liście do wuja (wywróżył), wraz z prośbą o kilkanaście gwinei, należy przypuszczać, że młody Conrad stosował z powodzeniem metody ziemiańskich podchorążaków z późniejszych czasów, ślących rozpaczliwe telegramy do domu: „Tatusiu — zgubiłem na ćwiczeniach karabin maszynowy, przyslij natychmiast 300 zł.”.

Po tej drugiej podróży Conrad ponad sześć miesięcy siedzi w Marsylii. Co wówczas robił, w jakim środowisku się obracał, co czytał (jeżeli czytał), — nie wiemy właściwie nic bliższego. Można się tylko domyślać, że był „synem puszczy”, czyli co wuj posłał, to siostrzeniec puszczał. W każdym razie wuj Bobrowski przejawia w swoich listach do Conrada spokój, dokładność i cierpliwość buchaltera, którego jednak czasem biorą diabli. Brali go, bo było o co.

W Conradzie odbywał się na pewno w tym czasie proces dojrzewania, ciśnienie rośnie. Można prawie bez pudła wnioskować, że Conrad zaczyna wówczas intensywnie „kombinować”, że ten młody chłopak chciałby jak najprędzej dorwać się do grubszej gotówki, do majątku, i w tym okresie widzę go zawsze trochę w postaci czarującego polskiego hochsztaplera i kombinatora, łapczywie przyglądającego się polyskowi życia wokół i starającego się wejść w jego blaski przy pomocy takich czy innych interesów.

W lipcu 1876 r. Conrad ponownie wypływa do Indii Zach. i w tej podróży zawadza o Zatokę Meksykańską, Amerykę Środkową i Wenezuelę. O tej podróży też nic dokładnego się nie wie i niesposób ustalić, co Conrad robił w Zatoce Meksykańskiej i przy brzegach Ameryki Południowej. Prawdopodobnie brał tam udział w jakimś ciemnym handlu bronią dla którejś z republik środkowo-amerykańskich i tutaj nabrał apetytu do tego szlacheckiego i szlachetnego „businessu”. Powróciwszy w lutym 1877 r. do Marsylii zajmuje się dalej tym

samym handlem dostarczając broń dla Karlistów w Hiszpanii, tym razem już jako udziałowiec w tej imprezie. W jesieni potrzebuje pieniędzy na inwestycje i pisze parokrotnie do wuja prosząc o okragie sumy 1.000 fr. Potem wypadki zaczynają pędzić. Conrad wpada, traci wszystkie pieniądze, zapożycza się, jedzie do Villefranche w poszukiwaniu pracy na jakimś amerykańskim okręcie, pracy nie znajduje i skacze do leżącego obok Monte-Carlo z postanowieniem odegrania się w kasynie.

„Ojciec bił syna nie za to, że grał, lecz za to, że chciał się odegrać”, jak brzmiała złota myśl z tamtej epoki, powtarzana mi zawsze przez mojego ojca, gdy rozgrywaliśmy szkolne partie baka i pokera. Conrad oczywiście traci i te pożyczone pieniądze. Ma 21 lat. W lutym 1878 r. wuj Bobrowski otrzymuje telegram, że Conrad jest ranny. *Conrad blessé envoyez argent — arrivez*. Dużo bym dał za to, żeby wiedzieć kto tę depeszę redagował. Narastające ciśnienie rozsadziło młody kocioł, Conrad — nie widząc już innego wyjścia z honorem — strzela się, jak na polskiego szlachcica przystało. Dramatycznym gestem zamyka rachunek z młodością.

Gest ten wymaga niewątpliwie odwagi, bo jest zainscenizowany w ten sposób, aby jednak nie umrzeć, aby w krótkim czasie po strzale być odnalezionym przez przyjaciela, aby konieczne adresy były pod ręką i łatwe do znalezienia dla osób trzecich. Chłopak z ikrą i z fasonem, bo pomimo wszystko takie ostre strzelanie we własną pierś obok serca jest raczej niebezpieczne.

Sam Conrad zawsze opowiadał, że został ranny w pojedynku, wersja pojedynku kłóciła się z wersją usiłowanego samobójstwa, jedni twierdzili to, drudzy tamto. Baines prawie nie ma wątpliwości, że było to usiłowanie samobójstwa, że Conrad sam się postrzelił. Argumentuje w tym wypadku odnośnymi fragmentami z listów wuja Bobrowskiego („Żeś się postrzelił” po polsku w tekście). Wydaje mi się, że w tej sprawie w ogóle nie może być wątpliwości.

Przed wszystkim wygląda na to, że Conrad nawet nie próbował wmawiać w wuja malowniczej historii pojedynku, a to dlatego prostego powodu, że wuj nie znając się na sprawach morskich, na pewno znał się na pojedynkach i Conrad doskonale wiedział, że pokazawszy mu ranę w lewej piersi, wuj całkiem zwyczajnie by go wyśmiał. Rana w lewą pierś w pojedynku na pistolety jest właściwie niemożliwa, chyba że pojedynkujący się osobnik jest małkutem i strzela lewą ręką. W pojedynku na pistolety (asystowałem raz w życiu i dużo strzelałem z pojedynkowych pistoletów) przeciwnicy strzelają zwróceniem do siebie prawym bokiem, bo po pierwsze jest to naturalna postawa przy mierzeniu i strzelaniu z pistoletu z wolnego ramienia, a po drugie zmniejsza do minimum cel, co nawet w pojedynku brane jest w rachubę i przyjęte jako postawa przepisowa.

Wuj Bobrowski pisze wyraźnie w liście do Buszczyńskiego, że „kula przeszła *durch und durch* blisko serca”. Takie cuda w pojedynkach na pistolety nie zdarzają się. Kula może przejść koło serca, ale od prawego boku ku lewemu i tylko w rzadkich wypadkach *durch und durch*, bo normalnie okrągłe kule ołowiane z pojedynkowych pistoletów grzęzną w ciele. Prze-strzelenie *durch und durch* lewej piersi jest możliwe, ale w cow-boyskim pojedynku na rewolwery, polegającym na tzw. *quick draw*. Conrad nie mógł się w ten sposób pojedynkować, tym bardziej, że rytuał tych pojedynków został dopiero wprowadzony w amerykańskich „westernach”. Nie może być zatem żadnej wątpliwości, że Conrad postrzelił się sam i wszelkie wersje pojedynku są bardzo malownicze, ale nie są prawdziwe. Pamiętam, że na ten szczegół rany w lewą pierś w pojedynku zwrócił mi jeszcze uwagę mój ojciec przy czytaniu „Złotej strzały” irytując się, że jego ukochany Conrad popełnił taką niedokładność.

Jeżeli zaś chodzi o Ritę, tę *femme fatale*, z powodu której odbył się pojedynek, to i tu sam Conrad uromantycznił jej postać. Baines szukał wytrwale i daleko i w końcu nic nie znalazł. Może była to rzeczywiście jakaś tajemnicza i pełna uroku kobieta, choć najprawdopodobniej była to sobie jakaś marsylska *poule de luxe* z *sexem* i dużym apetytem na luidory. W owych czasach, gdy miało się 21 lat, było się skłonnym do dostrzegania anioła w każdej kobiecie, która w miły sposób godziła się na koedukacyjną sypialnię. Tym bardziej, że jeśli chodzi o kobiety, to Conrad zawsze wyglądał mi na *timide*, na Heysta, i kto wie, czy Lena nie jest bliższa spotkanego oryginału, niż Rita i czy w końcu w całej tej galerii kobiet nie było zawsze i po prostu sporej dawki *tante* Poradowskiej... Mężczyznom seksualnie nieśmiałym nieraz jedna lub dwie przechylne kobiety z okresu młodości wystarczają na stworzenie sobie w latach dojrzałych całej galerii imaginacyjnych postaci. Kobiety Conrada noszą wybitne cechy takich właśnie wyimaginowanych kobiet i określiłbym je w większości wypadków jako twory zupełnie nieanatomiczne. Zresztą i małżeństwo Conrada ma wszelkie oznaki „załatwienia sprawy” żeby nie mieć z tymi rzeczami kłopotów w przyszłości. Z tego całego okresu, tzw. francuskiego, dobudówki biograficzne samego Conrada wydają się dosyć obfite. Baines doskonale i taktownie rozebrał je kawałek po kawałku i zredukował do prawdopodobnych i prawdziwych rozmiarów.

Czasy marsylskie Conrada, wskutek bardzo szczupłej ilości dokładnych informacji, są do dziś najbardziej zagmatwane i dlatego najciekawsze. Był to koniec pierwszego okresu młodości, przedłużenia cielecych lat. Czytając cały ten rozdział w biografii Bainesa mimo woli wspominałem, robiłem porównania i prawie czułem, co mogło się wtedy dziać w tym młodym chłopcu, plątającym się w sobie i w otaczającym go świecie. Przy każdym kroku grunt pod nogami stawał się coraz płynniejszy.

Wreszcie jedzie do Monte-Carlo grać w szmendefera czy ruletę czując jednocześnie, że coś nieodwołalnie narastało i coraz bardziej rośnie, że wszystko razem skończy się wybuchem i skandalem, ale że trzeba dojść do jakiegoś dna, po czym wszystko jedno, co dalej. Są takie natury, które przejście od młodości do lat dojrzałych muszą załatwić jakimś bezsensownym krachem, w czym dopiero naprawdę odnajdują siebie. Ci, którzy gładko przekraczają smugę cienia są czasem też ciekawymi ludźmi, ale w większości wypadków stanowią tylko doskonały materiał na urzędników i zachwyconych sobą dzieciorobów. Wydaje mi się, że przekroczenie prawdziwej smugi cienia przez Conrada, choć odsunięte przez niego w opowiadaniu pod tym samym tytułem o kilka lat później i opisujące inne zdarzenia, nastąpiło w Marsylii. Strzałem *durch und durch* blisko serca zamknął Conrad pierwszy rozdział swojego życia i wytrząszał. Cały dalszy ciąg, pomimo pozornych odchyłeń, jest już konsekwentnym kroczeniem po linii odnalezionego „ja” aż do końcowego strzału *durch und durch* z ręki Boga. Ten nigdy nie chybia.

Gdy po tym wszystkim wuj Bobrowski proponuje Conradowi powrót do kraju, Conrad zdecydowanie odmawia. Całkiem zrozumiałe. Groźba przymusu służby wojskowej w armii carskiej musiała grać pewną rolę w jego postanowieniu wyjazdu z Polski, a na wiosnę 1878 r. musiała być decydującym motywem w uchyleniu się od repatriacji, do której wuj namawiał, chcąc mieć niedoszedłego samobójcę bardziej na oku. Konflikt rosyjsko-turecki wisi w powietrzu i gdy Conrad postanawia siedzieć w Marsylii, Sienkiewicz, po dwuletnim pobycie w USA, pozostaje w tym samym czasie i z tych samych powodów przez rok w Paryżu. „Wojna wisi na włosku i kto żyje w Polsce, musi brać karabin i służyć *po wojennej cząści*, do czego — Bóg widzi — nie mam najmniejszej ochoty”... — pisze w kwietniu z Londynu. Projektuje nawet wyjazd na front turecki jako korespondent wojenny któregoś z paryskich dzienników.

Conrad nie może dalej pływać na francuskich statkach, bo „Bureau de l'Inscription” sprzeciwiło się dalszemu wciąganiu na listę załogi osobnika, który mając 21 lat podlegał obowiąz-kowi służby wojskowej w Rosji i — co gorsze — nigdy nie uzyskał na pływanie wymaganego zezwolenia „swojego” rosyjskiego konsula. Wynika z tego, że gdy chodzi o Rosję, czujność władz francuskich była zawsze *exemplaire*. Nie należy się przeto dziwić, że Conrad znowu ma dość i pomimo silnych związków uczuciowych z Francją i świetnej znajomości języka, 24-go kwietnia 1878 r. wchodzi na statek angielski „Mavis”.

Od tego czasu będzie już pływał tylko na okrętach angielskich i gdy przed 1894 r. powstaną gdzieś w jego kabinie pierwsze rozdziały „Szaleństwa Almayera” minie zaledwie piętnaście lat od chwili, gdy Conrad po raz pierwszy w życiu zetknął się z językiem angielskim. Przyznam się, iż ilekroć czytam coś Conrada (pisarz, którego można czytać przez całe życie i w

godzinie śmierci) i wracam myślą do tego faktu i tych dwóch dat, graniczy to dla mnie z cudem. Opanowanie tak kompletne, w tak stosunkowo krótkim czasie i w takich warunkach obcego i tak finzyjnego języka, jak angielski, jest nielada wyczynem. Baines nie może podać na ten temat bliższych informacji, bo sam Conrad pomijał to milczeniem. Nie wiemy nawet, co czytał, na czym się uczył angielskiego. Można tylko domyślać się ze wzmianki w „Lordzie Jimie”, że woził się z Szekspirem. Wydaje mi się, że pokrywanie milczeniem tej sprawy przez Conrada zawierało sporo swoistej kokieterii.

Angielszczyzna, z jaką się stykał w swojej służbie morskiej nie musiała wykraczać daleko poza *basic English*, toteż należy przypuszczać, że zabrał się on od razu do solidnej nauki i decyzja „zostania Anglikiem” nastąpiła bardzo szybko po marsylskim strzale. Tym bardziej, że już w dwa lata potem, w czerwcu 1880 r., zdaje w Londynie egzamin na drugiego oficera, magłowany przez angielskiego egzaminatora ponad dwie godziny. I zdaje.

Pierwsze próbki prozy angielskiej Conrada, to jego listy z r. 1885 do Spirydiona Kliszewskiego, syna polskiego emigranta osiedlonego w Anglii. Fragmenty przytoczone przez Baines są bardzo ciekawe. Jeden z nich, na tematy polityczne, pozwala przypuszczać, iż dzięki niemu, nikt nie ośmieli się zaliczać Conrada do tzw. „pisarzy postępowych” i gdyby nie to, że Gustave Le Bon pisał to samo na temat socjalizmu w kilkanaście lat później, można by sądzić że Conrad był wyznawcą Le Bona. *Socialism must inevitably end in Caesarism* — pisał Conrad. Conrad snuje w nich także projekty kupna do spółki statku i przejścia na samodzielny interes połowu wielorybów. Pisz wyraźnie, że nie zależy mu w tym wypadku na zarobieniu grubszych pieniędzy. — „Jest to po prostu pragnienie pracy dla siebie samego. Mam powyżej uszu i jestem zmęczony pływaniem, otrzymując za to mało pieniędzy i jeszcze mniej szacunku”. (...for little money and less consideration). Wydaje mi się, że Baines nie docenia słów tego listu, gdy w dalszych rozdziałach analizuje zagadkę przejścia Conrada od służby morskiej do pisarstwa.

Conrad kochał morze, to prawda, ale nie jestem pewny, czy kochał rodzaj obranej przez siebie pracy na tym morzu. Gdyby po zejściu z pokładu „Adowy” w Londynie, w początkach 1894 r., ktoś byłby mu podarował statek albo dał pieniądze na kupno własnego okrętu, wcale nie jestem pewny, czy Conrad myślałby poważnie o zostaniu pisarzem, nawet po opublikowaniu i dobrym przyjęciu przez krytykę „Szaleństwa Almayera”. A w jakim stopniu pchanie się do Afryki podyktowane było chęcią znalezienia czegoś na własny rachunek, to też nie wiemy. On sam o tym nie wspomina, podając tylko bardzo malowniczą wersję, że Afryka i białe plamy na tym lądzie pociągały go już od dziecka.

Będąc w końcu kapitanem, Conrad nadal był urzędnikiem. Pomimo wszystko urzędnikiem, zwykłym funkcjonariuszem, ciągle zależnym od jakichś chlebodawców i szefów, o których człowiek jego pokroju i zacięcia na pewno nie miał wygórowanej opinii. To bycie urzędnikiem, nawet w charakterze dającej dużo samodzielności randze kapitana, nie szło w parze z jego ambicją, poczuciem godności i wartości. Od początku swojej kariery morskiej, Conrad właściwie ciągle kaprysił, długo przesiaduje na lądzie, projektuje wyjazd do Ameryki (usamodzielnic się?), zmienia statki, i to najczęściej z powodu humorów i niemożności zgrania się ze swoimi przełożonymi. Jest to zupełnie zrozumiałe. Conrad był „panem”, miał w sobie to coś typowo polskiego, czego cudzoziemcy nie są w stanie zrozumieć i czego np. Rosjanie i Czesi nigdy nie mogli w nas ścierpieć. A na statku i w portach musiał tykać duże dozy zwyczajnego chamstwa.

Wahania Conrada w chwili przechodzenia od morza do pisarstwa są także zupełnie zrozumiałe. Zawód pisarza dawał całkowitą satysfakcję wymaganiom „pana”, ale rozsądek podszeptował, że dotychczasowa praca zapewnia byt. Stąd to początkowe otwieranie drzwi do literatury i wycofywanie się od progów z oglądaniem się niby to za jakąś „przyzwoitą” pracą. Gdy w końcu „pan” przeważa, decyduje się na karierę pisarską, zanurza się w tej pracy bez reszty, z pasją, i tworzy arcydzieła. Ma lat 37. Musi się spieszyć. Ale zdąży.

Baines doskonale opisuje cały ten okres, przechodząc od dzieła do dzieła w porządku chronologicznym, dając wyczerpującą genezę każdego utworu oraz jego krytykę i wplatając w to wszystkie ważniejsze zdarzenia z życia Conrada, jego przyjaźnie i znajomości, fragmenty listów i przede wszystkim nieustanną mękę pisania. I to pisanie w próżnię, bo cała ta twórczość uznawana jest tylko przez elitę intelektualną, przez niewielu. Trzy długie rozdziały pod tym samym tytułem „Achievement without Success” i tylko ponumerowane, są wprost przygniatające i są doskonałym chwytem pisarskim Bainesa. Ciągły brak pieniędzy, ciągła walka o jakość nie pozwalająca dotrzymać żadnego terminu u wydawcy i ześlizgnięcie się w efektowną tandetę i czysta kartka papieru, zamieniająca się jakże często w wyrafinowany instrument tortur. To jego dalszy los aż do lat pierwszej wojny światowej.

Charakter też musiał mieć nie łatwy i z tego punktu widzenia Angielka Jessie, jego żona, jest godna podziwu. Mało Polek potrafiłoby spokojnie wytrzymać to, co wytrzymywała ta przeciętna *housewife* angielska. Baines traktuje Jessie z sympatią i ma zupełną rację. Ostatecznie mąż i ojciec, który podróżując z żoną i z dzieckiem w tym samym przedziale kolejowym potrafił się zachowywać jak obcy, bo nie życzył sobie aby ktoś mógł go posadzić o jakieś związki z jego własnym rozwrzeszczanym bachorem, był na pewno ciężki w codziennym pożyciu. Rozumiem go. Nawet w Gwatemali już coraz trudniej znaleźć

miejsce odpoczynku, w którym jakieś wściekle bachory nie zatrzymałyby człowiekowi życia, choć na szczęście utrzymuje się tu jeszcze ciągle wysoka śmiertelność niemowląt. Ale i tak od bardzo dawna, co niedzielę na mszy modłę się żarliwie na intencję biologów poszukujących prostej i skutecznej pastylki antykonceptyjnej. To dopiero w takich *underdeveloped countries* widzi się naprawdę, co się dzieje i do czego to wkrótce doprowadzi. Pod tym względem są one całkowicie *developed* i produkcja jest zautomatyzowana od pierwszego do ostatniego „Ay-ay-ay”.

Jeżeli chodzi o uwagi krytyczne Bainesa, to nie wiem, czy w paru miejscach nie uległ zanadto wpływowi naszych rodaków. Uważam np. że podkreślanie i stawianie akcentu na „kompleksie zdrady ojczyzny”, który jakoby był motorem w pisaniu „Lorda Jima”, który był niejako bodźcem do stworzenia tej wiecznej książki i postaci, że Jim w Patusanie, to Conrad wśród obcych itd., itd. — jest właściwie wielkim zubożaniem tego wielkiego dzieła.

„Lord Jim” to przede wszystkim odwieczna postać, stojąca dziś w rzędzie takich samych postaci, jak Hamlet lub Don Kichot — postać zawsze aktualna, bo obejmująca sobą to, co tkwi tak lub owak w każdym człowieku. Każdy nosi w sobie jakiegoś „Lorda Jima”, bo niemal każdemu zdarzyło się w życiu zejść z jakiejś Patny albo za wcześniej, albo za późno. Ojczyzna ojczyzna, Polska Polska, ale jeszcze głębiej tkwi rzecz o wiele ważniejsza, wyłączenie ludzka i bez przynależności państwowej: sumienie. To nie dające się oszukać „tak się powinno” i bezradna chęć usprawiedliwienia siebie samego, gdy nie poszło się za tymi trzema wyrazami. Czegóż się wtedy nie wynajduje. U wielu pisarzy dało to podniecie do pisania i wielu napisało swojego „Lorda Jima” pod różnymi tytułami. Nieraz były to arcydzieła. „Dziady” drezdeńskie, to dla mnie „Lord Jim” Mickiewicza. Na ich dnie jest czysto ludzkie i bezpaństwowe poczucie winy, to proste „powinienem był”, pod wpływem czego powstaje monument naszej poezji. Ale istotnym problemem, jądrem z którego rozprzestrzenił się ten olśniewający wybuch nie były w istocie powstanie, Polska i tragedia narodowa, lecz poczucie nieporządku wewnętrznego i — *soyons cru* — nie zejście na czas z Patny-Konstancji Łubieńskiej. „Lord Jim” istniał zawsze, pojawiał się i pojawia u innych w przeróżnych wariacjach. Zawsze żyje. W kraju np. tłumnie krążył po październiku, był urodzaj na tych, co nie wysiedli na czas i mieli kompleks „Lorda Jima”. Ukazuje się także na emigracji, nieraz w wybitnych utworach. „Transatlantyk” Gombrowicza, to jego bardzo osobisty i bardzo gombrowiczowski „Lord Jim”, a ostatnio „Rodzinna Europa” Miłosza, a szczególniej ostatni rozdział pt. „Tygrys”, to fenomenalnie *sophisticated* „Lord Jim” Miłosza.

To samo miałbym do zauważenia, jeżeli chodzi o „Nostroma”. Po wielu latach, po dwunastu latach życia i — żeby

nie używać wielkich słów — silnego związania się uczuciowego z moją Costaguaną-Guatemalą, przeczytałem nie dawno na nowo „Nostroma”. I przez długi czas chodziłem, jak pijany. Jest to bezsprzecznie dzieło genialne i na pewno jeszcze ciągle niedocenione. Gdyby ktoś nie znający Ameryki Łacińskiej zapisał mi, co powinien na ten temat przeczytać, np. przed podróżą lub lokatą kapitałów w tych krajach, bez wahania zaleciłbym „Nostroma”. I nic więcej — wystarczy, *basta, no mas*. Przy czytaniu tego wydawało mi się, że Conrad pisał to kierowany zdalnie przez jakiegoś mędrca, który siedział w Ameryce Łacińskiej i przetrwał ją w całości. Od chwili powtórnego przeczytania „Nostroma” zacząłem tutaj jakby drugi etap osiedlenia, żyję z nim od rana do wieczora i kilka razy na dzień mówię sam do siebie: „To jest jak z „Nostroma”. Przy wieczornej lekturze lokalnego dziennika staje się to niemal obsesją.

Baines, omawiając bardzo szeroko i dokładnie „Nostroma”, puszcza się na analogie między Costaguaną a Polską, cytując wypowiedzi Marcina Decoud, które rzeczywiście pasują nieraz, jak ulań, i są zaskakujące swoją trafnością, gdy odnieśliśmy je do nas. I stają się one jeszcze bardziej uzasadnione i trafniejsze teraz, po przejściu przez krótki okres niepodległości, którego Conrad jednak już nie znał i w którym — chcemy, czy nie chcemy — byliśmy w oczach Zachodu pomimo wszystko taką większą Costaguaną w mrowisku państw i państwewek na Wschodzie. Z Paryża lub z Londynu rządy pułkowników i wojska mogły wyglądać bardzo costaguańsko i dla wielu Kostek-Biernacki mógł niczym nie różnić się od Sotilla, a Wieniawa od gen. Montero. Gdyby nie nasza niepodległość i emigracyjna Costaguana, kto wie czy nie potraktowano by nas inaczej po ostatniej wojnie...

O „Nostromie” można godzinami, ale wydaje mi się, że idąc po tej linii można zejść aż do punktu, w którym „Nostromo” stałby się powieścią o Polsce pod pokrywką Costaguaną; o polskim charakterze, wadach i przywarach, nieumiejętności rządzenia się, bufonadzie, gadulstwie, grandilokwencji, idealizmie, poświęceniu, polskich poczynaniach gospodarczych prześladowanych przez Rosjan (Gould) — w sumie generalnym rozrachunkiem Conrada z Polską i zbiorem tego wszystkiego, co o niej myślał i co czuł na jej temat, czyli „ja kocham cię i nienawidzę”.

Oczywiście, że pewne analogie nie są pozbawione podstaw, ale trzeba tu być bardzo ostrożnym właśnie dlatego, że niemal na każdej stronie „Nostroma” łatwo znaleźć coś, po czym ma się ochotę krzyknąć: „Tu Conrad na pewno myślał o Polsce”. W stosunku do Kosmopolaków mamy chorobliwą skłonność upatrywania we wszystkich ich dokonaniach polskiej czkawki. W każdym polonizie Chopina jest szarża jakiegoś komputu husarii i znam takich, co Polskę doszukiwali się nawet w pierwszym miligramie radu. Nie wiem, czy pisząc

„Nostroma” Conrad myślał o Polsce, czy nie myślał, natomiast wiem że znam już trochę Amerykę Łacińską, że przeżyłem w niej kawał życia i że aktualność „Nostroma” nie tylko trwa, ale rośnie, że prawdopodobnie nikt nie przeprowadził tak ścisłej, zimnej i trafnej psychoanalizy tej rasy i tego kontynentu i jeszcze przez długi czas nikt nie potrafi się zdobyć na tak sprawiedliwy i beznamiętny osąd tego wszystkiego, co Marcin Decoud streszcza w kilku zdaniach: „Wyobraźcie sobie atmosferę opery buffo, w której wszystkie komiczne role mężów stanu, intrygantów i opryszków, ich złodziejstwa i morderstwa odgrywane są ze śmiertelną powagą. Można tarzać się ze śmiechu: krew leje się bez przerwy, aktorzy zaś mają przeświadczenie, że wpływają na bieg dziejów ludzkości. Oczywiście iż każdy rząd w jakiegokolwiek części świata jest dla krytycznego umysłu instytucją zawsze wysoce komiczną, ale my, amerykańscy Hiszpanie, naprawdę przekraczamy dozwolone granice. *C'est funambulesque!*”.

Tak — Fidel Castro na Kubie wygłaszający siedmiogodzinne mowy z wyrazem twarzy Ukrzyżowanego i ciężko chorego na logorheę psychopaty, ostatnia rewolucja kwietniowa w Wenezueli, gdzie adiutant rewolucyjnego generała Jezusa Maria Castro Leon zapytany telefonicznie przez dziennikarza, jaka będzie polityka rządu — prawicowa czy lewicowa — odpowiada: „*Momentito* — zaraz się dowiem” i po chwili mówi z namaszczeniem: „Rząd nie będzie miał żadnej polityki” — *c'est funambulesque*. Ale ten sam Marcin Decoud zauważa gdzie indziej: „Rewolucje oglądane z odległości paryskich bulwarów wyglądały zgoła inaczej. Tu, na miejscu, było niepodobieństwem zbyć ich tragikomedie wykrzyknikiem: *Quelle farce!*” Ileż razy innymi słowami mówiłem sobie tutaj to samo.

Naturalnie, że już choćby w tych dwóch cytatach z „Nostroma”, można się doszukać całej masy analogii z nami i snuć domysły, że Conrad włożył te słowa w usta Decouda myśląc o Polsce. Można przytoczyć dziesiątki innych. Baines cytuje nawet tę drugą uwagę Decouda i jeszcze inną, przylegającą w swej pierwszej połowie prawie, jak rękawiczka: „Na naszym charakterze ciąży dziwna klątwa niezrównoważenia: Don Kichot i Sancho Pansa, rycerskość i materializm, wzniosłe uczucia i giętka moralność, gwałtowne porywy w imię idei i milczące przyzwalanie na wszelkie formy przekupstwa. Wstrząsnęliśmy całym kontynentem dla ocalenia naszej niepodległości po to, by stać się bierną ofiarą demokratycznej parodii, bezbronny łupem łotrów i rzezimieszków...”. Tu Baines przerywa cytat. Skończmy go: „...po to, by nasze instytucje stały się pośmiewiskiem, nasze prawodawstwo farsą, a Guzman Bento naszym panem! Upadliśmy tak nisko, że gdy człowiek pańskiego pokroju zdoła obudzić nasze sumienie, jeden głupi barbarzyńca pokroju Montero — wielkie nieba! jeden Montero! staje się nagle śmiertelnym niebezpieczeństwem, a tępy, chępliwy Indianin typu Barrios występuje jako nasz obrońca”.

Pierwsza połowa jest „polska”, druga czysto łacińsko-amerykańska? Byłby to przykład czegoś w rodzaju *splitted writing* czy *splitted thinking*. A w takim razie... W takim razie ile tu naprawdę Polski, a ile prawdziwej Costaguany? Kim był w istocie Montero, a kim Barrios? Ten Indianin to może Włoch, Ramorino. Indianie i Włosi mają wiele wspólnych cech, choć wolę Indian. Kogo przedstawiał dr Monygham? Waleriana Łukasińskiego, Sanguszkę na Syberii czy Konarskiego w kajdanach? Dajmy spokój. Widzę w tym tylko Costaguane, bo w niej żyję. Domysły tego rodzaju można snuć, gdy nie zna się tego kontynentu. Wszyscy Słowianie i Latyni mają mnóstwo wspólnych cech, a *coctail* Don Kichot-Sancho-Pansa występuje nie tylko w poszczególnych narodach (ileż go u Francuzów) lecz i w każdym człowieku na trochę wyższym poziomie od przyniatającej większości czystych Sancho-Pansów. Dlatego dzieło Cervantesa jest wieczne i pozostanie nim nawet gdy wieczość się skończy, jakby powiedział Mr. Prudhomme.

„Nostromo” jest książką piekielnie ambitną, prawdopodobnie najambitniejszą ze wszystkich powieści Conrada i chodzi w niej o Amerykę Południową i Środkową, o Costaguane, która jest genialną *pars pro toto*. Czytając „Nostroma” nie myślałem o żadnych analogiach, bo doskonałość tej analizy spektralnej Ameryki Łacińskiej i wprost zawrotna trafność najdrobniejszych uwag, obserwacji i opisów, odnoszących się do badanego przedmiotu, nie pozwoliły mi myśleć o czym innym. Nie ma w „Nostromie” ani jednego błędu w realiach, a wyczucie środowiska i wycie się w ten bardzo specyficzny świat graniczą wprost z cudem i jakąś nadprzyrodzoną intuicją; szczególnie gdy weźmie się pod uwagę, że Conrad zetknął się z nim tylko przełotnie i poznał go jedynie z lotu ptaka. Ale niewątpliwie z lotu ptaka drapieżnego.

Tymon Terlecki zaczyna swój doskonały esej w zbiorze „Conrad żywy” słowami: „Nikommu przy zdrowych zmysłach nie przyjdzie do głowy „rewindykowanie” Conrada... Jest pisarzem angielskim, należy do kultury anglo-saskiej. Tego faktu nie zmienia żadna rewindykacja. I nie trzeba go zmieniać”. O to chodzi — nie trzeba. Wydaje mi się jednak, że nie rewindykując go wprost, trochę zanadto staramy się rewindykować go okólnie, pośrednio. Narodowa interpretacja twórczości Conrada może być przyczynkiem, hipotezą roboczą w studiach nad ludźmi typu Conrada, ale nie zwałajmy na nią całej ciężkości i donośności jego książek. Mam wrażenie, że Conradowi udało się pomimo wszystko w dużym stopniu to, co Gombrowicz proponował raz naszym pszeniczno-skowronkowym pisarzom i co ośmielił się nazwać po prostu „uwolnieniem się od Polski”. Gdyby Conradowi się to nie udało, to po swojej podróży do Afryki napisałby „W pustyni i w puszczy” zamiast „Jądra ciemności”.

Całkowite uwolnienie się od Polski jest dla Polaka nie możliwe, bo Rosjanie nam na to nie pozwalają i kto wie, czy na dnie naszej nieuleczalnej antyrosyjskości nie tkwi właśnie to. Conrad poszedł jednak w tym uwolnieniu się znacznie dalej, niż się to na ogół przyjmuje. Nie był oczywiście Anglikiem, bo człowiek urodzony w Polsce, żeby nie wiem co wyprawiał, żeby nawet sypiał z parasolem, może być co najwyżej przysłowiowym Anglikiem z Kołomyi i *notre émigration funambulesque* roi się od takich Anglików. Ale także nie był już całkiem Polakiem. Był typowym okazem *Kosmopolaka* i jako do takiego okazu należy do niego podchodzić. Jest to okaz jeszcze zupełnie niezbadany i nieprzestudiowany, pokryty do dzisiaj wstydliwym milczeniem lub wklejany na siłę w jakieś polskie ramki choćby z nich co chwila wyskakiwał. Nie był też jedyną wybitną osobistością wśród Kosmopolaków. Mieliliśmy ich, chwala Najwyższemu, kilku bardzo wybitnych, ale niestety za mało. Oby młode pokolenie emigracyjne wydało ich jak najwięcej. Nie chcąc przyznać im prawa do ich specjalnego statusu, odmiennej lecz pokrewnej formacji duchowej i światopoglądu, unikając chłodnego i normalnego przeanalizowania bakcyli kosmopoliskości, tkwiącego po trosze w każdym Polaku, (tak, tak) pomawiając ich za często i o byle co o „zdradę”, „odstępstwo”, „wyobcowanie” i inne paskudztwa, pasjami lubimy powoływać się na nich przed obcymi. Bo okazuje się, że bez nich nikt by się nigdy niczego nie dowiedział o naszej ukochanej Polsce.

Leszek Szymański w jednej z ostatnich „Kultur” napisał niedawno, że w końcu Conrad znaczy w świecie więcej, niż Mickiewicz. Jasne. I dla Polski w sumie też więcej zrobił, niż brat Adam. Czas już zabrać się na serio do studiów o Kosmopolakach, bo w przyszłości mogą być znowu kłopoty, kim i czym był np. ten Pietrkiewicz vel Peterkiewicz („Toż to zupełnie jak jakiś włamywacz” — napisał ktoś do mnie niedawno o nim) gdy włamie się do literatury angielskiej jako George Peter. Jest nadzieja, że gdy ciche powarkiwanie zamienia się w głośne szczekanie, wpędzimy Pietrkiewicza w kompleks zdrady i zostanie wielkim pisarzem angielskim, czego mu z duszy życzę.

Świetna biografia Conrada Bainesa powinna nas do tych studiów zachęcić dając pasjonujący wizerunek jednego z najwybitniejszych i najciekawszych Kosmopolaków.

Andrzej BOBKOWSKI

Czyste malarstwo czy poetyka

Józef Czapski jest malarzem. We wstępie do „Oka” pisze: „Ta książka jest w pierwszym rzędzie myśleniem o malarstwie z paletą w rękę”. I dalej: „Wkład malarzy do krytyki sztuki musi być *inny*, bo musi być brany nie w oderwaniu od malarstwa, które ich sąd, tak czy inaczej, krystalizuje”. Jest to bardzo głębokie stwierdzenie, pozornie tylko oczywiste, właściwie odkrywcze (André Lhote, na przykład, uważa się za obiektywnego filozofa sztuki, co prawda jego malarstwo wydaje się niestety filozofią stosowaną). Odpiera ono z miejsca większość zarzutów, które chce autorowi „Oka” postawić. Myślę, że upoważnia mnie również do analizy krytyki sztuki Czapskiego w odniesieniu do jego malarstwa.

Polemika z Czapskim jest o tyle utrudniona, że szkice zawarte w „Oku” pisane były na przestrzeni trzydziestu lat. Sam autor pisze, że jego „stosunek do niektórych malarzy i nawet niektórych kierunków przesuwają się z czasem i zmieniają w akcentach”. „Oko” jest zarazem dokumentem polskiej kultury plastycznej i autobiografią wrażliwości malarskiej. „Wrażliwość malarska” jest z kolei nierozłącznie związana z głębszą, obejmującą wszystkie sfery życia, wrażliwością. Stanowi to zresztą o wielkim bogactwie „Oka”, bogactwie nie tylko estetycznym i intelektualnym, ale zahaczającym o historię i psychologię. Józef Czapski podzielił swą książkę na trzy części: „Paryż i Polska 1923-1939”; „Z.S.S.R. 1939-1942”; „Paryż 1947-1960”. Ja widzę w niej cztery okresy, które bym zatytułował: „Paryż i Polska czyli pasja teoretyczna”; „ZSSR czyli kontemplacja”; „Paryż 1947-1948 czyli apokaliptyczne złudzenie” i wreszcie „Ku uświadomieniu własnej poetyki”.

Pierwsza część to przede wszystkim dokument polskiej kultury plastycznej. Przedwojenna polska awangarda abstrakcyjna: Strzebiński, Katarzyna Kobro, Berlewi, Stażewski, to ostatecznie niemal współcześni Malewicz, Mondrian, Delau-

neya. W dziedzinie sztuki, w której tak wielką rolę gra data *copyright'u*, kilka lat stanowi o różnicy między bohaterskimi prekursorami, a pierwszymi epigonami, ale przecież „Blok” funkcjonuje w Polsce już we wczesnych latach dwudziestych. Kiedy Kapiści wrócili z Paryża do Polski w 1930 r., Czapski pisze, że czuli się oni „nosicielami prawd w malarstwie absolutnych i elementarnych, a w Polsce nie uznanych”. I ma rację: wysepki awangardy polskiej przeszły przez rewolucję suprematyzmu, konstruktywizmu i unizmu — bardziej podstawowa lekcja Cézanne’a Polskę ominęła. Trzeba o tym pamiętać czytając ówczesne artykuły Czapskiego „Przeciw Matejce”. Ale artykuły te nie mogą dziś pasjonować: wiatrak sztuki narodowej leży w gruzach, na próżno próbowano dąć w jego skrzydła wiatrem socrealizmu. Natomiast kiedy Czapski, do pewnego stopnia przeciw swym własnym ówczesnym teoriom, woła w 1938 r. o rehabilitację Gierymskiego, to co pisze pozostaje aktualne i należy do najściślej przemyślanych, najsutelniejszych szkiców w tym zbiorze. Otóż wydaje mi się, że miłość Czapskiego do Cézanne’a i do Gierymskiego jest wynikiem tej samej podstawowej poetyki. Tylko, że pisząc o Cézanne’ie Czapski ulega złudzeniom teorii plastycznych, pisząc o Gierymskim wbrew tym teoriom wypowiada się swobodniej i głębiej.

Myślę, że powinienem tu wyjaśnić co rozumiem przez „poetykę” malarstwa. Marcel Duchamp dokonał kiedyś swiostego rozróżnienia dwóch kierunków malarstwa: *la peinture rétinienne* i *la peinture de matière grise*. Jest to oczywiście jeden z jego genialnych paradoksów, ale który może być pomocny do pewnej klasyfikacji, zwłaszcza dlatego, że pozwala uniknąć naiwnego rozróżnienia między malarstwem „czystym” i „literackim”. Malarstwo „czyste” nie istnieje, chyba jako tautologia. Malarstwo „literackie” to pojęcie absurdałne, pozostałość przebrzmiałej polemiki ze złym malarstwem anegdotycznym dziewiętnastowiecznych akademików. Odczuwamy natomiast zaraz, że szczytem malarstwa „żrenicowego” byłby Bonnard, szczytem malarstwa „mózgowego” sam Duchamp. Jednym z paradoksów awangardy ostatniego półwiecza jest, że podaje się ona nieraz za szczyt „czystego malarstwa” (postaram się wykazać dalej, jak na nią wpłynął *mit* czystego malarstwa) podczas gdy tyle w niej jest elementu „mózgowego”. Chciałbym się zaraz zastrzec, że wprowadzenie tu pojęć „zawartości” i „formy” byłoby również spłyceniem. „Zawartość” w „malarstwie mózgowym” to forma, tak samo jak w „malarstwie żrenicowym”. To prawda, że Duchamp pasjonowały bardzo zawite i subtelne problemy intelektualne (1), ale wyraził on je plastycznie, a więc poza sferą ścisłego intelektu. Malarstwo Duchamp nazwałbym „plastyczną poetyką pewnej sfery intelektu”, malarstwo Bonnarda „plastyczną poetyką pewnej

(1) O wkładzie Marcel Duchamp do sprecyzowania mitologii XX w. pisze Michel Carrouges w swej książce „Les machines Célibataires”.

sfery zmysłów”, z tym zastrzeżeniem oczywiście, że elementy zmysłowe (zwłaszcza erotyczne) są bardzo silne u Duchamp, podczas gdy nie trudno by odkryć założenia intelektualne w malarstwie Bonnarda (nie mówię to naturalnie o estetycznych problemach teorii, estetycznych, ale o pewnym stosunku do czasu, do życia ludzkiego, do natury, który jest dla mnie zawarty w jego obrazach).

„Prawdą w malarstwie absolutną i elementarną”, z którą Czapski wrócił do Polski, była wiara w „czyste malarstwo”. Stąd może tak mu było trudno wyrazić to, co go urzeka w malarstwie Cézanne’a (gdyż wszelka aluzja do „poetyki” Cézanne’a wydawałaby się mu wówczas skandaliczna). Czapski głosi w 1934 r., z pasją i entuzjazmem, o Cézanne’ie prawdy wątpliwe i mało egzaltujące. Do czego sprowadza się ta „rewolucja Cézanne’a”? Czytamy że jest to „związanie abstrakcyjnie doskonałej w kwadracie płótna kompozycji z konkretną wizją świata materialnego” oraz „scalenie koloru i rysunku”. Pierwsze twierdzenie odnosi się chyba do wszystkich wielkich obrazów figuratywnych (z tym że wbrew Lhote’owi, myślę coraz częściej, że „abstrakcyjnie doskonałą w kwadracie płótna kompozycję” tworzy wielki obraz, a nie przeciwnie, inaczej mówiąc, że „abstrakcyjnie doskonałych kompozycji” jest ilość nieskończona i że nie ma na nie żadnych reguł). Co do „scalenia koloru i rysunku” to albo może się to odnosić do Rembrandta, Tintoretta, późnego Goyi, albo oznacza wężej specyficzny styl Cézanne’a i wtedy nie jest do przekazania. Więcej od tych teoretycznych rozważań daje nam kilka słów we wstępie do „Oka”, kiedy Józef Czapski pisze, że to co wiąże jego książkę do *Cézanne i stosunek do natury*. Ale to już odnosi się do poetyki plastycznejowości Czapskiego, do której przejdę dalej.

Ta pasja teoretyczna, ta wiara w dogmat „czystego malarstwa” jest u Czapskiego w latach powojennych o wiele mniej widoczna. Wystarczy przeczytać szkice (do niektórych z nich powrócę) o Dufy, Derainie, Sutinie.

Odnajdujemy jednak jej bardzo charakterystyczne echo w ostatnim (nieopublikowanym uprzednio) rozdziale jego książki, poświęconym malarstwu abstrakcyjnemu. Czapski nawiązuje tu do naiwnych „lapalisad” Gilsone (którego zresztą bierze na serio) i tak wspomina widzianą przed paru laty wystawę arcydzieł muzeów wiedeńskich w Petit Palais:

„Wychodząc z gmachu, naprawdę uniesiony entuzjazmem dla piękności szeregu płócien, uświadomiłem sobie, że ani razu, patrząc na nie, nie przyszło mi na myśl co one przedstawiają, sama forma, sama *qualité* barwy działały na mnie tak silnie, że nie miałem czasu reagować na inny aspekt tych obrazów. To stanowisko, właśnie abstrakcyjne, jest przez to może równie kalekie, jak spojrzenie na obraz wyłącznie od strony przedstawionej treści z pominięciem elementów plastycznych”.

Nie wierzę Czapskiemu. Nie wierzę, że patrząc na wiedeńskie Breughle ani razu nie pomyślał: „człowiek i przyroda”, „czas”, „sens-czy bezsens-społecznego życia”. Myślę, że Czapski ma co innego na myśli: że nie zainteresował się pozornym tematem obrazu, *anegdota*: ale „Upadek Ikara” czy „Flamandzkie przysławia” to dla samego Breughla — obojętne czy świadomie — pretekst dla wyrażenia jego wizji świata: cykliczny powrót sezonów, mrówcza absurdalność ludzkich poczynąń jest esencją poetycką jego dzieła. Dodajmy tu zaraz: ta poetyka jest nieodłącznie związana z „elementami plastycznymi”, jest ona bardziej jeszcze wynikiem „formy” niż „treści”.

Hipotetyczny widz, dla równowagi przytoczony przez Czapskiego, „patrzący na obraz wyłącznie od strony przedstawionej treści, z pominięciem elementów plastycznych”, jest również wynikiem nieporozumienia. Nie można, patrząc na obraz „pominąć elementów plastycznych”: można po prostu być całkowicie pozbawionym plastycznej wrażliwości. Wówczas istotnie jest się prawdopodobnie skazanym na wyszukiwanie u Breughla, kto pod kim dołki kopie, liczenie skrzydeł Ikara, studiowanie ubiorów flamandzkich chłopów: skazanym na *anegdotę*, niezdolnym do odczucia poetyki obrazu.

Posłuchajmy patrona Józefa Czapskiego — Cézanne’a świętego i bohatera „czystego malarstwa”:

„...Aby dobrze namalować krajobraz muszę najpierw odkryć jego geologiczne podstawy. Pomyśl, że historia świata zaczyna się od spotkania dwóch atomów, od zespolenia dwóch wirów, dwóch tańców chemicznych. Te wielkie tęcze, te pryzmaty kosmiczne, ten świt nas samych ponad nicością, widzę jak wzrastają, upajam się nimi czytając Lukrecjusza. Pod tym wątlm deszczem oddycham dziewiczością świata. Mam zastrzone poczucie odcieni. Czuję się sam barwiony wszystkimi kolorami nieskończoności. W takich chwilach stanowią jedną całość z moim obrazem...”

i dalej:

„Przeszedł mnie wielki dreszcz. Jeśli potrafię tajemnicą moich kolorów podzielić się tym dreszczem z innymi, czy ich odczucie wszechświata nie stanie się jeszcze bardziej obsesyjne, być może, ale o ileż bardziej płodne i rozkoszne?”. (List do Joachima Gasquet).

Czymże jest to „upojenie Lukrecjuszem”, ten „wielki dreszcz”, ta mistyka przyrody, jeśli nie bardzo świadomą, bardzo sprecyzowaną poetyką? Miłość Czapskiego do Cézanne’a wynika, moim zdaniem, nie z zachwyty dla „doskonałej w kwadracie płótna kompozycji”, czy „scalenia koloru i rysunku”, ale z tego, że panteistyczna poetyka utożsamienia się z przyrodą, próby uchwycenia uniwersalnego rytmu, jest mu szczególnie bliska. „Oko” na każdej niemal stronie jest tej poetyki wyrazem.

Już w 1938 r., w artykule o Gierymskim, o którym wspominałem powyżej, Czapski zapytuje:

„Czy możliwe byłyby takie arcydzieła jak trawy i kwiaty Dürera, jak jego delikatne pejzaże z mikroskopijnymi miastami na niebieskich górach, ptaki i zwierzęta Pisanella, portrety Cloueta czy Hansa Holbeina, bez namietnego, pokornego wpatrywania się w naturę, bez całych etapów pracy, gdzie najdalej idąca wierność jej oddania była jednym z głównych tej pracy zadań”.

Ale wówczas Czapski — teoretyk zastrzega się jeszcze nieco wstydliwie, że chodzi tu tylko o „*metodę rozwijania wrażliwości oka na formy i barwę*”.

„Poetyka natury” triumfuje natomiast w kontemplacyjnym okresie rosyjskim. Do najcenniejszych części „Oka” należą krótkie wstępy, kreślące tło okresów, w których powstały zawarte w książce szkice. O latach spędzonych w sowieckich obozach Czapski pisze w sposób szczególnie głęboki i subtelny: „Kiedy dziś mówi mi ktoś współczująco: ‘ach jak musiał Pan cierpieć w Rosji’ odczuwam zażenowanie i sam tego nie rozumiejąc chcę zaprzeczyć; myślę, że moje młodościowe lata w Paryżu były po jakimś trudniejsze. To była pierwsza w moim życiu konfrontacja marzenia z rzeczywistością. Może jest łatwiej być niewolnikiem niż wolnym? Mówią, że Murzyni niewolnicy żyli dłużej niż Murzyni wolni”.

„Brzozy na bladym niebie, wspaniałe błyszczące sroki, skaczące po zeschłych liściach, nienaturalnej wielkości chwasty, wspaniałe, wybuchające na wiosnę i nieporównany urok tej pysznej, błyskawicznej wiosny północnej”.

Z Griażowca wspomina Czapski ten przepych stepowy, chęć rysowania „drobnej koniczynki w ząbki”. Zanotujmy jeszcze jedno charakterystyczne zdanie: „Czy można dojść do sztuki pełnej nie idąc nigdy tą wąską ścieżką pokory absolutnej, tej czci do świata, które oko widzi, bez tej pracy gdzie jest możliwa obiektywna kontrola ścisłości oka i ścisłości ręki?”. „Pokorne wpatrywanie się w naturę”, „wąska ścieżka pokory absolutnej”: słownictwo to uzależnia sztukę od pewnej postawy moralnej, bliskiej chrześcijaństwa. Nie twierdzą, oczywiście, że identyfikacja z naturą ma podłoże specyficznie chrześcijańskie. Czapski cytuje w „Oku” piękne zdanie Dürera: „Z siebie samego człowiek nie może wykonać żadnego dobrego obrazu, ale jeżeli długo badał przedmiot i cały nim nasiąknął, to sztuka tak zasiana przyniesie owoc i wszystkie skarby tajemne serca będą wyrażone w dziele, w nowym stworzeniu”. Jakże to przypomina chińską opowieść o cesarzu, który zamawia u wielkiego malarza obraz kraba. Malarz prosi o dziesięć lat czasu. Po dziesięciu latach wzywa go cesarz: „Gdzie mój obraz”. — „Nie ma go jeszcze, ale namaluję go teraz”. Patrząc na obraz kraba doskonałego, cesarz pyta: „Dlaczego żądałeś dziesięciu lat, kiedy obraz namalowałeś w pięć minut?”. „Na to żeby namalować taki obraz trzeba najpierw stać się krabem”.

Ale słowo pokora oznacza u Czapskiego więcej niż „depersonalizację”.

„Jeżeli czytamy mistyków średniowiecznych” — pisze Czapski — „znajdujemy tam uderzające analogie między wizją artysty, drogami do tej wizji prowadzącymi, a drogami, które nas prowadzą do stanów ekstazy, do tego co Św. Jan od Krzyża nazywa *contactus Dei*. Nie chcę bynajmniej podszywać tutaj przeżycia artystycznego, nieskończenie bardziej zmysłowego, materialnego, pod ekstazy i stany modlitewne Św. Jana i innych, niemniej jednak analogie są tak uderzające, wykres stanów tak nieraz identyczny w swych załamaniach i uniesieniach, że najbardziej świecko nastawiony artysta powinien się nad tym zastanowić”.

Nie potrzebuję chyba podkreślać, że zastrzeżenia („nie chcę bynajmniej podszywać”) mniej tu ważą od samej sugestii, że doświadczenie artystyczne i doświadczenie religijne jest tej samej natury. Twierdzenie to nie jest nowe i w pewnym sensie zgodzi się na nie każdy, kto rozumie podział ludzkiego istnienia na dziedzinę powszednią, szarej ciągłości utrzymania życia materialnego, czynności powtarzanych w biologicznym polykanii czasu i dziedzinę sakralną, przerwania ciągłości, ognia, otchłani, święta, buntu przeciwko bytowi. Do tej dziedziny sakralnej należy esencja doświadczenia religijnego, podobnie jak pewne formy doświadczenia artystycznego, jak erotyzm, narkotyki, wojna.

Wydaje mi się jednak, że Czapskiemu nie wystarczyłoby to zaliczenie doświadczenia artystycznego do dziedziny sakralnej ludzkiego istnienia. Podejrzewam u niego transfer chrześcijańskiej religijności na sztukę. Oto jak odpowiada on na nieco odmiennie zresztą sformułowanie Malraux dla którego „w cywilizacji agnostycznej, 'spadkobierczyni wszelkiej wielkości', funkcją zastępczą religii jest wolność twórcza geniuszów-demiurgów”;

„Jeżeli sztuka ma wystarczyć, jeżeli będzie neo-religią agnostycznej kultury, jeżeli jest tylko rzuconym w ciemności *zapytaniem* na które nie może być odpowiedzi, bo nie ma *komu* odpowiadać, jeżeli Bach, Rembrandt czy Norwid są tylko zapytaniem a nie także *odpowiedzią*, nicią łączącą nas z doświadczeniem innego wymiaru, o którym nawet Proust pisze w swych stronach o śmierci Bergotte'a — sztuka jest wtedy jak wszystko w życiu, mówiąc językiem Kirillowa z „Biesów” diabelskim wodewilem”.

Można by odpowiedzieć, że „Śmierć Boga” nie oznacza przerwania nici z „doświadczeniem innego wymiaru”, po prostu dlatego, że ten „inny wymiar” istnieje w człowieku, że istnieją oczywiście tylko zapytania, które są „odpowiedzią”; że „diabeł” jest również tylko jedną z projekcji tego „innego wymiaru” w człowieku. Ale cytuję ten interesuje nas tutaj tylko w tej mierze, w jakiej pomaga do zrozumienia stosunku Czapskiego do sztuki. Sztuka dla niego jest *funkcją* obiektywnej metafizyki o chrześcijańskim podłożu.

Esencją tej metafizyki jest zgoda na harmonię świata. Stąd tak mało zainteresowania u Czapskiego dla „prometejskiej”, buntowniczej formy sztuki. Myślę, że przeszedł on mimo dadaistów i nadrealistów dlatego, że nihilistyczne i „bluźniercze” formy sztuki są mu obce. Charakterystyczne: malarze, którym poświęca szkice, to Cézanne, Waliszewski, Gierymski, Bonnard, Cybis, Dufy, Derain — wszystkich łączy pewna forma aprobaty świata, miłości do natury, kultu tradycji. Istnieje również inna forma sztuki, na którą Czapski jest czuły, ale należy ona jeszcze ściślej do mitologii chrześcijaństwa: nazwałbym ją „szuką odkupienia”. Reprezentują ją w „Oku” dwa szkice o malarzach, na jakże różnym poziomie: o Buffetie i Sutinie. Buffet, jedyna bodaj w „Oku” omyłka, ale omyłka zrozumiała (Buffet *nie jest* wielkim malarzem; talent jego jest bezsprzeczny; w nagance na jego malarstwo użyto tylu nieuczciwych argumentów), to dla Czapskiego „struga świeżej krwi”. O Sutinie Czapski pisze z wyjątkową wrażliwością, widać że przeżył jego obrazy głęboko. Ale pewne akcenty w tym szkicu świadczą również o tym, że Czapski chce go pogodzić ze swą własną wizją świata. Nie neguję „głodu jakiegoś absolutu”, jest to stwierdzenie uniwersalne o ludziach, nie tylko o artystach. Ale Czapski pisze także, że Sutin „podskórnie, poświadomie głodny był innej harmonii”.

„Gdybym był katolikiem, dużo bym chodził do kościołów”, to jego słowa. Marzył latami by malować zakonnice (czy tylko forma ich kornetów go pociągała?).

Oba te podejścia „chrześcijańskie” do sztuki — „aprobaty świata” i „odkupienia” są zresztą dla Czapskiego dialektycznie związane.

„Jeżeli chodzi o mnie” — pisze Czapski (motto do tego szkicu wzięte jest z pism Św. Teresy z Avili) — „długo męczyła mnie ta dwoistość podejścia — jedno analityczne, rozumowe, wyrastające z tradycji Holendrów i do pewnego stopnia z pointillistów i drugie, wariackie, dla siebie samego nieoczekiwane — prawdziwy skok w przepaść”. Znamy płótna Czapskiego wynikłe z jednego i z drugiego podejścia, choć nie wystawia on na ogół swoich „pokornych” studiów z natury. Szereg jego obrazów „piłowanych”, jak sam się wyraża, szanuję i cenię, jako dokumenty. W tej dziedzinie rozumiem jego podziw dla Jean Colina, który, gdyby nie jakże przedwczesna śmierć mógłby zostać współczesnym Vermeerem.

W „skokach” malarskich Czapskiego pasjonuje mnie jednak tradycja inna niż u Cézanne'a czy Bonnard. Myślę nawet, że istnieje pewien konflikt pomiędzy Czapskim „ideologiem malarstwa” i Czapskim-malarzem. Obrazy jego, które najwyższą cenę, to wyniki transponowanej, błyskawicznej obserwacji ludzkiej tragikomedii. Nieoczekiwana kompozycja (okno wa-

gonu czy metra, którego widać tylko skrawek, przecięte w pół lustro, skrót korytarza, olbrzymie drzwi) okrutny stereotyp ludzkiej twarzy, malarski odpowiednik Steinberga czy Siné, świadomy wyrafinowany zgrzyt kolorów: tak jak Longhi czy Daumier, Czapski — malarz jest dla mnie satyrykiem współczesnej cywilizacji. Poetyka jego malarstwa jest ostra, przenikliwa, pozwala nam uchwycić swoiste, ekscentryczne piękno zawarte w społecznym banale. Wydaje mi się to dalekie od „pokory”, ale nie od tolerancji świata takim, jakim jest.

„Idealizm” Czapskiego — w negatywnym, marksistowskim ujęciu — nie szkodzi jego malarstwu. Szkodzi oczywiście czasem jego działalność krytycznej. Należy mu się uznanie za to, że włączył do „Oka” szkic o Bonnardzie z „epoki apokaliptycznej” pt. „Raj utracony”. We wstępie do tego paryskiego okresu pisze Czapski zresztą:

„Stwierdzam jak bardzo inaczej dzisiaj widzę Paryż. Aura powojenna, katastroficzna, rozplynęła się w troskach codziennych, planach na najbliższe miesiące”.

Ale w szkicu o Bonnardzie z tego okresu pisał Czapski, że oglądając w 1947 r. „martwe” Cybisa:

„odczuł przepaść między tym malarstwem natury, radości i czystych spekulacji barwnych, a naszą dzisiejszą rzeczywistością”. I dalej: „przez lata w Polsce Niepodległej walczyliśmy o prawo artystów, by żyli tylko dla sztuki, wychodząc z założenia, że nie można tworzyć wielkiej sztuki, robiąc z niej, jak to chciał Matejko, służebnicę rzeczy ważniejszych. Ale co robić, kiedy tamte rzeczy, rzeczy ważniejsze w rozumieniu Matejki, przesłaniają cały świat, dławiają do tego stopnia, że genialna martwa natura Bonnarda dochodzi do nas jak wyraz „raju utraconego”, świata, który *minął*”.

Nie pytajmy teraz dla kogo „la Belle Epoque” była piękną, i czy istniał raj inny niż własny „raj Bonnarda”, tak jak w 1947 r. mógł istnieć „raj Cybisa”. Huizinga dziwił się podobnie w swoim „Zmierzchu Średniowiecza”, że XV wiek, wiek „głodu, moru i wojny”, wiek strachu, wydał malarstwo tak idealnie, kryształowo-spokojne jak van Eycka czy Memlicka. Ale sztuka może być właśnie marzeniem o „raju utraconym”, może być snem o utopii, związki jej z epoką są nieraz zamaskowane, często oparte na sprzecznościach, zawsze dialektyczne.

Ostatni rozdział „Oka” poświęcony jest malarstwu abstrakcyjnemu. Słabością Czapskiego jest, że próbuje on podejść kryteriami raz estetycznymi, raz etycznymi do fenomenu, który wydaje mi się w pierwszym rzędzie socjologiczny. Zbyt dużo miejsca poświęca autor próbom sformułowania, zatrzymując się niestety na absurdalnej formule pedanta Seuphora: „sztuka abstrakcyjna to każda sztuka, która nie zawiera w sobie żadnej ewokacji rzeczywistości, niezależnie od tego czy jest ona, czy

nie jest, punktem wyjścia dla samego artysty”. Trudno o więcej głupstw w tak krótkim zdaniu. Po pierwsze nie ma obrazu, który by nie był zdolny do „ewokowania” jakiegoś wycinka „rzeczywistości”, a szereg artystów, których Seuphor zalicza do „abstrakcjonistów” są to w istocie „surnaturaliści” (dają nam nie tyle *trompe l'oeil* skały, muru czy rudy, co ich odlewy). Po drugie jeśli rzeczywistość jest punktem wyjścia dla artysty, to widz o pewnej wrażliwości ten punkt wyjścia odnajdzie: seuphorowska „abstrakcja” byłaby zatem wyłącznie sztuką dla prostaków. Po trzecie do powiedzenia Picassa: „nie ma sztuki abstrakcyjnej, trzeba zawsze od czegoś zacząć”, można dodać: „trzeba zawsze czegoś użyć”: elegancka kaligrafia Soulages’a może być odczytana jako powiększenie *aigrettes* na kapeluszach pięknych pań Boldiniego.

W podejściu Czapskiego do abstrakcji pokutuje również jego stary dogmat „czystego malarstwa”. „Trzeba być bardzo naiwnym — pisze on — żeby dopiero u abstrakcjonistów wykrywać to „czyste” doznanie malarskie”, ale przyznaje równocześnie że „abstrakcjonści stawiają cały akcent na ten jeden aspekt sztuki”. Twierdzenie to nie jest całkowicie mylne: myślę, że współczesna degradacja malarstwa jest paradoksalnie związana z dużym postępem w kierunku zrozumienia „na czym sztuka polega”. Postaram się to uzasadnić. Proces malarski w tradycji zachodniej porównałbym do procesu alchemicznego. Malarz dążył do „namalowania danego obrazu” tak, jak poeta do „napisania danego wiersza”. *Cud* malarski był „produktem ubocznym” tego zadania: nagradzał długą, uporczywą wyprawę w niewiadomym właściwie kierunku. Worringer, Elie Faure, ich popularyzator Malraux odkryli prawdę oczywistą: że malarstwo to gra barw i kształtów, uderzenie pędzlem. *Po co* długa i ryzykowna wyprawa, jeśli „cud” można wywołać świadomie? Tyle, że Giotto i Masaccio „esencjonalny”, Poliakoff nie tak nas, niestety, wzrusza...

A oto inny element gdzie Czapski jest, myślę, na słusznym tropie, ale odwraca kolejność zjawisk. Wylicza on szereg „wstrząsów wzrokowych”: „Esy-floresy białe, pędzlem do malowania ścian, na szkiele sklepowej w Amiens... mur szary, ciepły w Maisons-Laffitte, na którym białą farbą namalowano paralelogramy nierównego kształtu...” i zapytuje „czy i do jakiego stopnia zawdzięczam te nagłe przeżycia wpływom sztuki abstrakcyjnej?”. Byłbym skłonny odpowiedzieć: w żadnym. Ale wydaje mi się, że wobec nadchodzącej ery plastyku, emalii, chromu, wobec grożącej eliminacji porów drzewa, chropowatości starych murów, surowców wyobraźni plastycznej jakimi są wilgoć i pleśń, potężny prąd współczesnego malarstwa (i nie tylko świadomie zgrupowany wokół „Art Brut”) chciałby stać się Anteuszem ludzkości, zachować kontakt z ziemią, kamieniem, z materią w swej ożywczej formie. W tym sensie Dubuffet to „Kamienie polne w salonie” i trudno się dziwić, że szmaty Burriego zastępują w mediolańskich drapa-

czach styczność z odpadkami, które pochłania i niweczy mechaniczny *gadget*.

Doprowadza mnie to do socjologicznej interpretacji współczesnego malarstwa abstrakcyjnego, która wydaje mi się nowa (bo nie natknąłem się na nią nigdzie, nie tylko w „Oku”). Chciałbym zaproponować podejście do abstrakcji jako reakcji na „wyzwanie” rzucone artyście przez socjologiczną mutację jaką zapowiada społeczeństwo technologiczne (czy społeczeństwo wysoko uprzemysłowione” w sensie *industrial society* (2)). Ta reakcja może być dwójaka: bądź „pozytywna” (próba integracji społeczeństwa przemysłowego w ramy współczesnej mitologii), bądź „negatywna” (a w istocie „kompensacyjna): sztuka jako rezerwat odwiecznych, indywidualnych mitologii w społeczeństwie przemysłowym.

Zacznijmy od tego, że abstrakcja urodziła się pod hasłem „anty-sztuki”. Samolot jest piękniejszy od rzeźby greckiej, dynamomaszyna od Mony Lizy, której należy doczepić wasy, spalić Louvre, spalić Watykan, od sześćdziesięciu lat hasła te, głośnie u Marinettiego, cichsze już dziś u Przybosa, są nam dobrze znane. Futuryzm, suprematyzm, konstruktywizm — był to „sen o społeczeństwie technologicznym”, jak starałem się wykazać niedawno w „Kulturze”, w artykule o rosyjskiej awangardzie (poza platońską utopią komunizmu, tezę tę można rozszerzyć oczywiście na Boccioniego, Mondriana, Delaunaya itd.). Ale maszyny to była nie tylko wieża Eiffla, bracia Wright, Blériot, Marconi. Wojna 1914-1918, pierwsza wojna „przemysłowa”, uświadomiła niektórym artystom groźbę nowej alienacji. Dada, wyrosły z Dada nadrealizm — wydają mi się nieświadomym *protestem* przeciw zapowiadającej się już niewoli społeczeństwa przemysłowego. Abstrakcja „geometryczna”, „zimna” byłaby w tym ujęciu po dziś dzień kontynuacją snu o utopii (choć Vasarely to już raczej ucieczka w „grę”, nieświadomy epigon włoskich, barokowych Jezuitów, wskrzesiciel anamorfoz, złudzeń optycznych i „camery obscury”). Abstrakcja „liryczna”, której związki z nadrealizmem są coraz bardziej oczywiste, byłaby natomiast próbą przechowanie autonomii snu, obrony „Okopów Św. Trójcy” wolności, których fundamentem jest podświadomość.

Nigdy nie mówiono tyle o „wolności” malarza (podejmując się odnaleźć to wyrażenie w każdym tekście o malarstwie abstrakcyjnym) co w społeczeństwach przemysłowych, w których zwykła, codzienna „wolność” ludzka jest coraz bardziej zagrożona. Ciekawe zresztą, że same pojęcie „wolności” artysty, jako wartości wyższego rzędu, pojawia się dopiero w zaraniu rewolucji przemysłowej. Mówiąc o zagrożeniu wolności, nie myślę oczywiście o brutalnej formie totalitarnej, która

(2) Dla uproszczenia będę w dalszym ciągu używał wyrażenia „społeczeństwo przemysłowe” rozumiejąc, je jako społeczeństwo, w którym sektory pośrednictwa i usług przeważają już nad sektorem produkcyjnym.

wyduje mi się fenomenem przejściowym, wynikającym z różnych prób osiągnięcia studium społeczeństwa przemysłowego, obojętne czy wywołanych ideologią wsteczną i nacjonalistyczną (wejść w przyszłość zachowując terrorem imaginacyjną przeszłość), czy ideologią utopijną i uniwersalną. Mam na myśli bardziej subtelne formy ludzkiej alienacji, zawarte w kulturze masowej, w formach współczesnych prasy, telewizji, radia, w *publicity*, *advertising* itd. Czuję się tu zobowiązany do marginesowej uwagi, gdyż odnośnik byłby zbyt długi.

Zaobserwowałem, że nic nie jest bardziej niepopularne w pewnych sferach polskich socjologów i publicystów, jak zwracanie uwagi na niebezpieczeństwa zawarte w „kulturze masowej” i innych formach społeczeństwa przemysłowego. Typową (i zdrową) reakcją jest tutaj ironiczne echo, zawsze wywołane przez tego rodzaju dyskusje w artykułach najinteligentniejszego polskiego publicysty — Kisiele. Groźba telewizji? Dajcie nam najprzód telewizję — woła Kisiel. Demoralizacja wywołana sztuczną podniętą nieistniejących potrzeb? „Dajcie nam najpierw to czego potrzebujemy!” — woła Kisiel. W przeciwieństwie do wielu „marksistów”, Kisiel poświęcił swój talent i swoją inteligencję pewnej formie „realizmu socjalistycznego”, opartej na „zdrowym rozsądku”. Myślę, że należy się tu jedno wyjaśnienie: od *industrial society* nie ma odrotu, sny Ruskina czy Péguy — to absurd. „Dogonienie Stanów Zjednoczonych” jest oczywistym, uniwersalnym dziś imperatywem i jasne, że Kisiel zgadza się tu z Chruszczowem. Myślę tym niemniej, że „konkretyzm”, „realizm”, „pozytywizm” Kisiele (który jest dla mnie najbardziej charakterystycznym wyrazem polskiej opinii w inteligentnej formie) są pewną pozą, i że udaje on tylko pogardę dla wszelkich zagadnień związanych z „pojutrze” pod pretekstem, że Polska nie wkroczyła jeszcze w „jutro”. Jest to zresztą jedna tylko z wielu form polskiego prowincjonalizmu, wywołanego poczuciem, że skoro nie ma się żadnego wpływu na historię, historia to bzdura, a tu trzeba rodzić dzieci, orać i przełamywać opory biurokracji ku skromnemu ale możliwemu postępowi gospodarczemu.

Powróćmy do naszych rozważań o abstrakcji „lirycznej” jako formie buntu przeciw groźbom społeczeństwa przemysłowego. Jeśli tyle się mówi o „wolności” malarza abstrakcyjnego, czy nie oznacza to, że społeczeństwo „deleguje” w malarza swoją potrzebę wolności, z której w codziennym życiu zrezygnowało? Charakterystyczny wydaje mi się fakt, że w dzisiejszej Ameryce, a podejrzewam, że również w Rosji, młodzi ludzie stają się malarzami nie tyle dlatego, że chcą w formie plastycznej wyrazić swój stosunek do świata, ale dlatego, że bujny ich temperament może się wyrazić najswobodniej w malarstwie. Istotnie w pewnych przynajmniej kierunkach współczesnego malarstwa, jak w *action painting*, jedynym kryterium ich wartości jest siła temperamentu, agresywność, awanturność. Niezaprzeczalna wyższość Jacksona Pollocka nad innymi, pokrewnymi

mu malarzami polega właśnie na tym, że czujemy jego fenomenalny dynamizm.

Ten fenomen „delegacji” potrzeby wolności przez społeczeństwo w sztukę, a szczególnie w malarstwo, nie jest oczywiście niewygodny dla tych kilku synarchii, które nie całkiem jeszcze świadomie dążą ku realizacji społeczeństwa przemysłowego, niejasno przeczeczonego przez Burnhama.

Jedynie „skurcz doktrynalny” w Rosji stwarza tę szczególną atmosferę, w której malarz abstrakcyjny nie jest „funkcjonariuszem” od spraw wolności, ale autentycznym buntownikiem.

Czapski cytuje w „Oku” Malraux, wołającego na paryskiej Biennale: „Tu są artyści, którzy są wolni od świata i może władcy świata!” — i dziwi się, że „pisarz tej miary wpada w tego rodzaju pompatyczną frazeologię”. Podejrzewam, że Malraux, nie całkiem może świadomie, już w swych „Głosach milczenia” chciał ze sztuki stworzyć nowe „Opium dla ludu”. Zarówno autor „Condition humaine” jak minister rządu de Gaulle’a wydaje mi się w pierwszym rzędzie zafascynowany problemem kierowania ludźmi, problemem władzy.

Zdaję sobie sprawę, że moja „teza” jest całkowicie intuicyjna i że należałoby ją lepiej uzasadnić niż w marginesowych uwagach „recenzyjnego” artykułu. Podejrzewam tym niemniej, że istnieją ściśle związki pomiędzy mutacją socjologiczną, jaką przeżywa nasze stulecie, i „rewolucją” artystyczną i że związki te mają dialektyczny charakter jaki po krótko zaznaczyłem: nadania społeczeństwu przemysłowemu cech mitologicznych, lub adaptacji do tego społeczeństwa poprzez wyznaczenie malarstwu funkcji zastępczej, rezerwatu sił irracjonalnych.

W dyskusji nad problemem abstrakcji odszedłem od „Oka”. Chcę do niego powrócić nie po to, żeby zakończyć polemiczny artykuł „paroma przyjemnymi zdaniem”. W ciągu długoletniej przyjaźni często mówiliśmy z Józefem Czapskim o malarstwie. Poza Vuillardem, Bonnardem i akwarelami Cézanne’a, nie łączy nas we „współczesnym” malarstwie żaden wspólny entuzjazm. Dzieli nas przede wszystkim stosunek do nadrealizmu, który Czapski łączy z Boecklinem, a który dla mnie jest o wiele szerszym pojęciem, wykraczającym poza malarzy, którzy się podporządkowali, na krócej czy na dłużej, genialnej intuicji i ciasnej dyktaturze Bretona. Uderza mnie raczej zawsze, że mimo tak różnych „założeń” konfrontując nasze wrażenia, często lubimy te same obrazy w muzeach czy na współczesnych wystawach. Dowodzi to może, że pewna intensywność malarzkiej wizji działa nawet w ramach odmiennych „poetyk”. Dufy stał mi się niemal niewidzialny na skutek wulgaryzacji jego wkładu przez słabych epigonów — szkic Czapskiego dopomógł mi odnaleźć w jego obrazach niepowtarzalną „lekkość”. Myślę, że krótki szkic Czapskiego o Derainie uderza w samo sedno złożonego zagadnienia stosunku współczesnego malarstwa do zachodniej „klasycznej” tradycji. Szkic o „martwej

naturze” pomaga do zrozumienia jak absurdalny jest polski (i francuski) termin na ten rodzaj malarstwa, które o tyle lepiej określa angielskie wyrażenie *still life* — „ciche życie”.

Ale w Czapskim-pisarzu najbardziej mnie interesują te własne elementy, które najwyżej cenię w jego malarstwie: obserwacja ludzi, nieoczekiwana *mise en page* sylwetki, błyskawiczna ewokacja, bliska nieraz karykatury. Szkic o Waliszewskim wydaje mi się przykładem jak można „wskrzesić” przyjaciela. Ta „teoretyczna” książka urzeka przede wszystkim konkretem.

K. A. JELEŃSKI

TAZAB's Boutique

Firma nasza pilnie śledząca fluktuacje rynków zarówno w Polsce jak i w Rosji wprowadza nowy dział lepszych artykułów poszukiwanych i łatwo zbywalnych.

Dział ten jest stale zaopatrzony w bogaty wybór towarów angielskich, włoskich, francuskich i niemieckich i zawiera między innymi: damskie palta popelinowe, nylonowe, deszczowe oraz tzw. kurzowce; żakiety „suedette”, mohairowe żakiety, swetry, stole i materiały na spódnice, sukienki jerseyowe i materiały na suknie, artykuły znanych firm KAYSERA i Heleny Rubinstein oraz wielki wybór poszukiwanych towarów.

Prosimy żądać ilustrowanych katalogów TAZAB's BOUTIQUE

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB of LONDON

NEW YORK, 3
36, Third Avenue,
ALgenquin 4-4161

MELBOURNE, C.I.
325, Collins Str.,
MB. 1314

Flet i Apokalipsa

„Po drugiej stronie rzeki mieszkali Koreańczycy. Był ostatni rok wojny, ale nikt wówczas nie wiedział jeszcze, że to ostatni rok. Amerykańskie samoloty zapuszczały się nocami nad Japonię, bombardowały jakieś instalacje wojskowe albo portowe w sąsiednich miastach. Wielkie tony obejmowały horyzont. To były najlepsze moje noce dla prowadzenia interesu. Jestem dzisiaj człowiekiem zamożnym, to prawda. Ale stawiam sprawę uczciwie i wyznaję — tylko wobec ludzi zaufanych i z prośbą o dyskrecję, to jasne — że zacząłem dorabiać się dopiero w czasie minionej wojny. Na mięsie, proszę pana, na mięsie. Był już wówczas w Japonii głód”.

Siedzieliśmy właśnie przy obiedzie. Dom był w japońskim stylu, nie dom a pawilon z werandą, rozsuwanymi ścianami otwarty w ogród. W miarę zmierzchu rozjarzał się jak latarnia o złotym blasku.

„Kiedy wszyscy ludzie powariowali, dobrze jest zachować mniej więcej trzeźwą głowę. Uważałem od dawna tę wojnę za wariactwo. Jasne też było, że ją Japończycy przegrają. Nie miałem jednak wcale zamiaru ponoszenia konsekwencji ich klęski, choćbym ich kochał tak jak kocham. Przyznaję też, że mi się tutaj bardzo dobrze żyło przez wiele lat”.

Należał do tych zjaponizowanych Europejczyków, jakich zdarza się jeszcze czasem spotkać w tamtym kraju. Dziwactwo swoje wywodzą z uczuciowych, a mówiąc dokładniej, ze zmysłowych do niego przywiązań. Dobrze już podstarzały pogadywał czasem do młodzieńkiej japońskiej dziewczyny w wzorzystym kimonie, która wydawała się jak woskowa laleczka o żywych punkcikach oczu. Przyklękała nalewając nam do porcelanowych czarek *sake*, grzane i wonne wino z ryżu. Nazywała się Kiyo.

„Otóż właśnie, mieszkali za rzeką. I kupowali mięso. Każdą ilość mięsa, byle było. Płacili wysoką cenę. Byle było. Dowiedziałem się o tym późno, tak jakby na ostatnią chwilę, aby próbować wyciągnąć się jakoś z ogólnego bankructwa. Zawsze, wie pan, miałem zmysł do interesu. Nie tylko zmysł, ale pociąg. Nie przypuszczałem tylko, że mnie okoliczności zmuszą do zarabiania w taki sposób. W taki dziwny sposób. Ale czego by się człowiek nie nauczył, jeżeli musi”.

Pamiętałem go jeszcze jako kupca przed wojną. Już wówczas próbował zacierać profil swojego europejskiego pochodzenia. Mówił że przynależność jest sprawą przywiązania. Ponieważ zaś przywiązał się do Japonii, do Europy zaś nie zamierza wracać...

Tyle, że sobie czasem wśród Europejczyków, przebywających w Japonii, tak jak ja, przejsiowo, upatrywał takich, którym warto ją pokazywać. Stawał się wtedy nieproszonym wykładowcą jej uroków i rzecznikiem jej tajemnic. Pośrednikiem także, próbującym przekonać do przyjęcia własnych upodobań i do uznania ich za swoje. Opowiadał na przykład bez najmniejszego zażenowania, że matka tej pięknej dziewczyny, która nam usługiwała do obiadu, była w swoim czasie równie ładna i że mu uprzyjemniała niejedne noce. Pod wpływem takich nocy i takich dziewczyn jakie tu spotykał, pozbył się związków uczuciowych z dawnym swoim europejskim światem. Porósł skórą innych wrażliwości.

„Wszystko co pan tu widzi, ten dom, ten ogród, przyległe do niego parcele ziemi, inne domy i inne jeszcze ogrody kupiłem zaraz po wojnie. Dawno było dla mnie jasne, że to się skończy przyjściem Amerykanów. Otóż, w przeciwieństwie do większości miejscowych ludzi ja byłem na nich przygotowany. Ale praca aby zdobyć środki na kupowanie jedwabiu, pereł, sreber lub starych brązów, za które amerykańscy żołnierze — jak już tu będą — płaciliby w dolarach, nie była łatwa ani przyjemna. Zabrałem się do niej krótko przed końcem wojny, w sam raz aby jeszcze zdążyć. Mówiono o chłopach okolicznych, że ten i ów ma dotąd krowę lub konia. Musiał się z tym kryć, ale kontrola policji rozluźniła się znacznie od czasu coraz częstszych nalotów. Można było próbować interesu. Kłopot był tylko z dostarczaniem towaru. Bo widzi pan, Koreańczycy bojąc się wpadki, nie chcieli zabijać zwierzęcia. Mięso, owszem, kupią. Ale kto inny musiał za nich zrobić tę, jak się to mówiło, mokrą robotę. Nawet pan nie wie, jaka była mokra. Chłopi natomiast przyprowadzali żywiec. Nikt nie chciał w swoim obejściu śladów mordowania. Rozumie pan, krew i cała ta obrzydliwość, nie dająca się ani zataić, ani schować. Więc nie miałem wyboru. Albo to zrobię sam, albo nie ma interesu. Wtedy wymyśliłem sposób”.

Było już dobrze po zachodzie słońca. Ukryte w zarosłach reflektory skąpały ciepłą iluminacją kępy bujnych i nastroszonych krzewów. W ogrodowym podszyciu drgał intensywny koncert cykad. Lustro ciemnego stawu odbijało dachy strzelającej nad drzewa pagody. Było tych dachów dziewięć, jeden nad drugim, o podwiniętych, jak otwarte powieki krawędziach. Patrzyły z odbicia w wodzie zamyśleniem bardzo dawnego czasu.

„Zacznę od tego, że od dawna, zawsze, miałem — jakby to powiedzieć, upodobanie? tak — upodobanie do młodości. Wiedzieli o tym w okolicy i nieraz matka przyprowadzała mi do domu chłopca albo dziewczynę, żebym się nimi zajął. Ilu ja miałem takich wychowanków. I wszystkich wykierowałem na ludzi. Utrzymywałem, kształciłem, żeniłem, czy wydawałem za mąż. A podrashtało to pod moją opieką. Miałem, jak się mówiło, szczęśliwą rękę. Potem kiedyś zjawił się Yuki. Był to dobry i piękny chłopiec. Tyle że ślepy, od urodzenia ślepy. W Japonii ślepotą bywa częstym kalectwem. Ale nie jest uważana za nieszczęście. Predystynuje natomiast dotkniętego nią do dwóch zawodów, uzupełniających się wzajem. Widzi pan, ślepcy tutaj uczą się grać na flecie. Ponieważ zaś wyrabiają sobie zmysł dotyku czulszy i delikatniejszy niż ludzie widzący, więc się ich jednocześnie kształci na masażystów. Mają oczy na końcu palców, i dlatego instynkt, co mówię, geniusz dotyku. Tak właśnie mój Yuki. Człowiek pod wpływem umiejętności palców leczy się, jeśli jest chory, wypoczywa jeżeli zmęczony. Rozładowanie wszystkich napięć w ciele jest wyzwalające, prowadzi w sen. Tak mnie zwykł był usypiać, zanim nie przyszło mi go użyć do innego zajęcia w inne noce. Ze względu na flet, na tę cienką przenikliwą nutę, którą potrafił z niego wyciągnąć. Cienką, smutną nutę, proszę pana. Dla Koreańczyków po drugiej stronie rzeki znaczyło to, że mięso jest”.

Skończyliśmy obiad. Obie Japonki, matka i córka zabrały niskie rzeźbione stoliki, na których jedliśmy. Porcelanowe czarki do *sake* przeniosły się teraz na tace z laki, postawione przy nas na matkach. Zaraz też mała Kiyo wtuliła się swojemu opiekunowi pod ramię ruchem kota, który zna swoje miejsce. Objął ją ramieniem leniwie, pewny swego posiadania.

„Spotkanie miało miejsce w nocy, blisko rzeki. Umówiony od dawna, ostrożny chłop przyprowadzał krowę, czasem konia. Płaciłem gotówką bez targu. Brał pieniądze, zdarzało się, że je liczył przy świetle latarki, zgięty w kucki, zasłaniając to światelko całym sobą, jakby się czegoś wstydził. Potem zniknął czym prędzej w mroku, podcięty strachem. Pamiętam z ówczesnych przeżyć lęk, lęk ludzi biorących pieniądze. Musiałem widocznie być człowiekiem odważnym, jeżeli nie dałem

się zarazić ich strachem. Boć najtrudniejsza, i co tu wiele gadać, najbardziej niebezpieczna część tej transakcji...”

Nad grzywą czarnych drzew w nocnym ogrodzie wstawał jak lampion księżyc. Cykady grały jednym wielkim akordem drgań. Była dokoła nas puszystość mroku i pełnia wielkiej przestrzeni jak dekoracja w teatrze. Kiyo dolewała *sake* do czarek z porcelany. Położyłem się na poduszkach, podsunętych usłudze przez matkę małej, starszą już i dostojnie wyglądającą Japonkę, która zgadywała bez słowa nasze życzenia. Mówiło się do niej Ama-San, niania. Gospodarz natomiast nie zmienił swojej pozycji Buddy, który siedzi na własnych nogach.

„Całą sztuką w tym interesie to był właśnie ten pomysł rzeki. Szło o to, żeby nie zostawiać śladu. Więc robiliśmy tę robotę w rzece. Woda była zimna i porywista, sięgała miejscami po pas, czasem po pachy. Ale wyszukiwałem miejsce płytkie, jakby ławicę pośrodku szeroko szumiącego nurtu, gdzie można było stanąć wygodnie i chociaż prąd ciągnął po nogach, utrzymać się łatwo w miejscu. To było właśnie to miejsce. Tu prowadziło się krowę, czasem konia. Stąd zabierali mięso Koreańczycy. Zabierali wszystko. Nawet wnętrzności, nawet łeb, nawet nogi z kopytami. Było to urządzenie praktyczne, nie zostawiało śladu. Woda spłukuje krew. Trzeba było przeprowadzić krowę albo konia odebrać w umówionym ukryciu za szopą ogrodnika i stamtąd prowadzić stworzenie dalej na miejsce, jakby to powiedzieć, egzekucji? W takie noce przydawał mi się flet mojego Yuki. Chłopiec zaczynał grać na nim, gdy już wszystko było gotowe, to znaczy mięso na miejscu. To był sygnał. Dla każdego inny. Ten cienki śpiew, nitka głosu w ciemności — Koreańczycy słyszeli w niej mięso. Dla krowy która nie wiedziała o tym, był to nóż w żebra. Dla mnie była to mieszanina koniecznej obrzydliwości i obietnica zysku. Słuchałem jej na wstrzymanym oddechu, umyślnie przypięciwszy wrażliwość. Dla chłopca, ach niestety, nigdy sobie nie zdałem sprawy wtedy, czym to było dla tego chłopca. Dość, że system działał. Pozwalałem tylko jednemu, najstarszemu w bandzie tych koreańskich opryszków, którzy zajmowali się czarnym handlem zawodowo, przechodzić na tę stronę. Czarny rynek to po japońsku *Yami-ichi*, ciemny targ. Ile razy je słyszę zawsze mi się wydaje trafniejsze jeszcze niż europejska nazwa tego procederu. Ciemny targ. Koreańczyk płacił całymi pękami banknotów. Miał je ładnie zapakowane w wzorzystą chustkę. Ale niósł tę paczkę pieniędzy w worku, w tym samym worku, który potem służył na mięso. Płacił czasem cztery, czasem pięć razy więcej niż sumą, którą przed moją godziną dawałem chłopu, kiedy mi przyprowadzał swój żywy towar. Różnicę dawał właśnie nóż w żebra. Towar żywy w całości, befszyk jeszcze na chodzie, to był kłopot

i niebezpieczeństwo. Mój nóż wbijał granicę między tym ryzykiem a możliwością schowania zwierzęcia już pociętego na części i rozniesienia między ludźmi. Yuki z żywym stworzeniem czekał w międzyczasie w zaroślach. Cały czas grał. Ciekawa rzecz, jak bardzo ta cienka, smutna, falująca nuta fletu uspokajała zwierzę, usypiała być może jego strach. Póki grał nie było nigdy kłopotu. Zaczynał się dopiero kiedy już trzeba było zejść w rzekę. Wtedy też z drugiej strony pokazywała się reszta gromady. Bywało ich do dziesięciu, ale żaden nie pomagał. Przyglądali się tylko. Zdawało mi się, że widzę w ciemności zaciekawione, chciwe lśnienie ich oczu. Yuki nigdy nie schodził do rzeki. To nie spacer ani robota dla ślepego. Niech sobie siedzi na brzegu i wygrywa na flecie. Tak robił. Mielśmy zawsze ten jego akompaniament przy zajęciu jakie mnie teraz czekało. Nóż miałem w cholewie długiego buta. Zastanawiało mnie zawsze skąd się bierze u zwierząt przecucie śmierci. Ale pamiętam dobrze — każda krowa wprowadzana do rzeki miała ten dreszcz. To nie był lęk przed wodą ani ciemnością. Kiedy człowiek prowadzi, zwierzęta na ogół ufają mu, idą za nim. To był strach głębszy, sięgający samej sprawy istnienia. Bywało często tak ciemno, że nie widziałem ludzi idących z przeciwległego brzegu. Słyszałem tylko ich plusk. Krowa stała w wodzie już na miejscu i trzęsła się. Miała łeb zawiązany płachtą. Gdyby nie to, ryczałaby zapewne, z przerażenia albo samotności. Tego ryzyka trzeba było uniknąć za wszelką cenę. Głodziłem jej grzbiet. Pod ręką rozpościęrało się ciepło zamknięte bezpiecznie w wielkiej beczie kadłuba. Była w tym przyłożeniu ręki czułość, nieledwie pieszczota, poprzedzająca nóż. Nigdy przedtem nie dobrałem się tak blisko, tak bezpośrednio do tej rzeczy, którą jest życie, czyli właściwie ciepło, przytulne dobre ciepło bliskiego człowiekowi stworzenia. Ciepło i oddech, już znowu uspokojony, nabierający znowu zaufania. Chłód, ciemność nocy, zbliżanie się obcych ludzi, a od brzegu czysta, wåtła melodia flectego śpiewu i to ciepło, drżące ciepło życia pod moją ręką. Ale teraz trzeba było działać szybko, od razu, skoro przecież przyszli po mięso. Tylko że mało której udawało się umrzeć od razu. Umieranie, proszę pana, trwa. To bywają trudne sekundy. Dobrze jeszcze, kiedy to sekundy. Ale minuta, dwie — strasznie długo. Dla tego, który zabija, mówię. Bo o tamtym właściwie nie wiemy. Można się tylko domyślać”.

Pauza. Cykady w drobnej gęstwinie zarośli strzygą głęboki mrok. Między nimi i wysoką ciszą gwiazd na niebie oddech nieskończoności. Noc jest urzekająca.

„Bywały noce przejrzyste, a chociaż celowaliśmy w tych spotkaniach na nów raczej, niż na pełnię, oświeślał nas czasem rzekę blask inny. Mówię o nocach nalotów. Na dalekim

łuku horyzontu wykwitwały wybuchy, błyskały się ognie, zaciągała się łuna pełna niepokoju i drgań. Wysokie werble armat przeciwlotniczych i stękanie ziemi ubijanej bombami. Powiedziałem już przedtem, że to były dla nas dobre noce. Dobre, bo odwracały uwagę ludzi i policji”.

Kiyo zdawało się że spała pod jego ręką, a teraz wyciągnęła mu się spod ramienia miękkim, zgrabnym ruchem i wysunęła z pokoju. Wróciła znowu niosąc na tacy butelkę szkockiej whisky, srebrną ozdobną miskę, w której były kostki lodu i syfon wody sodowej. Nalewała whisky na lód w szklance, a potem strzyknęła do niej strumieniem wody z syfonu. Gest i sposób w jaki to robiła wskazywał, że ma w tym nalewaniu wprawę.

„Jedną taką noc pamiętam lepiej niż inne. Od tego czasu nosilem zawsze dwa noże. Umówiony dostawca przyprowadził tej nocy konia. Odbywało się potem wszystko według ustalonego porządku. Czy wspominałem panu, że mieliśmy inną melodię na powiedzenie, że jest krowa, a inną na konia? Za konia, nie wiem czemu, płacili więcej. Trzeba im było dać znać, jaki towar. Wiedzieli już, ile zażądać. Jak zwykle tak i tej nocy sygnał fletu dał w krótkim czasie odzew w postaci starszego z gotówką. System działał. Jak się znało bród, można było przejść rzekę łatwo i prawie suchą nogą — wody miejscami powyżej kostki, najwyżej po kolana. Załatwiwszy rachunki prowadziłem konia na miejsce. Drżał cały. Podchodzili z tamtego brzegu ludzie chlupocąc w płytkim nurcie. Spłoszył się i już mnie zmoczył do suchej nitki zanim udało się go spętać. Potem worek na łeb. Prychał i łbem trząsł teraz jak opętany. One w tym worku musiały czuć mięso, myślę. Owiązałem sobie ramię zdy dookoła lewej ręki. Potem dźgnąłem, jak zawsze zmienacka, jak zawsze z naciskiem całego ciała, aby wbić nóż od razu po samą rękę. Szarpnął się tak gwałtownie, że mi się ostrze złamało u samej nasady. Próbował dać dęba, porwał mnie w powietrze — uchwyciłem się zdy oburącz — ale spętanie podcięło mu nogi i upadł w wodę, ściągając mnie za sobą. Zerwał się znowu i znowu chciał skoczyć. I znowu upadł. Przywalił mnie tym razem i wydawało mi się, że się topię. Ale znowu poderwał się prosto w górę, kopytami tak jakby w gwiazdy. Horyzont był w ogniu nalotów, trzepotał się od nerwowych błyskań. Ale to było tło tylko, wracające dziś pamięcią wzroku, tło tego tańca dzikich susów i szarpań, tło mojej walki z uderzonym śmiertelnie koniem, którego próbowałem osadzić. Mówię panu, to niebo w ogniach, ten oszalały koń i ja z nim razem, raz w gwiazdach a raz w ciemności, raz w powietrzu a raz w wodzie — zupełnie Apokalipsa. No nic, skończyło się dobrze, bo nóż siedział głęboko i koń ukląkł nagle na przednie nogi. Wtedy jeden z Koreańczyków zdążył podać mi drugi nóż i tym poprawiłem. Upadł mu w wodę łeb,

prychnął jeszcze i zakrztusił się, ale to już było wystarczające. Wyciągnął się też zaraz jakby układając się do snu, tylko dreszcz po nim przechodził jeszcze przez długą chwilę, nie wiem czy to fala mieniająca się w nocnym pobrzasku łun czy drgawki przedśmiertne, nie wiem. I zaraz go zaczęli oprawiać. Byłem zmoczony od stóp do głowy, unurzany w wodzie i krwi. Teraz już pan rozumie dlaczego powiedziałem, że to była naprawdę mokra robota. Od tego czasu wydawało mi się zawsze, że woda w rzece krwawi kiedy ciemno. Nie mogłem sobie domyć rąk. Okropność”.

Popijał długim haustem whisky. Odstawił szklanekę, Kiyo dopełniła ją uważnie i znowu położyła się przy nim.

„Koreańczycy uwijali się zgrabnie i szybko z robotą. Czekalem aż poćwiartują kadłub, bo należało mi się oprócz pieniędzy kilkanaście funtów mięsa według własnego wyboru. I te musiałem sobie wykroić. Zmoczony od stóp do głów i zmęczony jak pies, z workiem mięsa na plecach wyszedłem z rzeki. Naprowadzał mnie zawsze głos fletu na miejsce gdzie czekał Yuki. Zorientowałem się dopiero po wyjściu na brzeg, że go nie słyszę. Co ja się go naszukałem tej nocy. Znalazłem go wreszcie skulonego, ziębłego pod szopą ogrodnika. Wyglądało na to, że uciekł znad rzeki. Nigdy z nim nie mówiłem o tym, co się tam robi. Ale ślepcy mają szósty zmysł. I chociaż nic nie widzą, wiedzą. Tak i on. Przekonałem się o tym później, za późno.

To było tuż przed bombą na Hiroszimę w czerwcu, krótko przed końcem. Miałem tej nocy krowę. Czekaliśmy z Yukim w zaroślach. Trwało dłużej niż zwykle, zanim na jego flet ruszyło się coś po tamtej stronie rzeki. Koreańczyk, który przyszedł tym razem, nie był moim człowiekiem. Powiedział że mój jest chory. Ale sam nie miał dosyć pieniędzy na zapłacenie dostawy. Zagroziłem, że jeśli nie dostanę z miejsca ile żądam, zabiorę krowę i tyle mnie widziano. Próbował targować cenę. Prawdziwy ciemny targ. Myślał drań, że nie mam wyboru i że tak czy inaczej muszę krowę sprowadzić do rzeki. Mięso było wtedy droższe niż kiedykolwiek. To już było naprawdę pod sam koniec tego całego szaleństwa. Krowa, rozumie pan, to był w tych warunkach majątek. Liczył na to, że mnie dostanie strachem, że nie będę śmiał zostać z krową w gołym polu, jak już się zrobi dzień. Ale trafił na twardszego, niż myślał. Nie zapłacisz z góry, nie będzie mięsa. Yuki trzymał krowę w zaroślach i oczywiście słyszał całą rozmowę. Nie mogłem postąpić inaczej niż postąpiłem. Poszedłem po krowę, ruszyłem z nią na ścieżkę między polami, kamienną szczęściem, nie zostawiła śladów. Yuki poszedł za krową. Nie obejrzałem się nawet za tamtym, czy idzie za mną. Nie poszedł. Bał się. Po drodze dopiero myślę, co ja zrobiłem? Krowa jakby rozumiała że to ratunek, szła posłusznie i rażno. Co ja zrobiłem? Miesz-

kałem wówczas na dalekich przedmieściach, prawie na wsi. Dom był przy samym końcu ulicy w ogrodzie, za wysokim, szczelnym, drewnianym płotem. Obejście koło niego ciasne, szopa na narzędzia ogrodowe przy samym domu, do niej przybudowana komórka na kozę, której pozbyłem się wtedy już dawno — podchodziło to pod dach werandy od domu, wchodzącej niby pawilon w ogród. Można było z domu przejść do szopy pod jego dachem. Pierwszy raz teraz kiedy szedłem w stronę domu z tą krową na powrozie, ogarnął mnie niepokój. Sąsiedzi są ciekawi. Krów w tej części przedmieścia nie było. Wiadomość roznieśli się po ludziach. Policja tylko czeka na denuncjacje. Patrole obrony cywilnej chodziły po ulicach nocami. Jeśli trafię na któryś, co powiem? A jak dojdę już, to gdzie ją zmieścić? I gdzie ją będę trzymał przez cały dzień? Bo przed następną nocą, wiadomo, wszystko się załatwi. Pójdę za dnia na drugą stronę rzeki, znajdę mojego Koreańczyka i dobiję z nim interesu, nie ma kwestii. Tak doszedłem, męcząc się myślami. Komórka okazała się ciasna, ale wepchnęliśmy do niej krowę. Nawet nie bardzo się broniła. Sprawdziłem zawiązanie worka na łbie, bo niczego się tak nie bałem, jak żeby nie zaczęła ryczeć. Był już świt, kiedy wydawało mi się że opanowałem sytuację. Po śniadaniu wybiorę się za rzekę”.

Powiew chłodu szedł od gęstwiny w ogrodzie. Za nami w kącie pokoju żarzyły się pałeczki kadzidła zapalonego przez Ama-San. Długie błękitne dymki zwiły się i rozkręcały w złożonym półmroku wnętrza. Wypełniały je doskonałą wonnością, trochę świątynną w obrządku daleko-wschodnim.

„Ale dopiero w południe poszedłem za rzekę. Stary mój Koreańczyk z osiedla po tamtej stronie był rzeczywiście chory. Typ natomiast, który miał go zastąpić tej nocy, próbował na własną rękę zbić cenę. Myślał że mnie nastraszy, a w rezultacie sam się spłoszył. No nic, wyrównało się wszystko i wyjaśniło bez trudu. Wziąłem nawet na wszelki wypadek pieniądze za krowę z góry. Doprowadzę ją nad rzekę o północy. Wracałem zadowolony z tego obrotu rzeczy. System mimo wszystko znowu zadziałał. Ale zdarzyło się nagle coś...”

Zwabiona mżeniem światła wpadła do pokoju ćma duża jak ptak. Trzepotała się pod sufitem, krążyła niespokojnym lotem między ścianami, aż wymierzywszy tym okrażeniem zamkniętą przestrzeń, dała nurka z powrotem w ogród otwarty szeroką ramą ogromnej nocy.

„Dochodziłem pośpiesznym krokiem pustą ulicą, na końcu której stał mój dom i wydawało mi się, że słyszę... Nie, nie chciałem wierzyć własnym uszom. Im bliżej podchodziłem, tym było wyraźniejsze że się nie mylę. Żadne syreny alarmów lot-

niczych nie brzmiały dla mnie nigdy przeraźliwiej. Tak jest, proszę pana, zza płotu, z głębi obejścia, w którym stał mój dom, ryczała krowa. Ryk jej głuchy i być może trudny nawet do rozpoznania dla kogoś kto nie był wtajemniczony, dla mnie huczał jak alarm. Zrozumiałem że gdyby sumienie miało głos, brzmiałoby takim właśnie krowim rykiem. Nie uprawiam pustych zastanowień, jestem człowiekiem akcji. Więc od razu spięta mnie złość — kto do tego dopuścił? Mogłem być wiedzieć od dawna i prawdę mówiąc, wiedziałem. Ale w tamtej chwili dopadłem do bramy i biegłem, zamknąwszy ją za sobą, ku tej koziej komórcie. Zdarła sobie zapewne worek ze łba zaczepiwszy nim o kant wystającej belki — zwisał jej z karku jak podarty żagiel. Ale widzę że ma podetknięty pod nogi pęk trawy, rwanej w ogrodzie, kępkę warzyw, główkę sałaty z grządek mojego warzywnika. Wtedy z wciśnięcia między jej kadrub i ścianę komórki podniósł się Yuki, patrzący ku mnie swoimi niewidzącymi oczyma, ale zmieszany jakiś, jakbym go nakrył na czymś, czego mu robić nie wolno. W ręku miał garnek. Zrozumiałem, że próbował doić krowę. Był to widocznie odruch jego instynktu, nie miał bowiem żadnego dotąd doświadczenia z krowami, oprócz doświadczenia nad rzeką, które było inne. Skoczyłem żeby zaciągnąć z powrotem worek na ten ryczący żałośnie krowi łeb. Było coś z gwałtu na tym stworzeniu to odcięcie mu głosu, którym chciało wykrzyzczeć duszę. Czulem po minie Yuki, że w jego niewidzących oczach to co się dzieje jest okrucieństwem gorszym jeszcze niż pchnięcie noża. Ale nie miałem czasu ani ochoty na jakieś zastanawianie się. Owinąłem jej workiem łeb, owiązałem mocno i szczelnie, niech czeka wieczoru. Była to wtedy moja ostatnia wyprawa nad rzekę. Ale kiedy przyszedł już czas, Yuki odmówił posłuszeństwa. Nie pójdzie. Uparł się i ani sposobu. Powiedział mi, że się boi. Nieprawda, nie bał się. Ja wiem, że to brzmi groteskowo ale... No po prostu przywiązał się do tej krowy. Co ty, mówię, chcesz ją tu zatrzymać? Po wyrazie jego twarzy widziałem, że dotykam w nim jakiejś niezmiernie czułej struny. Chciał coś powiedzieć, zaciął się, a potem zaczął płakać. Nie zasłaniał sobie oczu, płakał otwartą twarzą. Nie było jednak chwili na dyskusje ani sceny. Zresztą pobrałem już za tę krowę należność, więcej niż kiedykolwiek. Mówię panu, krowa wtedy to był naprawdę majątek. Próbowałem zmusić chłopca, żeby szedł z nami. Uparł się tak jak tylko dzieci potrafią się uprzeć. Nie ugniesz, najwyżej złamiesz. Nie chciałem łamać. Sumienie mi świadczy, nie chciałem. Poszedłem tej nocy nad rzekę sam z tą krową. To już trudno zmienić albo odrobić. Nie spodziewałem się, że ktoś może tak to ciężko przejść i nie móc przeżyć. Może rok, nie, dwa lata po zakończeniu wojny przeprowadziłem się właśnie do tego tutaj nowego domu. Już wtedy miałem na wszystko. Yuki miał dostać wyższe wykształcenie. Chciałem sprowadzić najlepszych lekarzy, próbować wrócić mu wzrok. Ale w dniu przeprowadzki zniknął. Cośmy

się naszukali. Tknęło mnie zaraz złe przeczucie kiedy w koziej komórcie znalazłem jego flet. Od dawna już na nim nie grywał. Zbyt byłem wtedy zajęty, aby na to zwracać uwagę. Biedny chłopiec. Nie dowiemy się teraz co go naprawdę ugryzło. Bo przecież trudno przypuścić, nie, to naprawdę śmieszne, że z przywiązania do krowy? Do krowy?

Wyciągnęli go z rzeki Amerykanie. Patrol wojsk okupacyjnych, tych samych, z którymi robiłem wtedy interesy. Wyrzucałem sobie nieraz to nieszczęście, próbowałem zrozumieć, zapomnieć. Trudno”.

Zrobił gest ręką szeroki, jakby chciał nim objąć wszystko co teraz posiada, co mu dało wygodę i używanie życia i zamknął go położeniem ręki na ramieniu tej przytulnej małej dziewczynki japońskiej, którą z kolei wychowywał.

„Niech się pan postawi w mojej sytuacji. Pcha się człowiekowi możliwość zrobienia milionów, tak jest proszę pana, milionów. Ciężka praca, cały rok ryzyka, człowiek dochodzi do czegoś, po raz pierwszy w życiu naprawdę dochodzi, a jeszcze może wszystko stracić na jednym fałszywym kroku. No i co by pan zrobił wtedy na moim miejscu? Zatrzymał krowę?”.

Aleksander JANTA

AMERYKA-ECHO

Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$8.00, w Europie \$9.00, w Ameryce Południowej \$6.50 (ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara), w Australii \$9.00.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.
1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Archiwum polityczne

Podstawy polityki neutralizmu

Dr Castro chciałby niezależność Kuby oprzeć na sowieckiej nauce i pomocy technicznej. W Egipcie Rosjanie budują w tej chwili 50 zakładów przemysłowych, w tym 6 hut i 7 rafinerii.

Dr Castro i politycy jemu podobni wnioskuje: Ameryka blisko — Rosja daleko.

W sumie jednak trzeba powiedzieć, że polityka nie może przeczyć geopolityce. Układy polityczne, które lekceważą rzeczywiste geopolityczne warunki — nie wytrzymują próby czasu. Każdy rząd w Warszawie musi opierać swą politykę na realnym *modus vivendi* z Rosją i każdy rząd kubański musi opierać swą politykę na realnym *modus vivendi* z Ameryką. Takie są bowiem nasze sytuacje geopolityczne — całkowicie niezależne ani od woli ani od sympatii odnośnych narodów.

Te same prawa geopolityczne dotyczą Europy kontynentalnej. Jakkolwiek sojusz z Ameryką jest dla nas cenny — a w danej sytuacji wprost niezbędny — sojusz ten nie rozwiązuje trwale politycznych problemów kontynentalnej Europy. Bo naszym sąsiadem na kontynencie jest Rosja a nie Ameryka i znalezienie *modus vivendi* z Rosją jest dla nas koniecznością — jeżeli pragniemy sytuacji europejskiej zapewnić trwałe podstawy. Dr Castro może jakiś czas utrzymywać przemysł kubański w ruchu na nauce sowieckiej. Berlin jakiś czas można zaopatrywać poprzez most lotniczy. Ale tego rodzaju operacje nie wiedą do nikąd.

W dzisiejszym świecie jest często bardzo trudno godzić sojusze ideologiczno-polityczne z racjami geopolityki. Poza tym w systemie strategii baz nie wszystko jest takie jasne i oczywiste, jakby na pierwszy rzut oka mogło się wydawać. Gdyby któregoś dnia — w rezultacie takiego czy innego incydentu — Rosjanie w drodze odwetu zbombardowali amerykańskie bazy w Japonii, czy byłoby to nieuchronnie początkiem światowej wojny atomowej? Jeżeli Rosjanie ograniczyliby się

do jednorazowego bombardowania — czy taką lokalną katastrofę należałoby przemienić w katastrofę światową i na mieszkańców Nowego Jorku, Detroit i Chicago ściągać atomowe sowieckie pociski międzykontynentalne?

Sądzę, że urzędujący w danej chwili prezydent Stanów Zjednoczonych bardzo długo by się zastanawiał, gdyż podjęcie akcji odwetowej przeciwko Rosji byłoby decyzją nieodwołalną i nieodwracalną.

Amerykanie mają setkę baz wojskowych pokalających Związek Sowiecki. Czy zbombardowanie jednej bazy uruchomiłoby automatycznie nuklearną wojnę światową? Sądzę, że nie. Różne są bowiem bazy i różni sojusznicy, na których terytorium owe bazy się znajdują. Pytanie więc brzmi: jaka baza i na czym terytorium zostałaby zbombardowana.

Fraza powtarzająca się w traktatach wzajemnej pomocy, że... „atak przeciwko państwu X — Stany Zjednoczone uważają będą za atak wymierzony przeciwko ich własnemu terytorium” — dziś oznacza zupełnie coś innego niż przed dwudziestu laty.

Nikt nie kwestionuje dobrej woli i determinacji Stanów Zjednoczonych. Ale mieszkańcy krajów, w których znajdują się bazy amerykańskie, zdają sobie sprawę, że pierwszym i naczelnym obowiązkiem prezydenta jest uchronić Stany Zjednoczone od atomowej ruiny. Jeszcze 15 lat temu wypowiedzenie wojny w obronie sojusznika bezpośrednio niczym nie zagrażało Stanom Zjednoczonym. Dziś podjęcie takiej decyzji zagraża dosłownie istnieniu Nowego Jorku i innych wielkich miast i centrów przemysłowych Ameryki. Bertrand Russell — sędziwy filozof angielski i laureat Nobla — domagając się od Wielkiej Brytanii jednostronnego atomowego rozbrojenia, wyraża opinię, że w razie zbombardowania przez Sowietów amerykańskich baz w Anglii — Ameryka miałaby dobre racje (*good reasons*) pozostać neutralną.

Osobiście nie podzielam tej opinii i uważam za całkowicie pewne, że atak sowiecki na Wielką Brytanię Ameryka potraktowałaby tak, jak atak przeciwko jej własnemu terytorium. Zbombardowanie przez Sowietów Wielkiej Brytanii byłoby bez wątpienia wstępem do nuklearnej wojny światowej. Ale czy za zbombardowanie amerykańskich baz na Okinawa — należałoby odpowiedzieć zbombardowaniem atomowym Moskwy i Leningradu? Zapewne nie.

Żaden prezydent ani żaden premier, oczywiście, nigdy tego nie przyzna, ale niezależny publicysta może to sformułować: atomową katastrofę światową można ryzykować tylko w obronie własnego terytorium. Wszędzie indziej konflikty zbrojne — choćby użyto broni nuklearnej — należy za wszelką cenę ograniczyć i zlokalizować.

Dyplomatyczny język traktatów sojusznicznych brzmi tak samo po Hiroszimie jak przed Hiroszimą — ale treść sojuszniczej gwarancji uległa zasadniczej zmianie. Byłoby sprzeczne nie tylko z logiką, ale z najprymitywniej pojętym zdrowym

rozsądkiem — gdyby Stany Zjednoczone były zobowiązane do zdetonowania światowej wojny atomowej w odwecie za zbombardowanie jakiejkolwiek z setki baz amerykańskich. Decyzja wszczęcia światowej wojny atomowej jest decyzją tego rodzaju, że można ją podjąć tylko wówczas, kiedy nie ma absolutnie innego wyjścia. Tym bardziej, że wynik tej operacji jest jedną wielką niewiadomą.

Dopiero na tym tle można właściwie oceniać opory i manifestacje przeciwko bazom amerykańskim. Rozkład ryzyka między sojusznikami jest nierówny. To samo dotyczy szansy przetrwania. Japończycy, godząc się na bazy amerykańskie, nie wiedzą czy w razie ataku sowieckiego będzie leżało w interesie, już nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale wolnego świata i całej ludzkości, wszczęcie atomowej apokalipsy jako odwetu. Poza tym, jeżeli Sowiety zrównają z ziemią 80% Japonii będzie zaiste małą pociechą dla pozostałych przy życiu Japończyków świadomość, że Amerykanie zbombardowali Leningrad.

To są proste i oczywiste fakty zrozumiałe dla wszystkich. I zespół tych faktów, a nie tylko propaganda komunistyczna, leży u podstaw nastrojów neutralistycznych.

Amerykanie wykazują często niebezpieczne skłonności konformistyczne. Neutralizm, pacyfizm, *fellow-traveller*'stwo, antyamerykanizm — wszystko to wrzucają do jednego worka z napisem: „międzynarodowy spisak komunistyczny” (*international communist conspiracy*).

To jest uproszczenie, które niczego nie upraszcza, natomiast wszystko zaciemnia. Wprawdzie Dulles, autor słynnego określenia, że neutralizm jest rzeczą niemoralną, leży w grobie, ale jego filozofia żyje. Trzeba było wielu lat, by Amerykanie pojęli, że premier Nehru — mimo, że jest neutralistą — nie jest *fellow-traveller*'em. W okresie afery sueskiej na Zachodzie panował pogląd, że Egipcjanie po pierwsze nie dorośli do administrowania kanałem, a po drugie, że ich emancypacja skończy się komunizmem. Obie powyższe przepowiednie okazały się z gruntu fałszywe. Egipcjanie doskonale administrują Kanałem Sueskim i nie wykazują tendencji do przeistoczenia się w państwo komunistyczne.

Nacjonalizm — nawet jeżeli jest antyamerykański — nie staje się automatycznie komunizmem. Natomiast jeżeli dany ruch nacjonalistyczny, z takich czy innych przyczyn, jest antyamerykański — jak np. na Kubie — automatycznie staje się prosowiecki! Ale to są dwie rzeczy różne.

Powyższe sprawy posiadają zasadnicze znaczenie, ponieważ skłonność do identyfikowania rewolucji nacjonalistycznych z komunizmem prowadzi w rezultacie do popierania przez Waszyngton reakcyjnych dyktatorów w imię solidarności antykomunistycznej. Perez Jimenez w Wenezueli — Rojas Pinilla w Kolumbii, Wargas w Brazylii, Battista na Kubie, Czang-Kai-Szek na Formozie itd. Tę litanię można by znacznie przedłużyć.

Fali nacjonalizmu, która objęła Azję, Afrykę i kraje Ameryki Południowej, nikt nie powstrzyma. Znaczny procent tych krajów znajduje się w okresie wzburzonego emocjonalizmu, któremu towarzyszy brak politycznego wyrobienia. W takim klimacie „obce bazy wojskowe” stają się synonimem zależności i satelictwa. Jeżeli owe bazy można utrzymać tylko drogą popierania reakcyjnych dyktatorów — prowadzić to musi nieuchronnie do mobilizowania przeciwko Ameryce nie tylko nacjonalistów, lecz również inteligentów myślących liberalnie i postępowo.

Niebezpieczeństwo związane z tym problemem polega na tym, że w gruncie rzeczy chodzi o przyjaźń — względnie neutralną życzliwość — tych narodów a nie o bazy. Bazy za 10 lat mogą się okazać jeżeli nie zbędne — to na pewno mniej istotne niż dzisiaj. Pierwszą rolę w planowaniu strategicznym będą grały pociski balistyczne wyrzucane spod ziemi i spod wody. Innymi słowy, za kilkanaście lat bazy mogą się okazać anachronizmem. Wówczas zlikwidować bazy będzie łatwo — ale rozładować nagromadzone antyamerykańskie nastroje i tendencje będzie znacznie trudniej.

Od czasów Dullesa Amerykanie każdą neutralność uważają za postawę prokomunistyczną. Jest oczywistym faktem, że nie istnieje neutralność absolutna. Każdy kraj neutralny jest albo neutralnie pro-zachodni, albo neutralnie pro-sowiecki. I to jest jedna z przyczyn, że Sowiety na pewnych odcinkach światowego frontu neutralizm zwalczają równie zaciekle jak Amerykanie.

Doskonałego przykładu w tej dziedzinie dostarcza sytuacja na Formozie. Na kilka dni przed wizytą prez. Eisenhowera 72 członków partii demokratyczno-socjalistycznej, partii „Młode Chiny” i grupa tzw. Niezależnych — podjęli inicjatywę w celu utworzenia prawdziwej, nowej opozycji na Formozie. Politycy ci oskarżają obecny reżym, że „w imię antykomunizmu obrabowuje ludność z praw i wolności przyznanych konstytucją”. W nawiasach warto dodać, że na wyspie nie było powszechnych wyborów od 1947 roku.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszelkie poczynania opozycji na Formozie, zmierzające do zastąpienia obecnego reżymu rządami demokratycznymi, wprawiają Pekin w popłoch. Korespondenci pism brytyjskich w Hong-Kongu donieśli, że komuniści chińscy obawiają się, iż Amerykanie poprą dążenia opozycji i zezwolą na utworzenie demokratycznego i neutralistycznego rządu. Wówczas cała neutralna opinia azjatycka poparłaby nowy rząd na Formozie a komunistyczna polityka „wyzwalania” wyspy spod jarzma Czang-Kai-Szeka straciłaby sens i podstawę.

W tej chwili w Europie, w Azji, w Afryce istnieje cały szereg „kwestii” geopolitycznych, które rozwiązać właściwie można by tylko poprzez neutralizację.

Polem bitwy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, a Rosją są tzw. *uncommitted nations*, tzn. państwa niezaangażowane.

Zarówno komuniści jak i antykomuniści głoszą z większym lub mniejszym talentem, że w tym epokowym sporze ideologicznym nikt nie może pozostać neutralny, że to jest problem, który dotyczy każdego z nas, że wynik tych zmagania zdecydowanie o losach świata itd.

To wszystko jest prawdą ale niemniej prawdą jest również, że mobilizacja w skali światowej zawiodła. Jeżeli ktoś przypuszcza, że świat zamieni się z czasem na dwa zbrojne sojusze — jest w błędzie.

Przedmiotem analizy politycznej są fakty. A fakty to nie tylko ideologie i systemy społeczne, ale i ludzie. Setki milionów ludzi w Azji i w Afryce nie chce się angażować. Sądzę, że prezydent Dr Nkrumah, zapowiadając w parlamencie w Accra przedłożenie projektu utworzenia bloku afrykańskich państw neutralnych, miał za sobą poparcie znakomitej większości ludów Afryki.

Ale to jeszcze nie jest cała *story*. W Europie zachodniej ludzie prawdziwie zaangażowanych jest bardzo mało. Był czas, że w Anglii, z powodu różnicy przekonań ideologiczno-religijnych, palono ludzi na stosie. Obecny konflikt nie wywołuje namietności ideologicznych. Rosja budzi lęk jako potęga atomowa — ale komunizm jako ideologia powoduje tylko wzruszenie ramion. Łatwiej jest nawrócić na komunizm katolika — powiedzmy Piaseckiego z Paxu — niż agnostyka, który nie jest zainteresowany żadną ideologią ani żadną religią.

W Anglii istnieją miliony potencjalnych neutralistów. Najszlachetniejsi spośród nich są zwolennikami neutralizmu z pobudek moralnych. Ludzie ci sądzą, że żaden konflikt ideologiczny nie może usprawiedliwić użycia broni nuklearnych. Dla większości jednak zagadnienie sprowadza się do sprawy bezpieczeństwa. Co to oznacza w praktyce? Oznacza to, że choć komunizm jest antypatyczny — milionom mieszkańców tych wysp chodzi zasadniczo o bezpieczeństwo, a nie o zlikwidowanie komunizmu na całym globie. Tzw. wolny świat obejmuje setki milionów neutralistów i potencjalnych neutralistów w Azji, w Afryce, w Ameryce łacińskiej i w Europie, a ponieważ nie ma żadnych szans przerobienia tych milionów ludzi w płomiennych antykomunistycznych krzyżowców — trzeba się z tym pogodzić i wyciągnąć z tego stanu rzeczy logiczne wnioski. Dlaczego? Ponieważ jeżeli my tych wniosków nie wyciągniemy, z całą pewnością wyciągnie je Chruszczow.

Lecz nim przystąpimy do próby ustalenia wniosków — proponuję byśmy wpieryw usystematyzowali sytuację.

I. Według wypowiedzi dowódcy lotnictwa strategicznego U.S.A., gen. Thomas S. Powera, sto baz amerykańskich w wolnym świecie może być zrównanych z ziemią w przeciągu trzydziestu minut trzystu pociskami balistycznymi, jakimi dysponują Sowiety. Wniosek stąd, że jak długo trwa przewaga

sowiecka w pociskach balistycznych — nie Sowiety są okrażone przez Amerykę, lecz odwrotnie, Ameryka jest okrażona i zagrożona przez Związek Sowiecki. Z powyższego wynika również jasno, że nie bazy zamorskie są dziś skutecznym instrumentem okrażenia i zagrożenia, lecz międzykontynentalne pociski balistyczne.

II. Wysiłki Ameryki winny iść nie w kierunku rozbudowy łańcucha baz zamorskich, lecz w kierunku rozbudowy potencjału pocisków międzykontynentalnych, kierowanych z baz podziemnych na terytorium Stanów Zjednoczonych i z pokładów okrętów podwodnych.

III. Bazy zamorskie z jednej strony stają się instrumentem niewystarczającym i nie zapewniającym bezpieczeństwa — z drugiej zaś strony są źródłem rosnących komplikacji politycznych. Wymiar bowiem zagrożenia atomowego zmienił treść sojuszu. Co innego było ryzykować wojnę w obronie zaatakowanego sojusznika, a co innego jest ryzykować własną zagładę w obronie zagrożonego sojusznika. Czy w takiej sytuacji gwarancje i klauzule o natychmiastowym odwecie oznaczają to samo co przed rokiem 1945?

Bertrand Russell na łamach „The Guardian” z 14 lipca 1960 r. pisał co następuje: „Wiem z wpływowych źródeł amerykańskich, iż amerykańskie oddziały wojskowe w Wielkiej Brytanii nie będą uważane przez Stany Zjednoczone za dostatecznie ważne, by usprawiedliwić podjęcie wojny przeciwko Rosji — jeżeli Rosja oświadczy, że atakuje wyłącznie Wielką Brytanię”.

Zaznaczyłem już, że nie podzielam opinii Russella w tej sprawie. Nie wiem również w jakim stopniu amerykański informator znakomitego filozofa był osobistością reprezentatywną. Ale nie to jest istotne w tym zagadnieniu. Istotny i znamieny jest sam fakt, że tego typu wątpliwości nurtują zarówno ludzi tak wybitnych jak Bertrand Russell jak i tłumy zwyczajnych zjadaczy chleba. Jeszcze w 1945 roku w niczyjej głowie nie zrodziłaby się myśl, że w razie ataku na Anglię sojusznica Ameryka może nie wypełnić swych zobowiązań. Gdyby ktoś wówczas wystąpił z powyższymi pomysłami, uważano by go za szaleńca.

Jeżeli tego rodzaju wątpliwości notujemy dziś nawet w Anglii, to cóż mają myśleć mniej bliscy i mniej uprzywilejowani sojusznicy? Czy można się dziwić Japończykom, że są pełni obaw i demonstrują?

Pierwszy i ogólny wniosek, jaki należałoby wysnuć z tych rozważań, ująłbym następująco: zbliżamy się do punktu, kiedy oba super-mocarstwa będą w możności zniszczyć się wzajemnie potencjałem pocisków atomowych kierowanych z baz na własnym terytorium, względnie z wyrzutni floty podwodnej. W takiej sytuacji nie tylko bazy zamorskie tracą na znaczeniu, ale i sens sojuszu ulegnie zmianie. Konflikt w sensie potencjałów atomowych zredukuje się *de facto* do ram pojedynku amerykań-

sko-sowieckiego. W chwili gdy Stany Zjednoczone i Rosja będą posiadały dostateczną ilość pocisków międzykontynentalnych, by zlikwidować się nawzajem i przy tej okazji zniszczyć 80% powierzchni naszej planety — będzie doprawdy bez znaczenia czy Anglia i Francja posiadają kilka czy kilkanaście własnych bomb wodorowych. Losy świata zależeć będą od Waszyngtonu i Moskwy. Inne mocarstwa będą musiały zadowolić się głosem doradczy (jeżeli w ogóle będzie czas kogokolwiek pytać się o radę).

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w takim układzie tendencje neutralistyczne wystąpią na powierzchnię z przemożną siłą. Tak samo nie ulega dla mnie wątpliwości, że Rosja będzie się starała w pełni to wykorzystać. Bitwa o narody niezaangażowane rozegra się nie w płaszczyźnie baz i sojuszków, lecz w płaszczyźnie neutralizmu. Należy ufać, że Amerykanie zrozumieją to dostatecznie wcześniej, ponieważ błędy popełnione na tym polu byłoby trudno naprawić. Jeżeli Amerykanie uważają, że nadal, że każdy neutralizm jest „niemoralny” i z natury swej pro-komunistyczny — to bitwę o postawę narodów niezaangażowanych należy już dziś uznać za przegraną.

Ameryka musi się przygotować do gry kartą neutralizmu, ponieważ Rosja z całą pewnością rzuci tę kartę na stół. Ameryka winna nie tylko nie sprzeciwiać się neutralizmowi, ale go popierać i zapewniać państwom neutralnym skuteczną opiekę ONZ. W Afryce autorytet ONZ jest bardzo duży i należałoby to w pełni wykorzystać. Na kontynentach afrykańskim i azjatyckim w większości wypadków nie wybieramy pomiędzy orientacjami pro-amerykańską a pro-sowiecką — tylko pomiędzy neutralizmem a pro-komunizmem. Jeżeli Amerykanie tego nie pojmą, to pomimo że są tradycyjnymi przeciwnikami kolonializmu — odziedziczą w spadku po macarstwach kolonialnych cały potencjał niechęci i nieufności ludów kolorowych. W znacznym stopniu już się to dzieje. W wielu krajach na tych obszarach Anglicy są dziś bardziej popularni niż Amerykanie.

Pragniemy, by Amerykanie mieli jak największy wpływ zarówno w Azji jak i w Afryce. Ale jest to możliwe tylko poprzez neutralizm i jak najskuteczniejsze wiązanie państw neutralnych z ONZ, a nie poprzez bazy, paktów sojusznicze i mobilizowanie najreakcyjniejszych elementów, które antykomunizm uważają za swą jedyną deskę ocalenia.

Osobiście jestem przekonany, że po wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych nastąpi bardzo wybitne ożywienie na scenie politycznej i to nie tylko w Afryce i w Azji, ale i w Europie. Problem Niemiec stanie się znów aktualny.

Niemcy nie mają dziś żadnej koncepcji politycznej. W. Brandt — prezydent zachodniego Berlina — przemawiając w dniu 17 lipca z okazji rocznicy powstania w wschodnich Niemczech, nawoływał do utworzenia jednolitego frontu we wszystkich sprawach narodowo-niemieckich. Do niedawna niemieccy socjal-demokraci popierali tylko pewne elementy polityki kanc-

lerza Adenauera; układ rzymski, „wspólny rynek” europejski, były ratyfikowane głosami rządu i opozycji. Niemniej opozycja była przeciwna tak zbrojeniu Niemiec zachodnich, jak i udziałowi w NATO. Obecnie opozycja popiera w całości program Adenauera i różnice dzielące obie partie sprowadzają się właściwie do założeń taktycznych.

Co to oznacza w praktyce? W aspekcie polityki międzynarodowej oznacza to śmierć niemieckiego neutralizmu. Jest to Dullesa za grobem zwycięstwo. Natomiast z całą pewnością nie jest to zwycięstwo Niemiec.

Stabilizacja sytuacji w Europie środkowo-wschodniej jest do osiągnięcia tylko przez kompromisowe zharmonizowanie systemu politycznego z wymogami geopolitycznymi. Ponieważ Niemcy nie mają żadnych szans pobicia Rosji — wcześniej czy później muszą z nią szukać ułożenia swych stosunków. Niemców nie oddziela od Rosjan Atlantyk — oni mają Rosjan pod bramą brandenburską. Niemcy uzbrojone i członek NATO nie mają żadnej szansy ani pobicia Rosji ani znalezienia trwałego *modus vivendi*. Mają natomiast w perspektywie serię kryzysów berlińskich, które nie wiadomo jak się skończą. Należy obiektywnie stwierdzić, że sytuacja berlińska — rozgrywana w płaszczyźnie obecnej polityki — na dłuższą metę nie wróży dla Niemiec niczego dobrego.

Nieporozumienie polega na tym, że mocarstwa zachodnie politykę koegzystencji pojmują defensywnie — Moskwa zaś ofensywnie. Rosjanie są za utrzymaniem *status quo* w Europie, bo im to dogadza. Ale wszędzie indziej są przeciwnikami *status quo*.

Sowiety w najbliższym okresie z całą pewnością będą opierać ideą neutralizmu poza Europą, usiłując odwrócić opinie krajów niezaangażowanych od Ameryki.

Nowa dynamiczna polityka amerykańska powinna nie tylko odebrać Rosji inicjatywę w tej sprawie, ale przenieść koncepcję neutralizmu na przedpole Związku Sowieckiego w zastosowaniu do Niemiec i Europy wschodniej. Neutralizm może być bowiem dwojaki: pro-sowiecki albo prawdziwie międzynarodowy w oparciu o ONZ. Którą z tych form przybierze neutralizm w najbliższych 10 latach na kontynentach naszego globu — w znacznej mierze zależeć będzie od polityki Stanów Zjednoczonych.

Tej jesieni ukaże się w języku niemieckim moja książka, poświęcona w dużym stopniu zagadnieniu Niemiec i pasa neutralnego, w Europie środkowo-wschodniej. We wstępie do tej książki podkreśliłem z naciskiem, że zespół redakcyjny „Kultury” nie widzi w neutralizmie nowej „ideologii”. My tylko nie widzimy alternatywy. Niemcy uzbrojone i członek NATO nie ustalą nigdy *modus vivendi* z Rosją. Jeżeli by kiedyś doszło do otwartego konfliktu — to trzecią wojnę światową jeżeli ktokolwiek wygra — wygra ją Ameryka, ale nie Niemcy. Federalna Republika, jeżeli nie zostałaby zrównana z ziemią,

byłaby okupowana nie w pierwszych tygodniach, ale w pierwszych dniach wojny. Wówczas Niemcy zachodnie chcąc ratować życie i przemysł — musiałyby z entuzjazmem poddać się pod rozkazy Ulbrichta. Niemcy są w analogicznej sytuacji, jak Polska w 1939 roku. Myśmy również mieli gwarancje. Nasi sojusznicy wygrali wojnę — ale myśmy ją przegrali.

Osobiście nie jestem panslawistą. Tym niemniej Niemcy muszą znaleźć *modus vivendi* z tym morzem słowiańskim, które podchodzi pod Berlin. Układ sił zmienił się definitywnie. Narody słowiańskie — Rosjanie, Polacy, Ukraińcy — nie tylko wykazują jeden z najwyższych w świecie przyrostów naturalnych lecz również uprzemysławiają się w imponującym tempie. Składa się na to wiele przyczyn, lecz jest faktem, że globalna produkcja przemysłu sowieckiego rośnie szybciej niż produkcja przemysłu amerykańskiego. Choć do prześcignięcia Ameryki jest jeszcze daleko — to jednak łączny potencjał przemysłowy „morza słowiańskiego” zrewolucjonizował całkowicie układ sił na europejskim wschodzie. Wszelkie analogie z sytuacją z 1939 r. prowadzą do mitologii historycznej, która niestety, panuje niepodzielnie w wszystkich „Ostinstytutach”. Dziś, w razie starcia ze słowiańskim wschodem, Niemcy nie musieliby maszerować pod Stalingrad. Totalną klęskę ponieśliby pod Berlinem.

Gwarancje amerykańskie — z punktu widzenia niemieckiego — nie są żadnym rozwiązaniem tego problemu. Są tarczą ale nie rozwiązaniem. Konflikt amerykańsko-sowiecki rozgrywa się w innej płaszczyźnie. Można sobie doskonale wyobrazić, że za 10 czy 15 lat dojdzie do pewnej początkowej kontroli zbrojeń atomowych i do pewnego minimalnego porozumienia sowiecko-amerykańskiego. Tego typu minimalne porozumienie — może się stać fundamentem pokojowego i bardziej znośnego *modus vivendi* między dwoma supermocarstwami świata — ale nie polepszy sytuacji Niemiec *vis-à-vis* bloku wschodniego. Przeciwnie, pozycja Niemiec ulegnie pogorszeniu.

Ani wojna ani porozumienie (czy tylko odprężenie) pomiędzy Ameryką a Rosją nie leżą w interesie Niemiec.

Więc jakie jest wyjście?

Gdybym był niemieckim politykiem propagowałbym koncepcję pasa neutralnego, który winien objąć Niemcy wschodnie i zachodnie, Polskę, Węgry i Czechosłowację. Niemcy — sojusznik Ameryki, czy Niemcy — sojusznik Rosji — nie mają żadnej szansy wypracowania własnego pokojowego *modus vivendi* ze swym najpotężniejszym sąsiadem, którym jest blok wschodni. A wypracowanie tego *modus vivendi* jest dziejową koniecznością Niemiec. Realnej „Ostpolitik” nie zastąpi ziomkowska mitologia, bo problem wschodni jest kardynalnym zagadnieniem polityki niemieckiej. Każdej polityki niemieckiej. Ten problem zawiera w sobie szansę i groźbę. Jeszcze przed pierwszą wojną światową niemieccy pisarze polityczni przepowiadali adwent epoki Słowian. Otóż ta epoka nadeszła i Niemcy

muszą znaleźć na ten problem odpowiedź. Rewizjoniści ziomkowskowie domagający się zwrotu polskich ziem nad Odrą i Nysą — widzą tylko drzewa, ale nie widzą lasu. Nie widzą lasu choć las ten widać z centrum Berlina.

Gdybym był politykiem niemieckim uważałbym, że jedyną odpowiedzią na epokę Słowian w wydaniu rosyjskim winna być próba skupienia Słowian zachodnich w systemie obejmującym Niemcy. W gruncie rzeczy Słowianie zachodni, tj. Polacy i Czesi, mają w płaszczyźnie kultury i cywilizacji daleko więcej wspólnego z Niemcami niż z Rosją. Podjęcie tego typu inicjatywy byłoby możliwe tylko poprzez neutralizację.

Niemcom wydaje się, że neutralizacja jest kapitulacją. W rzeczywistości jednak poprzez neutralizację Niemcy mogłyby odzyskać prawdziwą suwerenność i podjąć politykę we własnym imieniu. Kanclerz neutralnych Niemiec mógłby mieć w Europie taką pozycję jak Nehru w Azji. Neutralne i zdemilitaryzowane Niemcy — zamiast odstraszać — przyciągałyby zachodnich Słowian. Z czasem mogłyby się stać osią krystalizacyjną nowego układu w Europie środkowo-wschodniej. Innymi słowy, Niemcy mogą wrócić na Wschód tylko za cenę przywrócenia zachodnich Słowian Zachodowi. Ale tego typu polityka wymagałaby wyobraźni i wielkiej mądrości. Ponieważ plany tego rodzaju nie mogłyby mieć nic wspólnego z „wyzwaniem” siłą, a przez „powrót” rozumieć należy współpracę w ramach neutralnego bloku.

Czy Rosja zgodziłaby się na utworzenie w Europie pasa neutralnego?

Na to pytanie trudno dziś odpowiedzieć. Jedno jest pewne: Rosja byłaby gotowa pójść na poważne ustępstwa wzajemian za zdemilitaryzowanie Niemiec. Ale dopóki sami Niemcy nie dojrzą wielkiej szansy tej koncepcji — dopóki nie wystąpią z planem i inicjatywą — pytanie: czy Rosja się na to zgodzi jest bezprzedmiotowe, bo w pierwszym rzędzie trzeba dla tej koncepcji pozyskać Niemcy.

Ludziom naszego pokolenia jest niezmiernie trudno uwierzyć, że neutralne Niemcy mogłyby dokonać wielu rzeczy, których uzbrojone Niemcy, członek NATO — nie dokonają nigdy. Uzbrojone Niemcy cementują solidarność bloku wschodniego i własnymi rękami umacniają fundamenty epoki Słowian pod przywództwem komunistycznej Rosji.

By Niemcy dostrzegły swą dziejową szansę w neutralizacji — musiałyby zrewolucjonizować swą mentalność. Musiałby się wyżyć przekonania, że polityka jest ubocznym produktem operacji wojskowych, że jest automatyczną funkcją siły. Plan i myśl nie rodzą się z siły, a ich braku nie zastąpią największe zbrojenia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

OPERACJA „KAFTAN”

Problem jest kapitalnej wagi. Czy Polak osiadły na stałe na Zachodzie obowiązany jest nosić kaftan cenzury wewnętrznej do końca swoich dni? Czy ze względu na rzeczywistość czy urojoną taktykę — należy pewne zagadnienia przemilczać, a inne podawać w spreparowanej postaci? Wszystko w imię taktyki: by nie szkodzić Krajowi — by nie szkodzić rewizjonistom — by nie szkodzić katolikom — by nie szkodzić pisarzom itp., itd.

Taktyka jest bożkiem komunistów. I na tle sytuacji w Kraju można często śledzić patologiczny obraz tego socjologicznego procesu.

Pan X. jest profesorem filozofii. Co innego wyklada, a co innego mówi prywatnie. Po pewnym czasie nie tylko wyklada co innego (niż to, co *de facto* myśli) ale i robi co innego (niż to co *de facto* uważa za słuszne). Współdziała w usuwaniu starych profesorów — przyczynia się do produkowania nieuków itp.

Człowiek jest zjawiskiem ewolucyjnym wprzęgniętym w łańcuch przyczyn i skutków. Sytuacji schizofrenicznej nie można przedłużać bezkarnie nawet dla wzniośle pojętych względów taktycznych. Człowiekowi wrodzone jest dążenie do harmonijnej logicznej całości. Wszystkie religie i wszystkie filozofie są przejawem tego dążenia. Sytuacja schizofreniczna, dualistyczna, stanowi odwrócenie tego dążenia. Wyjść z tego błędnego koła, bez zrywania ze *status quo*, można tylko poprzez racjonalizację schizofrenii. To znaczy trzeba dobudować teorię, która by „udowadniała”, że wszystko co się robiło początkowo ze względów taktycznych — jest nie tylko taktycznie konieczne, ale i w 80 % *słuszne i moralnie usprawiedliwione*. Wówczas cykl się zamyka.

Groza mechaniki pewnych sytuacji w orbicie doktryny komunistycznej polega na tym, że ludzie bardzo źle znoszą stany schizofreniczne i albo się załamują, albo usiłują uwolnić się od stanu schizofrenicznego poprzez racjonalizację. Cynizm jest również racjonalizacją. Jeżeli ktoś sobie powie, że wszystko w gruncie rzeczy jest absurdalnym chaosem — to oczywiście jest zupełnie obojętne zarówno to co się robi jak i to co się pisze.

Poruszam ten temat, bo w rzeczywistości postać Tygrysa w „Rodzinnej Europie” jest próbą literackiej racjonalizacji „czerwonej schizofrenii” Krońskiego. To był przyjaciel Miłosza i w moim przekonaniu Miłosz jako pisarz miał pełne prawo zmobilizować cały swój talent, by wizerunek zmarłego filozofa przedstawić w możliwie korzystnym świetle. W nawiasie warto dodać, że porównanie Krońskiego z Harichem jest mylne. Harich był (i przypuszczam jest nadal) przekonany komunistą o niezmiernie logicznej i precyzyjnej mózgowicy.

Kroński nie żyje i literacka racjonalizacja jego schizofrenii nie była dyktowana taktyką, lecz sentymentem i przyjaźnią. Ale pytanie brzmi:

czy my wszyscy w pewnej mierze nie jesteśmy schizofrenikami — czy w ogóle można być Polakiem nie będąc schizofrenikiem? Czy Polak nawet przebywający na Zachodzie może odrzucić narodowe „względy taktyczne” i pisać zawsze to, co szczerze myśli i to, co uważa za słuszne i prawdziwe? Dla ludzi pióra to jest pytanie kapitalne. Trzeba bowiem osądzić co jest istotniejsze: czy to co się *zyskuje* stosując taktykę — czy to co się *traci* nie pisząc pełnej prawdy.

Nie ulega wątpliwości, że w pewnych wypadkach ze względów taktycznych należy milczeć. Dam przykład. Tom prozy Iwaszkiewicza pt. „Tatarak i Inne Opowiadania”, który ostatnio ukazał się w Kraju nie zawiera doskonałej noweli pt. „Wzlot”. Wiem od ludzi z Kraju, że „Wzlot” został wycofany na skutek mojej notatki w „Kulturze”. Czynniki partyjne uznały, że opowiadanie dostarcza „amunicji reakcyjnej prasie emigracyjnej na Zachodzie”. Dla komunistów istnieje tylko taktyka, a inne kryteria z literackimi włącznie muszą być zawsze i bez wyjątku podporządkowane względem taktycznym.

Jeżeli istotnie tak było, to bardzo żałuję, że napisałem tę notatkę. Albowiem w tym określonym wypadku jeżeli milczeniem można było uratować „Wzlot” przed cenzurą, niewątpliwie należało milczeć.

Powyższy przykład stanowi dobrą ilustrację operacji „kaftan”. Mimo, że przebywamy na Zachodzie nie jesteśmy ludźmi wolnymi. Nie jesteśmy ludźmi wolnymi, bo nasi rodacy w Kraju wtłaczają nas w ten sam kaftan, który ich kępuje. Wydaje się, że cenzura komunistyczna obowiązuje nie tylko Iwaszkiewicza ale i mnie ilekroć zechcę zabrać głos na temat jego twórczości.

Gdybyśmy uogólnili konkretne wypadki — jak powyżej przytoczony — i nadali im moc powszechnego prawa — w konsekwencji należałoby zadać pytanie dlaczego nie wracamy do Kraju? Zagranicą można łatwo popełnić błąd taktyczny i komuś zaszkodzić. Najbezpieczniej jest siedzieć w Warszawie i mieć cenzora na karku od świtu do nocy.

Chcąc zadowolić zwolenników „kaftana” należałoby milczeć taktycznie nie tylko w sprawach literackich, lecz przede wszystkim w sprawach politycznych.

P. Robert Danowski na łamach „New Statesman” (16.7.1960) — przypomniał mój artykuł w „Kulturze”, w którym między innymi proponowałem utworzenie polskiego „ośrodka rewizjonistycznego” na Zachodzie. Węgrzy mają taki ośrodek, który w pewnej mierze pokrywa się z ówczesną koncepcją „Kultury”. Mam na myśli brukselski „The Imre Nagy Institute for Political Research”. Jak sama nazwa wskazuje Instytut nawiązuje do rewizjonistycznej tradycji Imre Nagya i skupia garść jego dawnych współpracowników, którzy zdołali przedostać się zagranicę. Czy warunkiem powodzenia takiej inicjatywy musi być powstanie i zbrojna interwencja Sowieców?

U nas na szczęście powstania nie było, ale p. Danowski sądzi, że „rewizjoniści (polscy) zostali pozbawieni połowy swoich wpływów niezdarzym entuzjazmem (*clumsy*) swoich przyjaciół w wolnym świecie”. Dodaje również, że łatwo sobie wyobrazić jaki wpływ i wrażenie musiała wywrzeć koncepcja „Kultury” na pozakurtynowe organy bezpieczeństwa.

Innymi słowy jeden skromny artykuł w „Kulturze” pozbawił polskich rewizjonistów połowy ich wpływów i możliwości. Można by jeszcze

zapytać co się stało z tą drugą połową wpływów, której „Kultura” nie zdołała zniszczyć — ale to nie należy do tematu.

Bóg świadkiem, jestem ostatnim człowiekiem na tej planecie, który by chciał pomniejszać wpływ i znaczenie „Kultury”. Ale nikt mnie nie przekona, że nasze wpływy są aż tak potężne.

Przeczytałem wypowiedź p. Danowskiego ponieważ rozumowanie autora kryjącego się pod tym pseudonimem jest klasyczne. Jak się bowiem raz zaakceptuje tezę prymatu taktyki, trzeba zrezygnować z publicystyki w sensie zachodnim. Wówczas nie chodzi ani o prawdę ani o obiektywizm, ponieważ dla „taktyka” nie ma ani prawdy ani obiektywizmu. Jest tylko inspiracja albo dezinformacja. Publicysta w takiej sytuacji traci wszelką niezależność i staje się aparatchykiem.

Miałem w ręku list przekazany z Kraju od bardzo poważnego pana. Jego uwagi dotyczyły rosyjskiego numeru „Kultury”. Nasz korespondent wnioskował podobnie jak p. Danowski. Obojętne czy w tej czy w innej kwestii mamy rację, czy jej nie mamy — faktem jest, że Rosjanom nie należało tego mówić, co myśmy powiedzieli. Taktyczniej byłoby napisać coś wręcz odwrotnego.

Gdybyśmy przyjęli za komunistami, że o wszystkim zawsze i wszędzie decyduje taktyka — przemienilibyśmy „Kulturę” w pismo równie ocenzone i równie zakłamate jak „Nowa Kultura”. Przeczytawszy „Wzlot”, myśląc taktycznie, powinienem był zdać sobie sprawę, że to jest nowela, która może mieć trudności. Trzeba więc było napisać, że „Wzlot” jest opowiadaniem socrealistycznym o ukrytych tendencjach komunistyczno-propagandowych. Nie wykluczam, że gdyby w prasie emigracyjnej o „Wzlocie” ukazały się taktycznie spreparowane recenzje — nowela, być może, znalazłaby się w wydaniu zbiorowym. Ale czy to nie jest cena zbyt wysoka? Jeżeli „rację taktyczną” przyjęlibyśmy za jedyne kryterium — wówczas wszystkie artykuły musiałyby być preparowane. W konsekwencji przestalibyśmy być redakcją niezależnego pisma i przekształcilibyśmy się w komórkę kontr-wywiadu, która ocenia wszystko pod kątem widzenia informacji, dezinformacji, inspiracji itp.

Pozycja „Kultury” tak w Kraju jak i na emigracji jest rezultatem jej niezależności. Owa niezależność umożliwia „Kulturze” obdarzanie swych współpracowników najcenniejszym przywilejem jakim jest swoboda pisarska. Nie taję, że ta całkowita wolność z jakiej korzystamy na łamach „Kultury” bywała czasem przyczyną błędów. Właśnie błędów taktycznych. Ale gdyby tej wolności nie było — „Kultura” nie byłaby tym czym jest. A gdyby nie była tym czym jest, nawet p. Danowski nie uważałby za stosowne cytować jej w „New Statesman”, bo by jej w ogóle nie dostrzegł.

Dlatego naszym krytykom odpowiadam z przekonaniem podmurowanym wieloma latami doświadczenia: najwyższym wskazaniem taktyki i racji narodowej w wymiarze naszego zawodowego działania jest wydawanie niezależnego i całkowicie wolnego pisma polskiego możliwie na najlepszym poziomie. Wolna prasa zawsze robi błędy, a często głupstwa. Od błędów i głupstw nie są wolne najświetniejsze pisma Zachodu. Ale owa przyciągająca siła „Kultury”, której wyrazem jest zarówno legion jej zaprzysiężonych wrogów jak i legion jej zaprzysiężonych entuzjastów — wypływa z wolności. Gdyby „Kultura” zamiast tej garstki ludzi, którzy

stanowią jej zespół — dysponowała wszystkimi najświetniejszymi piórami, lecz wtłoczona była w kaftan takiej czy innej „taktyki” — straciłaby swych wszystkich wrogów i swych wszystkich entuzjastów. Miałaby tylko prenumeratorów jak „Nowa Kultura”.

Sytuacja krajowa narzuca ludziom pióra na emigracji pewne oczywiste ograniczenia. Nie wolno nikomu w Kraju szkodzić, ani nie wolno nikogo w Kraju narażać. — Ale to wszystko. Nie tracąc nigdy z oczu specyficznej sytuacji krajowej — prasa emigracyjna, by spełnić swe zadanie, nie może być wtłaczana w żaden „taktyczny” kaftan. Schizofrenii, która jest funkcjonalną chorobą każdego systemu totalistycznego musimy przeciwstawić nie neurotyczną racjonalizację schizofrenii, lecz ideał zachodniego humanizmu, którym jest pełny człowiek, poszukujący w wolności rozwiązań problemów swego czasu.

GRANICE

„Rada Ziem Wschodnich” w uchwale opublikowanej w kilku pismach emigracyjnych potępiła stanowisko „Kultury” w sprawie granic Polski, wyrażone w moim artykule w specjalnym numerze rosyjskim.

Gdyby dostojni członkowie cytowanej Rady czytali „Kulturę”, a nie tylko jej wydawnictwo rosyjskie — wiedzieliby, że nasze poglądy w tej sprawie nie uległy zmianie od wielu lat. Ale członkowie Rady Ziem Wschodnich odkryli je dopiero w numerze rosyjskim.

Nieraz najprostsze — zdawać by się mogło — rzeczy trzeba tłumaczyć długo, cierpliwie i po kilka razy. A więc po raz dziesiąty:

Istnieją tylko dwa logiczne poglądy w sprawie granic. Można stać na stanowisku granic z 1939 roku albo na stanowisku granic obecnych. Wszelkie inne poglądy w tej sprawie są nie tylko tromtadacją ale „aktem nierozumiałej lekkomyślności i braku poczucia odpowiedzialności”. Ci panowie, którzy głoszą, że granice Polski winny obejmować obszar z roku 1939 powiększony o Ziemie Odzyskane — uprawiają nie tylko tromtadację (co można by im wybaczyć) ale działalnością swą podważają nasze prawa do granicy na Odrze i Nysie. Dostarczają bowiem beczennych argumentów rewizjonistom niemieckim, domagającym się zwrotu tych Ziem.

Nawet liberalni i światli pisarze niemieccy jak Wenger, autor „Der gewinn Deutschland”, wiążą sprawę Ziem Odzyskanych z przywróceniem Polsce utraconych obszarów wschodnich. Wenger głosi, że Niemcy winni poprzeć dążenia Polaków do odzyskania Lwowa — bo jak Polacy odzyskają Lwów — Niemcy będą mogli wrócić do Wrocławia. Jasne i logiczne. Jeżeli my pragniemy na wschodzie powrócić do układu terytorialnego z 1939 r. — dlaczego Niemcy nie mieliby wrócić do układu terytorialnego z 1939 na zachodzie? Nie ma logik narodowych i nie ma argumentów narodowych. Są tylko tromtadacje narodowe. Obiektywne argumenty i logika są niestety te same dla wszystkich.

Innymi słowy można albo bronić granic obecnych i zabiegać o ich międzynarodowe uznanie — albo możemy głosić, że nie uznajemy Jałty, Teheranu i Poczdamu i domagamy się przywrócenia niepodległości Polsce w granicach 1939 r.

W przekonaniu zespołu „Kultury” (i znakomitej większości Polaków w Kraju i zagranicą) obecne granice Polski są faktem. Granica na Odrze i Nysie nie jest jeszcze w pełni, międzynarodowo, uznana i obowiążeniem naszym jest walczyć o jej ostateczne uznanie. Panowie z cytowanej Rady winni zdać sobie sprawę z faktu, że nie mamy żadnych szans odzyskania Lwowa i jest więcej niż lekkomyślnością osłabiać naszą pozycję na Ziemach Odzyskanych wysuwaniem nierealnych postulatów wschodnich. Domagając się zwrotu Lwowa gramy w ręce Wengerów i wszystkich niemieckich stowarzyszeń ziomkowskich. Bo klasyczna teza rewizjonistów niemieckich brzmi: Polakom należy zwrócić Małopolskę Wschodnią a Niemcom ziemie nad Odrą i Nysą. A Ukraińcy i Litwini?

Logicznie i skutecznie Ziem Odzyskanych możemy bronić stojąc nieprzejednanie na stanowisku całości i nienaruszalności obecnych granic polskich. Są to zresztą granice bardzo korzystne i potrzebna nam jest niepodległość, a nie zmiana granic.

W polityce, podobnie jak w życiu, trzeba wybierać. A wybór oznacza rezygnację. Wybieramy „A” — rezygnujemy z „B”. Rezygnacja jest zawsze rzeczą bolesną, ale jest konsekwencją wyboru. Ci którzy tego nie rozumieją powinni pamiętać, że domagając się zwrotu Lwowa nie przybliżamy się do Lwowa natomiast odalamy się od Wrocławia.

PRZEKŁADANIEC LONDYŃSKI

I

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” obchodził niedawno dwudziestolecie swych narodzin. Po rewolucji pałacowej, w wyniku której pp. Kirzien i Horko opuścili zespół redakcyjny — „Dziennik” pod redakcją Aleksandra Bregmana uległ bardzo korzystnej metamorfozie. Nastąpiła „odwilż”, która przyniosła ogólną liberalizację — wzbogacenie treści i poszanowanie dla zasady *balanced view*. Pojawiły się nowe kolumny jak np. doskonała „Środa Literacka” redagowana przez Wiesława Wohnouta. Wielka szkoda, że kolumna ta ukazuje się co dwa tygodnie, a nie co tydzień.

Oczywiście „odwilż” w Dzienniku wprawiła w popłoch naszych anty-liberałów i „niezłomnych”. Jak powszechnie wiadomo, ci panowie dzierżą monopol na politykę polską i posiadają *copyright* na „platformę niepodległości”. Na tej platformie można się utrzymywać chwyciwszy się mocno za polę p. Stahla albo choćby p. Stermińskiego. Jeżeli komuś to nie odpowiada, los jego jest przesądzony. Nieszczęśnik będzie się ponuro staczał z platformy niepodległościowej w ciemne odmęty liberalizmu i *fellow-traveller*’stwa.

W chwili gdy piszę te słowa „odwilż” londyńska rozwija się znakomicie. Na artykuł Dra Stahla w „Dzienniku” odpowiedział Stefan Łochtina (doskonale!) — a Łochtina z kolei zaatakował polemicznie Ryszard Piestrzyński z łamów „Orla Białego”. Polemika toczy się o stosunek do koegzystencji. Panowie Stahl, Piestrzyński i Stermiński — są zdania,

że powinniśmy zwalczać koegzystencję ponieważ koncepcja ta prowadzi do umacniania niewoli Polski. Ale jaka jest alternatywa? Alternatywą koegzystencji jest wojna, która prowadzi do nieznanego i niewymiernej katastrofy.

Moje osobiste sympatie są w całości po stronie redaktorów Bregmana i Łochtina. Ale nie to jest istotne w tej sprawie. Istotna jest „odwilż”. Istotne jest, że polemizują ze sobą w sprawach ważnych i zasadniczych dwa pisma emigracyjne, którym patronuje Gen. Anders. Widowisko budujące i pocieszające. Tak powinno być. Ale bogate doświadczenie, jakie mamy za sobą, nakazuje miarkować zbyt optywizm pewną ostrożnością. Idealem obozu politycznego p. Stahla nie są dyskusje, lecz jednolity front „na platformie”. W myśl tych świetlnych BBWR-owskich ideałów byłoby, oczywiście, najlepiej kierownictwo „Dziennika” obsadzić swoimi ludźmi i doprowadzić nareszcie do zestrzelenia myśli w jedno ognisko, czyli do „Orzeł Biały-Syrena-Dziennik Polski”. Jeden wódz — jedna emigracja — jedna prasa. Wówczas „odwilż” dobiegłaby kresu. Mielibyśmy w Londynie dwie urzędówki — jedną nudniejszą od drugiej. Nakład „Kultury” wzrósłby ponownie, bo jednak ludzie pragną czasem przeczytać coś interesującego.

II

Polacy londyńscy namiętnie się procesują. Proces Gen. Andersa przeciw „Narodowcowi” najgłośniejszy z serii — odbił się charakterystycznym echem w prasie krajowej. „Życie Partii” zaatakowało przy tej okazji Londyńczyka zarzucając mu, że w swej notatce poświęconej procesowi starał się wybielić gen. Andersa. Komentarz „Życia Partii” jest klasycznym przykładem stosowania w praktyce zasady prymatu taktyki — o czym mówiliśmy obszernie w pierwszym ustępie niniejszej kroniki. Gen. Anders w niczym i nigdy nie może mieć racji, ponieważ przyznanie mu racji w czymkolwiek byłoby błędem taktycznym.

„Życie Partii” dostosowało się w tej sprawie do linii ustalonej przez „Literaturną Gazetę”, która w artykule z 17.3.1960, bezpośrednio po zakończeniu procesu przeciwko „Narodowcowi”, zaatakowała gen. Andersa zarzucając mu między innymi, że „jego ponura sława rodziła się... w tajnej kancelarii Hitlera”. Jest jakiś surrealistyczny, absurdałny komizm w tym zarzucie w skonstruowaniu z faktami. Realizm obowiązuje w Sowietach tylko w malarstwie i w literaturze. W historii królują niepodzielnie abstrakcjonizm i surrealizm. Ale — jak mówił orwellowski O'Brien — „kto chce kontrolować teraźniejszość musi kontrolować przeszłość”. Historia nie musi być prawdziwa — musi natomiast odpowiadać taktycznym wymogom teraźniejszości.

Firma Collet's, która w niewielkich ilościach kolportuje „Literaturną Gazetę” zamieściła na łamach „Dziennika Polskiego” przeproszenie pod adresem gen. Andersa. W Anglii bowiem za zniesławienie odpowiada nie tylko autor, nie tylko redaktor, ale i... kolporter.

Nie doszło do procesu p. Jana Nowaka, dyrektora polskiej Rozgłośni F.E. przeciw Dr. L. Kirkenowi i p. T. Horko — ponieważ pozwani złożyli oświadczenie, w którym wycofali się z wszystkich zarzutów i prze-

prosil p. Nowaka. Oświadczenie pp. Kirkiena i Horko przedrukowały niemal wszystkie pisma emigracyjne.

III

„Dziennik Polski” z 8.8. br. rozdziera szaty bo...:

„Z inicjatywy konsulatu reżymowego w Londynie, podobnie jak w latach ubiegłych, wyjechała do Polski grupa dzieci polskich z Anglii. Zabrały dzieci dwa specjalne samoloty „Lotu”. Spędzą one w Polsce 5 tygodni przeważnie na koloniach pod Warszawą i na wycieczkach po Kraju. Cena pobytu dziecka w Polsce wraz z podróżą wynosi tylko 20 funtów! Reżym oczywiście dokłada masę pieniędzy do tej imprezy. Smutne, że znajdują się rodzice na emigracji, którzy dają się wziąć na lep reżymowej propagandzie. Ale — na szczęście — ich ilość jest nieznaczna. I najczęściej wstydzą się do tego przyznać”.

Tyle nasz kochany „Dziennik”. Zarówno dzieci jak i rodzice na pewno nie mają się czego wstydzić, natomiast „Dziennik” powinien się wstydzić wypisywania takich bredni. Co tym dzieciom grozi? Czy z dziesięcioletnich brzdąców w przeciągu 5 tygodni zrobią politruków? Tym dzieciom grozi tylko, że stracą angielski akcent i nauczą się dobrze mówić po polsku.

Słucham codziennie trójki moich siostrzeńców urodzonych w Londynie. Do mnie mówią „uncle”, a do mojej żony „czoczu”, co ma imitować polską „ciocię”. Niestety siostra mojej żony wysłała swoje pociechy nad angielskie morze zamiast do Polski.

„Dziennik Polski” — (choć chętnie przyznaję, że i w tym względzie jest znaczna poprawa) nie nauczył do tej pory rozróżniać pomiędzy walką przeciwko reżimowi, a walką przeciwko polskości. Walczymy z komunizmem ale nie za cenę walki z polskością — nie za cenę zohydzenia wszystkiego co krajowe. Często — zwłaszcza w niedawnej przeszłości — zestaw tytułów w „Dzienniku Polskim” bywał znacznie bardziej antypolski niż antykomunistyczny.

Co jest naszym celem: czy dzieci urodzone w Anglii wychować na koszmernych antykomunistów nie strefnionych żadnym kontaktem z władzami reżymowymi — czy też na ludzi znających kraj swego pochodzenia i umiejących mówić poprawną polszczyzną? Doradzam redakcji „Dziennika”, by zapoznała się z pracą Dr. J. Pilatowej o polszczyźnie dzieci polskich w Anglii. Na tę chorobę nie ma innego ratunku tylko wakacyjne wyjazdy do Kraju. Nawet gdyby dzieci z Anglii poddawano w Polsce jakimś propagandowym zabiegom — to po powrocie, w atmosferze szkoły angielskiej, wszystko to z nich wywietrzeje. A co się Polski napatrza, czego się po polsku uczą, tego im nikt nie zabierze.

Przed paru laty wyraziliśmy pogląd, który do tej pory nie stracił na aktualności. Kraju nie powinni odwiedzać tylko emigranci politycznie zaangażowani. Pisarze, publicyści, politycy, redaktorzy pism. Innymi słowy nie powinni odwiedzać Kraju ludzie, których wizyty reżym mógłby wykorzystać politycznie i propagandowo.

LONDYŃCZYK

Sprawy i Troski

I znowu niewola

Jakieś dziesięć lat temu w tej samej „Kulturze” spowiadałem się Czytelnikom ze swoich przeżyć i przygód niewolnika — robotnika najemnego. Miałem potem swoich dziesięć lat tłustych. Żył się życiem człowieka wolnego, pracowało w wolnym zawodzie. Ale nie umiało się go uszanować i znowu spadło się do klasy niewolniczej. Pracuje się w fabryce, zgrzyta zębami, przeklina emigrację, układa plany zemsty nad wrogami osobistymi... A przede wszystkim nad wrogiem numer jeden — sobą samym. Bo muszę przyznać — choć niechętnie — że winę główną za swoją degradację ponoszę tym razem — jak i innymi razami — ja sam.

Niewola hańbi

Każde dziecko zna przysłowie „Żadna praca nie hańbi”. Ale nie każde dziecko wie, że to kłamstwo. Takie samo jak np. „słodka jest śmierć za ojczyznę”. Żadna śmierć nie jest słodka i każda praca niewolnicza — hańbi. A każda praca nietwórcza, mechaniczna, zniechęcająca, wymuszona batem głodu, przykuwająca do maszyny łańcuchem normy — jest niewolnicza.

Powiecie: „Wielkie słowa... Facetowi nie chce się pracować i wymyśla jakieś teorie. Gdzie w XX wieku, w wolnym świecie, istnieje niewolnictwo? Do kogo ta mowa?”

A jednak: mimo XX wieku, mimo uprawnień socjalnych, związków zawodowych, 40-godzinnego tygodnia pracy, robota niewybrana, robota narzucona takim czy innym musiem, koniecznością — jest w istocie swojej niewolą, tak jak niewolą byłoby małżeństwo bez miłości, nakazane, wymuszone, niedobrowolne. Takie małżeństwa istnieją i dzisiaj w wolnym świecie i żadna choćby najmocniej pożądana forma nie zmieni ich niewolniczej treści.

W ciągu wieków fasada niewoli zmieniała się rewelacyjnie i doszła do tego pięknego wyglądu jaki ma dzisiaj. Złagodniały wszystkie formy przymusu. Zmienił się łańcuch i bat — nie brzęczy i nie świszcz. Zmieniła się maszyna — nie wymaga już takiego wysiłku jak wiosłowanie na galrach lub obracanie żaren. Niemniej pozostała zasada przymusu, przykucia do maszyny, zależności od niej.

Istotą niewolnictwa jest fakt, że człowiek jest kapitałem, rodzajem maszyny. Człowiek jako odmiana maszyny, tym się różni od maszyny właściwej że może — w świecie wolnym, bo w komunizmie nie ma i tego prawa — strajkować, żądać podwyżki, odejść od roboty i — umrzeć z głodu. Maszyna tej sztuki nie potrafi...

Nad swoją maszyną do pisania panuje ja. Ja jej dyktuję tempo, normę, rodzaj produktu. W fabryce moja maszyna dyktuje mnie i tempo i rodzaj produktu i normę. I to jest różnica między pracą wolną i niewolniczą. I na tym też, między innymi polega hańba niewoli — na zależności od martwej materii.

Obszar niewoli

Niewola to nie tylko 7 czy 8 godzin niewolniczej roboty na dobę i nie tylko trójwymiarowa przestrzeń budynku fabrycznego. Duch niewoli unosi się i nad moim wolnym czasem i wolną przestrzenią życiową: moje myśli i uczucia zatrute są strachem przed tą chwilą, w której będę musiał przestąpić próg fabryki. W domu, w kinie, w teatrze, w knajpie, w rozmowie na ulicy, we śnie, na jawie — prześladuje mnie poczucie tymczasowości tej wolności, męczy świadomość, że jestem więźniem na urlopie.

Ratuje mnie jednak świadomość — że mogę się zbuntować, mogę nie pójść do fabryki, mogę próbować innych dróg i sposobów zaspokojenia głodu, mogę wreszcie wyjechać — z tego miasta, z tego kraju, iść dokąd oczy poniosą. Tej pociechy nie ma niewolnik ustroju totalnie niewolniczego, który nazwano „ojczyzną proletariatu światowego”.

Mam jeszcze jedną pociechę i przewagę nad niewolnikiem imperium komunistycznego, pełny brzuch i prawo prywatnego mieszkania. To dużo. Dzisiaj niewolnik planety kapitalistycznej jest syty, widmo głodu i bezrobocia zniknęło — przypuszczam że na zawsze — z obszaru jego niewoli.

Momenty bezpośrednio po robocie, po opuszczeniu więzienia-fabryki, są nieco radośniejsze — mimo zatrucia ciała zmęczeniem. Zmęczenie fizyczne nigdy nie jest trucizną tak silną jak tortura męki moralnej: strachu, wstydu, poczucia, poniżenia, utraty wiary w siebie. Niemniej zmęczenie działa hamująco na próby podjęcia dodatkowej pracy mózgowej.

Zmęczenie jest jednym z czynników zmniejszających obszar wolności.

Takich czynników jest dużo. Np. dojazdy do roboty. Na ogół trwają długo. Odległości między miejscem zamieszkania, czyli względnej wolności, a miejscem pracy, we współczesnych miastach są duże. To i dobrze i źle.

Źle, bo powiększają zmęczenie robotą. Mój dojazd, z dojściem do przystanków, czasem prześiadek i wyczekiwań trwa 3 godziny dziennie w obie strony — czyli że dzień właściwej niewoli z 7 i pół godzin zwiększa się do 10 i pół.

Dobrze, bo mieszkanie w „dzielnicy fabrycznej”, to... Muszę Wam tę swoją „dzielnicę fabryczną” opisać, żebyście zrozumieli, na czym polega przyjemność nie mieszkania w niej.

Jest to południe Londynu — Croydon i okolice. Kraina, która będzie mnie przez długie lata straszyla w snach. Krainawidmo. Nieziemsko inna od tego wszystkiego co jest w mojej dzielnicy mieszkalnej. Bezdrzewna. Martwa. Czarno-szara. Żelazno-kamienna. Zmоровate sylwetki i kształty: pękato-gigantyczne okrągłaki zbiorników gazowni, długie lufy kominów z których wiecznie sący się dym jak szaro-żółty uśmiech z ust beznamiętnego cynika. Czarne góry węgla i koksu, podkreślone smutną jednostajnością szyn lśniących martwym blaskiem niewiadomych kierunków. Ciężar zmory sennej. Doprowadzający do mdłości smród siarkowodorowy. Szare, niskie, długie domy „robotnicze”, patrzące w tę nieżywą „przestrzeń życiową” oknami bez firanek, bez blasku, bez głosu.

Z chwilą gdy pociąg wjeżdża w tę krainę, jestem na właściwym obszarze niewoli. Czuję to całym ciałem, wszystkimi zmysłami. Niewola wita mnie trującym zaduchem dymów, głuchym łoskotem maszyn, jękiem gwizdów, smutkiem szarych murów i bezuśmiechem twarzy ludzkich.

Za chwilę przekroczę próg swojej własnej celi roboczej. Ogarnia mnie indywidualny, trujący zaduch, mojej fabryki: duszący zapach acetyleny. Przy wejściu zegar, tablice z kartami roboczymi. Wyciągam rękę po kartę i za chwilę słyszę trzask zatrząśniętych kajdanek.

Przykułem się do maszyny, łańcuchem czasu, na 7 i pół godziny.

Rozkują mnie tylko na 10 minut, w ciągu których będę się musiał wysuszać, umyć ręce, połknąć filiżankę herbaty i ile zdaje kęsów chleba z szynką.

Niewolnik w ustroju staro-niewolniczym pracował przykuty łańcuchem do prymitywnej maszyny — do koła, dźwigni, taczki, płóćki, młota, topora, wiosła. Wraz ze zmianą maszyn zmieniły się i łańcuchy. Stały się bardziej skomplikowane i subtelniejsze, ale fizycznie bez porównania mniej dokuczliwe.

Z chwilą gdy stanął przy maszynie, straciłem własną wolę, nawet w pewnym sensie władzę nad własnym ciałem. Objął ją łańcuch, złożony z sekundnika, automatyzmu maszyny, normy, z majstra, wreszcie i ze mnie samego.

Łańcuch

W jednych fabrykach wyznacznikiem automatycznym szybkości — i wysiłku — jest taśma fordowska, w innych inne jakieś sztuczki techniczne. W mojej — automatycznie wahadłowy ruch „moldy”, dwudzielnej matrycy, która, rozwierając się i zwierając, wytwarza produkt i zmusza mnie, bym w momencie rozwarcia, otworzył drzwiczki, powodując automatyczne zwarcie „moldy” i szybko wykończył produkt kilku błyskawicznymi ruchami dokładnie w tym samym czasie, kiedy „molda” w zamkniętym piecu przetapia materiał, formuje nowy produkt w gorącym i płynnym materiale, chłodzi go i rozwiera się, żądając ode mnie ponownego błyskawicznego otwarcia drzwiczek, wyrwania produktu i tak dalej.

Cała operacja w piecu trwa od 10 do 60 sekund, zależnie od wielkości produktu, na który dana maszyna jest nastawiana. Przez ten czas żywy dodatek do maszyny — niewolnik — ma zrobić kilkanaście ruchów, dających produktowi wykończenie: obciąć nożem albo nożycami ogonek, rodzaj pępownicy, pozostałej od głównej masy surowca; opalić nad lampką tzw. „flasz”, jakieś kłaczki, porastające produkt w rezultacie niedokładnej „moldy” lub przegrzania; niekiedy wykapać produkt w jakimś rozczynnie; albo poddać jeszcze innym różnym zabiegom w zależności od potrzeby. W tym czasie maszyna stuknie, stęknie lub strzeli — znak że nowy produkt wychodzi z pieca nadziany na wewnętrzną ruchomą część „moldy”.

Towarzyszy temu nieodłączna iskierka niepokoju, przebiegająca moje zwoje nerwowe — jakiś krótkotrwały skurcz serca i szybki ruch ręki w kierunku maszyny, trzask otwieranych drzwiczek, gorąco na dłoni i nowa operacja.

Im ruchy są bardziej odruchowe, bardziej bezwiedne, instynktowo-zwierzęce, tym lepiej dla ciebie i operacji. Ideałem jest absolutne zespolenie się z maszyną, bezbłędne rozumienie jej głosów — jęku, stuku, gwizdów, wszelkiego rodzaju westchnień, a przede wszystkim poddanie się jej rytmowi sekundowemu, nastrojenia swej — że tak powiem — duszy na rytmikę maszyny. Muzyka, ton — tutaj dopiero poznałem tę prawdę — jest najistotniejszym elementem zespolenia, najwymowniejszym — bo najkrótszym — środkiem ekspresji w przyrodzie.

Tego rodzaju rytmiczny taniec pajaca uczy mnie też rozumienia jednej z największych tajemnic — czasu. Uczy poznawać względność wartości takiej miary jak sekunda: w życiu wolnym sekunda jest niczym — banalnym symbolem, liczmanem, zerem; tutaj — wszystkim — nieskończonością, władcą i panem, twórcą, rozkazem, głosem wewnętrznym, duszą — ma cechy boskie.

Jeśli Bóg da wyrwać się z niewoli fabrycznej, zostanie mi jedna zdobycz: poczucie wartości Sekundy. Tak jak z łągru

wyniosłem na zawsze szacunek dla chleba i strach przed głodem. A to nie jest mało: strach przed głodem.

Czasem maszyna jest nastawiona tak (gdy jednocześnie produkt wymaga wiele koło siebie skakania przy wykończeniu), że nie mam czasu nawet nosa wytrzeć, muszę to zrobić na trzy tempa: wyjęcie chusteczki — otwarcie drzwiczek maszyny — wytarcie nosa — manipulacja przy maszynie i zamknięcie drzwiczek — schowanie chusteczki. Z wszelkimi innymi funkcjami fizjologicznymi czekam do przerwy albo do końca roboty.

Wielki elektryczny zegar-sekundnik, zawieszony u sufitu, czarną wskazówką skacze po czerwonych cyfrach, miarowo, jednostajnie, ale niespokojnie — jak szczur po klatce. Niepokój wskazówki-szczura, niepokój skryty w formach jednostajności, hamowany rytmem, ograniczony długością łańcucha — jest w całej fabryce. Jest w ruchach ludzkich, w spojrzeniach oczu przygasłych ze zmęczenia ale rozblyskujących chwilami — gniewem, strachem lub zwykłym zdenerwowaniem. Niepokój jest w tupocie nóg kobiet za przegrodą szklaną biegnących na gwizdek — jęklivy ton syren alarmowych — na herbatę lub z herbaty.

Niepokój jest w milczeniu, w braku śmiechu, piosenki, ludzka niemota i mowa maszyn, maszyn które rządzą ludźmi — to jakby krajobraz z innej planety. Nastrój dziwności, niesamowitości.

Oczywiście — to tylko wrażenia pierwszego dnia. Potem już nie widzisz. Dziwność przestaje być egzotyką. Nawyk — jaka to potęga! Ale jest jeszcze większa potęga, której nawet nawyk nie zwycięży — to nuda.

Nuda to siostra śmierci — siostra groźniejsza, starsza, wyrafinowana. Śmierć zabija, nuda torturuje, jak sledowateli NKWD, jak groza.

Skąd się bierze nuda?

Jest jedną z głównych cech niewoli. Nie nudzę się nigdy w swoim obszarze wolności — na wolności mam albo zajęcie, które miłuję, albo przyjaciół których kocham, albo, prawda, żonę którą uwielbiam, albo syna, którego ubóstwiam, albo wreszcie najdoskonalszego towarzysza swej wolności — siebie samego, swoje myśli, nadzieje, wzloty, a choćby i upadki.

Nuda jest tylko w niewoli. Nuda jest we wszelkim przymusie, w nienawiści, która już tak zmęczyła, że przekształcała się tylko w niechęć. Nuda nie ma w miłości i w nienawiści młodej, żywej — która zresztą jest niczym innym tylko gorącym śladem po minionej miłości.

Nuda równa się otwarciu drzwiczek trzy razy na minutę, 180 razy na godzinę, 1.300 razy w ciągu niewoli dziennej, 7.000 razy w ciągu tygodnia. Tyleż zamknąć. Tyleż machnąć nożem odcinającym ogonek „pępownicy”, tyleż machnąć nad lampką spirytusową albo zanurzeń w roztworze czegoś tam.

4 albo 5 razy po 1.300 identycznych ruchów — dzienne dawki nudy.

Chaplin biegający z kluczem francuskim po ulicy — nie da nigdy pojęcia o męce nudy, temu, kto nie przerobi 5 razy po 1.300 identycznych ruchów w ciągu 6 dni roboczego tygodnia (z „owertajmem”). Szaleństwo to wybawienie, to akt łaski i dobroczynności wobec nudy przytomnej, świadomej.

Nuda jest straszniejsza niż zmęczenie fizyczne. Nuda jest zmęczeniem mózgu, skazanego na bezmyślność.

Nadzór

Do dozorców żywych należą: majster, jego zastępca, „normirowszczyk”, jego zastępca i dyrektor-właściciel, który co dzień przeprowadza krótką inspekcję.

Mój majster nie jest specjalnie przykry — pełni raczej rolę mechanika, przeprowadzającego drobne naprawy maszyny w razie jakiejś usterki, niż poganiacza. Jego zastępca usiłuje być poganiaczem: zapisuje ilość wyprodukowanych skrzynek, lubi stanąć i obserwować, lubi się wygłupić groźnym krzykiem (ale ja też lubię osadzić ćwoka).

Bardziej przykry jest „normirowszczyk”, który kontroluje wydajność — moją i maszyny, operując naukowymi danymi wyzysku czy nacisku. Od niego zależy ilość moich ruchów na minutę, to on nastawia automatyczny zegar maszyny, regulujący szybkość trwania operacji w piecu, przepustowość maszyny. „Normirowszczyk” jest ponury, milczący, młody jeszcze, chętnie udaje „groźniaka”. Jego zastępca za to jest uprzejmy, miły, woli maskę nauczyciela, instruktora, nie dozorcę.

Właściciel przychodzi, mówi każdemu z osobna „dzień dobry”, ogląda jeden, drugi trzeci, produkt. Wyniki inspekcji omawia potem z majstrem albo z „normirowszczykiem”. Do rozmowy z niewolnikiem — poza tym „dzień dobry” — w zasadzie nie poniża się. Przypuszczam że świadomie: wychodzi z założenia, że między nim, człowiekiem wolnym i właścicielem kilkuset niewolników, a niewolnikiem powinna i musi istnieć przepaść: dół mojej niewoli i góra jego wolności, ufortyfikowana jeszcze jego bogactwem.

Problem antagonizmów klasowych

Niewola, i tylko niewola, rodzi uczucia nienawiści, a nienawiść rodzi wszelki antagonizm.

Początek wojnom domowym i procesom rewolucyjnym dały bunt niewolników. Ale dzisiaj to już wielka rzadkość.

W krajach umiarkowanego niewolnictwa czyli tzw. wolnych, demokratycznych, bunt niewolników należą do historii.

Antagonizm główny, to robotnicy razem z dozorcami i innymi naganiaczami, a właściciel, kapitalista, jak mówią komuniści. Antagonizm ten widać od razu — nie trzeba być na to ani detektywem ani komunistą — w niechętnych spojrzeniach robotników, gdy przechodzi pan Chapman i w jego rezerwie, gdy zwraca się do robotników ze swoim „dzień dobry”. A w dalszym planie — absolutnym braku życia jakkolwiek i on i my — w ogromnej większości — jesteśmy Polakami, tułaczami, antykomunistami itp. Wiele rzeczy nas łączy, jedna tylko dzieli, i ta jedna przeważa.

W naszym wypadku antagonizm klasowy ma nawet swoje klasyczne wczesnokapitalistyczne cechy. Np. p. Chapman nie nawidzi związków zawodowych. Każdy kto się ujawnił jako działacz jakiegokolwiek związku dostawał — jak mówią mi robotnicy pracujący tu od dawna — wymówienie bez motywacji, mimo że fabryka stale potrzebuje robotników. Wymówienie dostał też jeden z robotników — i to z miejsca — za to że podniósł głos i przepędził od maszyny jednego z korpusu dozorców, Anglika. Uznano to widocznie za tak samo groźny jak działalność związkowa, objaw czynnego antagonizmu klasowego.

Sam właściciel to człowiek spokojny i uczciwy, nie wymyśla, nie podnosi głosu, płaci stawki, do których się zobowiązał, nikogo nigdy nie zarwał i nie zarwie na pewno. Jest podobny — jeśli są Czytelnicy, którzy pamiętają moje kawałki sprzed lat dziesięciu w „Kulturze” o jakimś p. Ezechieli, kamieniczniku londyńskim, — do tegoż właśnie Ezechiela, nawet fizycznie; szary spokojniak.

Podkreślam to dlatego, by uwydatnić fakt że antagonizm klasowy nie rodzi się z nienawiści indywidualnej człowieka do człowieka, że nie wywołują go jaskrawe wypadki poniżenia niewolnika przez pana, albo jego indywidualna nieuczciwość. Chodzi tu o zjawisko, wynikające wyłącznie z samego charakteru niewoli (umiarkowanej ale niewoli), z różnicy napięć między faktem, że pan Chapman jest wolny a jego robotnicy są jego niewolnikami przez 44 godziny na tydzień.

Antagonizm przejawia się — poza okazywaniem niechęci w spojrzeniach i ruchach (albo w unizonym, pochlebnym stosunku — co jest tą samą niechęcią tylko z odwrotnym znakiem) — także w czymś przypominającym sabotaż. Szybko podkreślam — „przypominającym” — żeby nie narazić się na zarzut, że skarżę na kolegów. Wyraża się ten „sabotaż” tylko w braku starania o to, żeby zrobić jak najlepiej, jak najwięcej.

— Panie za prędko pan szura tymi drzwiczkami, Chapman ma dosyć, nie wysilaj się pan...

— Chapman nie zbankrutuje, gwizdź pan na robotę...

— Że będą braki? Nie szkodzi. Majster widział? Widział. Nie przejmuj się? Nie. To czym pan się przejmujesz?

Tego rodzaju pouczenia, przestrogi otrzymuję często, mimo że chcę tylko — bo taką mam głupią naturę człowieka wolnego — robotę zrobić najlepiej, jak dla siebie.

Nie tylko robotnicy, ale i majstrowie nie przejmują się za bardzo. Maszyna „flaszuje” — niech „flaszuje” („flaszowanie” pochodzi z różnych niedokładności, które można usunąć, ale to znaczy wysiłek dla majstra), brudzi — niech brudzi. Majster zawsze jest wyraźnie zły, kiedy przychodzi skarżyć się na jakąś niedokładność, ba to dla niego bieżanina od maszyny do maszyny, a maszyn jest 40. Oczywiście, że w wypadku poważnego niedomagania, majster natychmiast naprawia. Chodzi tylko o mniejsze niedociągnięcia, które „mogą uść w toku”, ale które, mimo wszystko, obniżają wartość produktu.

Występują i inne antagonizmy: między robotnikami dawnymi a świeżo przybyłymi; między młodymi i starymi; między zdegradowaną inteligencją a robotnikami prawdziwymi; między majstrami i całą grupą poganiaczy a robotnikami; nie ma natomiast żadnych antagonizmów narodowościowych (zresztą nie wiem — może Anglicy czy Węgrzy (jest na mojej zmianie trzech młodych Węgrów z powstania) nie znoszą Polaków jako rodaków właściciela, ale gdyby tak, to byłaby to tylko pochodna antagonizmu klasowego, nie narodowościowego). Pierwszego dnia mojej roboty mój sąsiad, pracujący na maszynie naprzeciw mnie, młody Węgier z powstania, podbiegał od swojej maszyny do mojej — nie proszony, z własnej inicjatywy — i szybkimi ruchami naprawiał jakieś zacięcia mojej maszyny, albo uczył mnie roboty — bez słów, przykładowo.

Pytanie: dlaczego majster lub jego pomocnik tego nie robi, nie stoi przy nowicjuszu, nie uczy?

Myślę że z wielu powodów. Po pierwsze — nie chce mu się; po drugie nie jest pedagogiem, nie ma tej inteligencji, by się wczuć w potrzeby i stany duchowe tego drugiego człowieka, nowicjusza; po trzecie uważa że prędzej czy później ten nowicjusz sam wpadnie na różne pomysły, które mu ułatwią pracę, a po czwarte — może naprawdę nie chce, żeby robotnik za prędko „był mądry”. Kolega, Polak, którego kilkakrotnie prosiłem o pomoc, powiedział:

— Tylko my możemy sobie pomóc i nauczyć się nawzajem, majster g... pana nauczy, majster się boi, żeby pan nie zabrał jego miejsca.

Nie przypuszczam, żeby tak było: szansa zajęcia miejsca majstra jest minimalna — majstrów jest trzech i trzech pomocników, a robotników około dwustu i od lat ten sam zespół majstrów trwa bez zmian. Przytaczam te słowa tylko dlatego, że świadczą one o niewątpliwym antagonizmie między majstrem i robotnikiem.

Istnieje też przekonanie, że robotnicy, pracujący tu z dawna, są uprzywilejowani i dostają od majstrów lepsze maszyny i lepsze prace, które pozwalają im wyrobić lepszy „bonus”. Ale różnice w bonusie są w zasadzie minimalne. Maksimum

które można wyrobić wynosi 19 szylingów. Ja już w drugim tygodniu pracy wyrobiłem 16, zdziwiłem się że aż tak dużo.

Niektóre antagonizmy między ludźmi wynikają po prostu z urojeń, z infantylizmu, z atawizmu, który w człowieku utrzymuje pokłady agresywności, naturalnej w okresie jego dzikości.

Kultura obcowania

Ameryki nie odkryję, jeśli powiem, że nic tak nie obrzydza życia jak chamstwo, agresywność, kłótniowość, szorstkość, nieuprzejmość. Angielskie „keep smiling” jest genialnym wynalazkiem. Dlaczego mimo to ludzie nie umieją korzystać z tego wynalazku — to pozostanie tajemnicą natury ludzkiej, tajemnicą atawizmu, wciąż żywą tradycją epoki kamienia łupanego na głowie bliźniego swego.

Tak samo jak tajemnicą jest to, że np. właściciel naszej fabryki — Polak — nie pozwala sobie na jakieś ludzkie traktowanie robotnika — Polaka — na rozmowę z nim prywatną o jego — powiedzmy — dzieciach, o jego prywatnym życiu.

Mój majster, choć inteligent jak i ja, jest mrukiwy w stosunku do mnie, szorstki, niechętny do rozmowy prywatnej (nie mówię o głównym majstrze, właściwie dyrektorze fabryki, który jest kulturalny i dlatego uprzejmy i skłonny do rozmów prywatnych).

Zastępca mego majstra jest ćwokiem zdecydowanym. Rozkazy wydaje mi najczęściej gestami, formę „pan” usiłuje zastąpić przez „niech-no zrobi”.

Nie chodzi mi o objawy chamstwa indywidualnego, ani o wybuchowość, wynikającą z temperamentu. Śledzę tylko te wszystkie pochodne i współrzędne stosunków niewolniczych, skrytych za murami współczesnej fabryki. Osobiście taki pan Chapman, mój właściciel, jest może najpocziwszym i najbardziej towarzyskim człowiekiem — w „towarzystwie” — ale w fabryce ze swoimi robotnikami musi być — tak przynajmniej myśli — albo coś w nim i za niego tak myśli — panem. Tak samo jak i zdecydowanie chamowaty pomocnik mego majstra. To nie jest kwestia osobistej kultury, osobistego temperamentu, pocziwości i osobistej dobrej woli. Znana to rzecz, że w systemie niewolnictwa każdy wyższy szczebel drabiny podnosi o jedno oczko skłonności tyrańskie. A tyrania musi iść w parze z chamstwem, dyktatura z sadyzmem. Pracodawcy angielscy, przede wszystkim kierownicy firm starych, mających doświadczenie w postępowaniu z niewolnikami, zupełnie inaczej podchodzą do tych spraw. Firmy angielskie mają swoich „social” czy „welfare workers”, którym specjalnie płacą za to, by czuwać nad dobrym samopoczuciem robotników. W takich firmach istnieją kluby, imprezy towarzyskie, rozrywki, wakacje ubezpieczenia na starość, prowadzi się rozmowy z robotnikami, gdy się widzi że są niezadowoleni, smutni, zdenerwowani.

Poczucie niewolnictwa niemal się zatracza, przywiązanie do firmy wzrasta, niewola przechodzi w patriarchat lub — w wolny związek pracodawców i pracowników — spółdzielnię (w której wyższy nowoprzybyłych, nie mających prawa należenia do spółdzielni, jest wyjątkowo zresztą ostry. Pracowałem w takiej spółdzielni).

Problem wyzysku i dorobku

Wyzysk jest tym mniejszy im firma jest bardziej zagospodarowana, starsza, im dawniej swoją erę dorobkiewiczowską, erę prywatnego imperializmu, ma za sobą.

Polskie firmy w Anglii — czy to będzie dom czynszowy, czy sklepik kolonialny, czy fabryczka — na zasadzie tego prawa uprawiają większy wyzysk niż analogiczne firmy tubylcze — starsze i zagospodarowane. Nowi właściciele i przez to, że szybko chcą wycofać wkłady, i przez to, że nie mają kultury kupieckiej i przez to, że nie stać ich na wielkoduszność, a gna ich żądza rozrostu rolują ceny pracy w dół, tym bardziej że — konkurując z firmami zasiedzającymi — muszą też często walczyć obniżką cen swego produktu.

W mojej fabryce przeciętna zarobku tygodniowego — bez nadgodzin sobotnich i niedzielnych — wynosi ok. 9 funtów, gdy za tę samą, czy podobną pracę, w fabrykach angielskich można dostać 11-12 funtów.

Robotnik jest przeważnie polski. I to stwarza większe możliwości wyzysku. Robotnicy zdają sobie sprawę z tego że są wyzyskiwani. Pytałem, dlaczego pozwalają na to, odpowiadają:

— Jest się między swymi.

Nie wszyscy znają język angielski na tyle, by ryzykować przykrości w fabryce angielskiej. Większość robotników mojej fabryki to ludzie starsi, słabi, sterani wojną i łagrami, nie wierzą w siebie i boją się, że do fabryk angielskich nie będą przyjęci; dużą część stanowią inteligenci, nienawykli do pracy fizycznej, absolutnie niewykwalifikowani jako robotnicy, boją się śmieszności wynikającej ze swojej nieumiejętności, więc wolą być tutaj nawet za niższą cenę...

I tak jest wszędzie w polskich firmach, nawet jeśli ich właściciele są czynnymi, że tak powiem, Polakami, społecznikami, filantropami.

Za 9 funtów trudno się z rodziną utrzymać. Ale w naszym środowisku pracują i matki rodzin, bo pracy w Anglii jest ile chcesz — oczywiście tej fizycznej i tej urzędniczej gorzej płatnej. Jeśli się pracuje w sobotę, zarabia się w mojej fabryce już do 12 funtów, a z niedzielą — do 15, tylko że wtedy niewola jest całkowita, totalna. Te możliwości pracy ponadgodzinnej, powiększającej w sobotę półtora raza a w niedzielę dwukrotnie stawki zarobku, wpływają też na to że

robotnicy tu pozostają, mimo że mogliby piętnaście funtów zarobić i gdzie indziej z mniejszym wysiłkiem i nakładem swego czasu. Siła bezwładu i bezwład nieśmiałości, nieumiejętności poruszania się po szerokim a obcym świecie — to wielkie moce napędzające zyski tym, którzy zdołali ten bezwład przezwyciężyć w sobie. Trzeba sprawiedliwie przyznać: ostatecznie należy się od życia jakaś dywidenda za śmiałość, odwagę ryzyka, zdolność przewidywania.

Mój właściciel właściwie przewidział, że plastik ma ogromną przyszłość i wygrał.

Plastyk ma tę przewagę nad metalem i szkłem, że może być równie trwały albo i trwalszy, a jest lżejszy, nierdzewny, tańszy, tęczowo kolorowy, odpada malowanie produktów, które przy wyrobach metalowych jest osobną gałęzią produkcji, bo plastik już jako idący do maszyny — pieca jest zabarwiony na kolor, w jakim ma być produkt.

Do produkcji np. wiadra cynowego trzeba: wykopać rudę cynową, przetopić ją w hucie, zrobić z niej blachę w walcowni, blachę wygiąć, zanitować, dołączyć pałąk i otrzymać produkt ważący np. kilogram. A tak samo dobre, ale lżejsze i eleganckie — np. czerwone, wiadro z plastyku — wymaga wyprodukowania kryształów danego gatunku plastyku — jako produktu pobocznego przy przeróbce ropy naftowej i posłanie tych kryształków do naszej fabryki, która w niedużej maszynie-piecu przetopi te kryształki na tanie wiaderko, które mogą zrobić ja niewykwalifikowany ciemniak — a wykończy je dziewczynka w wykończalni, pracująca za funta na dzień. Eliminuje się pracę hutnika, walcownika, tokarza — robotników wykwalifikowanych, pracujących na wielkich i ciężkich maszynach.

Oplaca się umiejętność wykorzystania koniunktury i zdobyczy techniki oraz mody. Szkoda że ta umiejętność obraca się na korzyść tylko jednego Polaka, nie całego zespołu.

O takich wspólnotach narodowych marzył kiedyś Żeromski. W jego marzeniach wyzysk, krzywda, gwałt „brata nad bratem” miały być wygnane ze świata. Ale zdaje się że prędzej skończy się świat niż niewola, wyzysk, krzywda i gwałt. Te rzeczy tkwią w naturze świata. Cała sztuka żeby się nie dać wziąć pod spód, pod but życia i losu.

Janusz KOWALEWSKI

Uhuru (x)

1. Budzenie się ludów Afryki

Większość polityków i mężów stanu wyraziło już swoją opinię, że rok 1960 będzie rokiem, w którym zadecydują się losy Afryki i jej ustosunkowania się do krajów Zachodu. Około 230 milionów ludzi, rozrzuconych na 12 milionach mil kw., różniących się obyczajami i kulturą, czynią obecnie wysiłki, aby się zespolić i stworzyć nowe, gigantyczne państwo: Stany Zjednoczone Afryki.

Pierwsza Konferencja Ludów Afryki odbyła się w roku 1958 w Accra, pod przewodnictwem polityka kenijskiego Toma Mboya, a przy poparciu i protektoracie Dr. Nkruma. O ile czytelnicy pamiętają, to na otwarciu konferencji był obecny wiceprezydent Nixon.

Z końcem stycznia 1960, w Tunisie, obradowała przez tydzień, Konferencja Ludów Afryki, w której wzięło udział 182 delegatów z 33 krajów afrykańskich.

W czasie konferencji delegaci stwierdzili z zadowoleniem postęp w osiąganiu ostatecznego celu: „Niepodległości”, lecz podkreślono, że w tej mierze jeszcze jest wiele do dokonania.

Sprawa Algieru była najważniejszym tematem konferencji, a wieloosobowa delegacja wolnego rządu Algieru, była darzona największą sympatią.

Powołano do życia „Afrykańską Brygadę Ochotniczą”, która ma walczyć w Algierze, a której 500 ochotników ćwiczy się już obecnie w Ghanie.

Konferencja powzięła jednomyślnie cały szereg uchwał m.in. żądając rozwiązania Federacji Centralnej Afryki, przyznania natychmiastowej niepodległości Kenii oraz zwolnienia b. przewodcy Mau Mau, Jomo Kenyatta, w Nyassaland zwolnienia przewodców afrykańskich osadzonych tam w obozach odosobnienia, wprowadzenia w Kenii nowej konstytucji, gwarantującej Afrykanom powszechne prawo wyborcze, przywrócenia Afrykanom w Kenii, praw do ziemi „od lat będącej bezprawnie w posiadaniu osadników europejskich, bez zgody Afrykanów, którzy z tego powodu cierpią biedę i głód”, żądano również przyznania niepodległości dla Zanzibaru, Tanganyiki, kolonii portugalskich i Somalii.

14 czerwca br. w Addis Ababie, cesarz Haile Selassie inaugurował konferencję Niepodległych Państw Afrykańskich,

(x) (Co w narzeczu Swahili oznacza Niepodległość).

przy udziale 250 delegatów, w tym ministrów spraw zagranicznych Ghany, Maroka, Tunisu, Libii, Egiptu, Kamerunu oraz delegatów organizacji niepodległościowych afrykańskich, jak Kenya African National Union, Kenya African Peoples Party oraz Tanganyika African National Union.

Konferencja miała za zadanie ustalić zasady jak najszybszego osiągnięcia niepodległości przez kraje znajdujące się jeszcze „pod kapitalistycznymi rządami”.

Sprawami omawianymi na konferencji były: Algier oraz uznanie Narodowego Rządu Algierii przez państwa afrykańskie, sprawa Apartheid w Unii Południowej Afrykańskiej, akcja przeciwko próbom bomb atomowych na Saharze, oraz usunięcie z Afryki baz wojskowych państw imperialistycznych.

W czasie obrad Juliusz Nyerere, desygnowany premier Tanganyiki, postawił wniosek o stworzenie Federacji Kenii, Tanganyiki, Ugandy i Zanzibaru, co pokrywałoby się z obecną Brytyjską Afryką Wschodnią.

Wypadki obecnie toczą się w tak zawrotnym tempie, że wiele może zająć i nastąpić, zanim artykuł ten dostanie się do rąk czytelników. Nieomal każdy miesiąc przynosi nam nowe zmiany.

Obecnie, gdy większość krajów afrykańskich zbliża się do upragnionej niepodległości, przewidujący pisarze i intelektualiści afrykańscy, zawczasu pragną ustalić cechy nowych nacjonalizmów i chcą przekonać o tym tak swych ziomków, jak i szerokie masy poza granicami Afryki.

Jako pierwszy krok w tym kierunku należy uznać kreowanie, na wzór Ghany i Nigerii, afrykańskich strojów narodowych, potrzebnych politykom do ich wystąpień publicznych. Są to różnego rodzaju nakrycia głowy, lub też okrycia ze skór małpich lub innych dzikich zwierząt. I tu trzeba podkreślić zachodzący paradoks: — marzeniem każdego Afrykańczyka z buszu, który wy dostał się poza swój szczerp czy rezerwat, jest zdobycie ubrania na modłę europejską. Mogą to być stare spodnie i podarta koszula, niemniej Afrykanin jest dumny z tego i z pogardą patrzy na innych swych ziomków, którzy jeszcze chodzą w starych kocach czy płachtach namiotowych. A tymczasem jego przewodcy polityczni, na zebraniach nawołują do powrotu, do stroju przodków, sami jednak bardzo chętnie występując w dobrze, na modłę europejską skrojonych garniturach.

Pisarze afrykańscy w Południowej i Zachodniej Afryce — we Wschodniej Afryce jest ich bardzo mało — poświęcają wiele miejsca w swych przemówieniach i na łamach prasy, zagadnieniu ustalenia cech afrykańskiej osobowości (*personality*), oraz afrykańskiej kultury.

M. Ahufusi, delegat z Afryki Zachodniej, na odbytym w zeszłym roku w Rzymie II Kongresie Pisarzy i Artystów afrykańskich, w swoim referacie na temat „Zadania i odpowiedzialność historyków afrykańskich”, wyraźnie oświadczył, że

„dziś najważniejszym naszym zadaniem jest zapomnieć o dzielących nas różnicach i sporach. Musimy różnice te poznać i usunąć jak najprędzej, stosując najbardziej pokojowe metody. Nie zapominajmy o tym, że jesteśmy Afrykanami, a wszystkie zapędy przekształcenia nas we Francuzów, Anglików czy też Portugalczyków muszą być zniweczone”.

Europejscy obserwatorzy Kongresu podkreślali, że mimo iż dyskusja na główny temat kongresu — „Jedność Kultury Afrykańskiej” — poruszała się głównie koło zagadnienia sztuki, religii i muzyki, prawie zawsze kończyła się na omawianiu spraw politycznych, gdyż tak mało wie się jeszcze o specyficznej kulturze afrykańskiej.

W ciągu minionych 150 lat, szereg narodów rozwinął swe specyficzne cechy narodowościowe. Każdy z tych krajów posiada odrębną kulturę, którą łączy dany naród w samodzielną narodowość. Daje się to zaobserwować w odrębnym języku, zwyczajach, religii, literaturze czy muzyce.

Nie można tego powiedzieć o krajach Afryki.

Dr James Aggrey, jeden ze znanych działaczy afrykańskich Zachodniej Afryki, który zmarł 33 lat temu w Ameryce, tak swego czasu marzył o rozwoju kultury w Afryce: „Pragnąłbym aby Afryka została ucywilizowana, a nie urobiona na modłę Zachodu”.

Faktem jest, że powstaje nowa kultura afrykańska, faktu tego nie można przemilczać ani też lekceważyć.

Przemiana ta winna być śledzona na Zachodzie z zainteresowaniem. Afryka, w przeciwieństwie do Indii i większości krajów Środkowego i Dalekiego Wschodu, dąży do zastąpienia swych starodawnych zwyczajów naśladownictwem kultury Zachodu. Afrykańscy intelektualiści z ufnością patrzą w przyszłość. Większość z nich pisze po angielsku lub po francusku, wzorując się na najlepszych utworach Zachodu i nie używając w swych publikacjach prawie zupełnie regionalnych narzeczy.

Większość pisarzy afrykańskich przyznaje się, że dopiero teraz odkrywają prawdziwą Afrykę.

Ezekiel Mphahlele, współpracownik wydawnictwa DRUM, publikowanego dla Afrykanów w Południowej Afryce, pisze: — „Prawdziwą Afrykę znaleźć można nie w sentymentalnych filmach Los Angeles, nie w luksusowych klubach Londynu, nie w salonach mody i gry w Paryżu i nie w fantastycznych powieściach Rider Haggarda lub Johna Buchanana. Istnieje ona w naszych ciemnych i obskurnych przedmieściach miast afrykańskich, w naszych tęsknotach, naszych zawodach, nadszperkach, miłości i nienawiści”.

Afrykański ruch nacjonalistyczny ma możnych protektorów, a za najmoźniejszego i najbardziej niebezpiecznego należy uznać Rosję Sowiecką, która stosuje znane nam dobrze metody: pożyczki handlowe, udzielanie stypendiów na studia dla młodzieży, która po przyjeździe do centrów europejskich, jak

Paryż czy Londyn, raptem znika, aby ukazać się na zjazdach młodzieży w Polsce, Czechach, lecz najczęściej w Moskwie.

Wśród znawców panuje opinia, jak na razie niezbita, że ośrodkiem propagandy sowieckiej w centralnej Afryce, jest poselstwo sowieckie w Addis Ababie, które posiada sztab liczący kilkadziesiąt osób. Drugim centrum jest Chartum.

Wydanie przez Moskwę starannie opracowanego słownika rosyjsko-swahili, którym to narzeczem od biedy można się porozumieć w całej Afryce na południe od Sahary, jest też dowodem zainteresowań Rosji.

Faktem niezbitym i udowodnionym jest, że b. przywódca rewolty Mau-Mau w Kenii Jomo Kenyatta, był dwukrotnie w Rosji sowieckiej, w latach 1929-30 i w roku 1933. Naszym nieszczerkiem jest to, że większość działaczy afrykańskich, nie zetknęła się z terrorem i perfidią sowiecką. Sam przekonałem się w rozmowach, że uważają oni wszystkie wiadomości o terrorze w krajach satelickich, za wymysł imaginacji zawieszonych kapitalistów, wygnanych z własnego kraju. Nie wielu z nich zdaje sobie sprawę, że przyznawanie wolności i zasad demokratycznych przez kraje Zachodu, to nie oznaka słabości, — tylko wiara w prawdziwą demokrację.

2. Zmiany konstytucyjne w Kenii

Zagadnienie budzenia się narodów afrykańskich i stopniowe uzyskiwanie przez nie upragnionego UHURU jest tak obszernie, że wykracza ono poza ramy niniejszego artykułu. Ograniczę się do naszkicowania obecnej sytuacji politycznej Kenii, której przyszłość zaważy bardzo na losach innych posiadłości Europejskich w Afryce.

Na wstępie kilka danych statystycznych:

Kenia, kolonia i protektorat brytyjski w Afryce wschodniej tak nazwana dopiero od roku 1920, jest jedną z najmłodszych kolonii brytyjskich w Afryce. Oprócz przejściowego pobytu Portugalczyków, w roku 1948 na wybrzeżu Malindi, dopiero w roku 1848 Niemiec Rebman zobaczył górę Kilimandżaro, a Krapt górę Kenia. W roku 1892 Królewskie Tow. Geograficzne wysłało wyprawę w osobach Speke i Burtona, którzy odkryli źródła Nilu.

W roku 1888 została założona Imperial British East Africa Company, z zadaniem rozwoju kraju i ukrócenia handlu niewolnikami. W roku 1895 zaczęto budować kolej z Mombasy do Ugandy i w tym samym roku Kenia i Uganda zostały ogłoszone brytyjskimi protektoratami. Nairobi, stolica Kenii, została założona w roku 1899. Można przyjąć, że w ciągu ostatnich 50 lat nastąpił rozwój ekonomiczny i polityczny Kenii osiągając poziom dzisiejszy.

Obszar Kenii obejmuje 224.960 mil kw., z czego tylko 30% jest osiedlone a reszta stanowi pustkę z powodu braku wody.

Ludność Kenii według danych z roku 1958 wynosiła:

Europejczycy	Hindusi	Arabowie	Inne rasy	Afrykanie	Razem
64.700	165.000	35.500	5.700	6.080.000	6.350.900

W ciągu lat, dzięki wysiłkom rządu i misji — które dały wykształcenie, Europejczyków — którzy dali farmerów i urzędników, oraz Indusów — którzy wprowadzili do Kenii przemysł, handel i rzemiosłnictwo, Afrykanie po mału dzwignęli się na pierwsze szczeble cywilizacji. W porównaniu do ogólnej liczby — jedynie mały procent zdołał uzyskać średnie i wyższe wykształcenie.

Wykształcenie w Kenii jest zorganizowane na zasadach odrębności dla każdej rasy. Istnieją osobne szkoły dla Europejczyków, Indusów i Arabów i Afrykanów. Dopiero szkoły średnie są prowadzone wspólnie.

Dla Europejczyków i Indusów przymusowe nauczanie obejmuje dzieci w wieku 7-15.

Wszystkie szkoły niższe, prowadzone przez rząd, są koedukacyjne. Szkoły średnie istnieją osobno dla chłopców (2) i dziewcząt (2), oraz jest jedna szkoła koedukacyjna.

Zatrzymałem się dłużej przy szkolnictwie, gdyż to jest podstawa nowej Kenii i jej społeczeństwa — opartego na wykształconych obywatelach wszystkich ras.

W ostatnich miesiącach prasa i radio pełne były wiadomości o Kenii.

W Nairobi, 12 stycznia 1960, gubernator Kenii, Sir Patrick Renison ogłosił zakończenie stanu wyjątkowego, wprowadzonego w życie w roku 1952, na skutek rewolty Mau-Mau. W czasie rewolty „terroryści”, jak ich oficjalnie nazywano, zamordowali 1821 lojalnych Afrykanów, 32 Europejczyków oraz 26 Indusów. Mowa tu o ludności cywilnej. Straty wojska i policji wyniosły 1167 zabitych i rannych w tym 988 Afrykanów. W czasie akcji zginęło 10.534 terrorystów a ujęto z bronią w ręku 2.664. Do zwalczania rewolty sprowadzono 7 pełnych batalionów brytyjskich oraz użyto 3 lokalne bataliony Kings African Rifles — łącznie około 12.000 żołnierzy.

W styczniu br. w Londynie obradowała konferencja, zadaniem której było przedyskutowanie zmian konstytucyjnych, jakie mają być wprowadzone w Kenii na żądanie posłów-Afrykanów.

Początkowo żądania posłów-Afrykanów były bardzo wygórowane. Żądali oni: powszechnego prawa wyborczego, zupełnej niepodległości Kenii w roku 1961 z zastrzeżeniem praw mniejszości dla „ras napływowych”, jak się obecnie nazywa Europejczyków i Indusów.

Konferencja ta, po 5 tygodniowych obradach, nie jednomyślnie — gdyż z wyjątkiem United Party, reprezentującej interesy Europejczyków w Kenii — zgodziła się na zmiany zaproponowane przez ministra kolonii.

Nowa konstytucja wprowadza zasadnicze zmiany w strukturze parlamentu i rządu kenijskiego i zakańcza długoletnią predominację Europejczyków na rzecz Afrykanów.

Przewiduje ona:

— wprowadzenie nowego powszechnego prawa wyborczego do parlamentu, który ma liczyć 65 posłów z większością afrykańską, oraz radę ministrów w składzie — 4 ministrów-fachowców Europejczyków, oraz 8 ministrów, w tym 4 Afrykanów, 3 Europejczyków i 1 Indus.

Jaka jest reakcja ludności Kenii na wprowadzane zmiany?

New Kenya Group, mająca poparcie rządowe i grupująca w swych szeregach pewną ilość Europejczyków (10%), Indusów oraz lojalnych Afrykanów, zgodziła się na zmiany konstytucyjne, żądając jedynie zagwarantowania praw własności ziemi oraz wykształcenia. Partia ta to zlepek różnych grup społecznych, podtrzymywany przez lokalne administracje rasowe. Przywódcą partii jest M. Blundell b. min. rolnictwa.

16 posłów afrykańskich, zyskując najwięcej na wynikach konferencji, jednomyślnie przyjęło propozycję rządową. Zastrzegli się oni, że obecna konstytucja będzie wprowadzona na okres próbny 4 lat, a następnym krokiem będzie zupełna niepodległość Kenii na zasadach głosowania — *one man — one vote*.

Indusi i Arabowie — przyjęli projekt bez zastrzeżeń.

Jedynie *United Party* — partia polityczna łącząca około 90% Europejczyków, przeważnie rolników, bezkompromisowo odrzuciła nową konstytucję, a przywódca partii płk. Briggs publicznie oświadczył, że wprowadzenie nowej konstytucji będzie ciosem śmiertelnym dla społeczności europejskiej w Kenii.

Mimo tych sprzeciwów, konstytucja wchodzi po mału i stopniowo w życie. Mamy już 4 ministrów-Murzynów: rolnictwa, handlu i przemysłu, pracy i budownictwa. Są oni zrównani w swych prawach i świadczeniach z kolegami angielskimi (pensja ponad £3.000 rocznie, samochód, dom rządowy itp.). Trzeba przyznać, że są to ludzie wykształceni, którzy stawiają zręby pod nową administrację Kenii, która, po wyborach mających się odbyć w początkach przyszłego roku, będzie prawie w 80% w rękach murzyńskich.

A jaka jest reakcja szarego tłumu na ulicy i w rezerwach murzyńskich?

Wszyscy są żądni dobrze płatnych stanowisk, które przyniosłyby im dobrobyt, no i każdy myśli, że z nastaniem UHURU nie trzeba będzie pracować i płacić podatków.

Minister murzyński, który przemawiał na wiecu swej konstytuandy, i głosił, że niepodległość przyjdzie tym prędzej im więcej ludzie będą pracowali — został wygwizdany, a tłum wołał: nie chcemy UHURU.

3. Polacy w Kenii

Ponieważ stare polskie przysłowie mówi, że koszula bliższa ciału niż kapota, należy się zastanowić jakie skutki może przynieść UHURU, w odniesieniu do tutejszej Polonii.

Po zakończeniu w roku 1948 ewakuacji polskich rodzin wojskowych z Afryki wschodniej do Anglii ówczesne władze IRO uzyskały od terytorialnych rządów brytyjskich tak zwane „kwoty polskie”, w ramach których udzielano prawa pobytu uchodźcom polskim.

Kenia przyznała 300 wiz, Tanganyika 250, Północna Rodezja 350, Południowa Rodezja 150.

Uganda, Unia Południowo-Afrykańska i Kongo Belgijskie nie zgodziły się na przyznanie „kwot”, obiecując rozpatrywać każdą prośbę o pobyt indywidualnie.

Według spisów prowadzonych przez polskie Duszpasterstwo katolickie, w dniu 1 stycznia 1960 przybywało w Kenii:

314 osób, w tym 74 rodziny z 77 dziećmi, 36 mężczyzn samotnych oraz 53 kobiety. Poza tym w Kenii zamieszkuje około 60 małżeństw mieszanych (Polki zamężne z Anglikami, Włochami, Grekami), na szczęście nie ma mężów Murzynów.

Według klasyfikacji zatrudnienia:

50 osób ma pracę biurową,

40 osób pracuje technicznie, jako pracownicy na kolei, w warsztatach Min. Pracy, w liniach lotniczych etc.,

15 osób pracuje w hotelarstwie oraz gospodarstwach domowych,

35 osób na kierowniczych stanowiskach w administracji brytyjskiej, w handlu, przemyśle, oraz na własnych wzgl. dzierżawionych farmach.

Na kwotę 35 ostatnio wymienionych osób przypadają: 1 ksiądz, 1 lekarz praktykujący, 2 lek.: wet., 3 właścicieli hoteli, 5 właścicieli sklepów wzgl. własnych pracowni, 7 prowadzi własne wzgl. dzierżawione farmy, 3 osoby pracują w służbie pomiarowej ministerstwa kolonii, 3 osoby w administracji Kenii, 2 osoby w szkolnictwie, 2 jako mechanicy w liniach lotniczych, 1 braciszek-misjonarz, 2 ma własne biura myśliwskich Safari, 1 właściciel bar-expresso, 2 architektów.

Jedynie dwie osoby pozostają pod opieką lokalnego Tow. Dobroczynności.

Większość Polaków posiada paszporty brytyjskie oraz prawo stałego pobytu w Kenii. Nikomu nie grozi wysiedlenie wzgl. cofnięcie prawa pobytu, jednak obecnie wiele osób stara się o wizy wyjazdowe do Stanów Zjednoczonych, Kanady i W. Brytanii.

Przewódca nacjonalistów afrykańskich, Tom Mboya, publicznie oświadczył, że z chwilą nastania niepodległości,

nikt nie będzie zmuszany do wyjazdu, pod warunkiem że ustosunkuje się pozytywnie do nowych rządów.

Mamy na to przykłady w Indiach i Ghanie, gdzie po nastaniu niepodległości, więcej cudzoziemców (nie Brytyjczyków) otrzymało zatrudnienie, niż za czasów „British rule”. Tak samo będzie w Kenii. Kto zechce pracować, naturalnie bez poniżenia i za odpowiednią zapłatą, ten może mieć, jak na razie, spokojne życie.

Polonia tutejsza zorganizowana jest w „Związku Polaków” w Kenii oraz w Kole SPK. Niestety brak Świątlicy wzgl. Domu Polskiego utrudnia w wielkim stopniu podtrzymywanie życia towarzyskiego.

Od roku 1953 wydawany jest przez ks. Wł. Wargowskiego miesięcznik *Polonia*, posiadający 1.000 egz. nakładu. Rozchodzi się on przeważnie po ośrodkach polskich w Afryce i Ameryce.

Warunki finansowe tut. Polonii są dobre, a sprawdzianem tego są samochody i posiadane domy. Samochód posiada prawie każdy, a domów niektórzy mają nawet po dwa. Lecz są i tacy co domów nie mają i też żyją. Wszystko zależy od szczęścia.

W Nairobi co niedzielę, w miejscowym kościele Św. Rodziny, odprawiane jest dla kolonii polskiej nabożeństwo. Raz na rok mamy Bal Polski, no i corocznie obchodzimy Zaduszki.

Od lat będąc przedstawicielem „Kultury” na Afrykę wschodnią, mogę podać że Kenia ma aż 7 abonentów, a ilość prenumerowanych egz. „Dziennika Polskiego” oraz „Wiadomości” nie dochodzi nawet do tej liczby. W porównaniu do ilości domów — stosunek ten jest bardzo nie wesoły. Czytając z zainteresowaniem korespondencje o życiu naszej emigracji w Australii, czy też w krajach amerykańskich, pocieszam się, że jest to objaw powszechny i nie ma na to rady. Zaś artykuł pana Andrzeja Chciuka „Jacy Jesteśmy”, opublikowany w styczniowym numerze „Kultury”, w całości może być zastosowany do naszych warunków.

Kontakty z krajem są dosyć luźne. Powodem tego — wielka odległość i wysokie koszty przelotu z Polski do Kenii. Bilet powrotny Nairobi — Warszawa kosztuje £ 300. Mimo tak wysokich cen przelotu, mieliśmy kilka osób z wizytami u rodzin; po wygaśnięciu wiz goście powrócili jednak do kraju. Kilka osób z tut. kolonii było na urlopiach w Polsce, ale to są raczej sporadyczne wypadki. Tak zwanej drugiej emigracji — nie posiadamy wcale.

Wpływy administracji krajowej są minimalne: Kenia podlega w jurysdykcji konsularnej konsulowi gen. PRL w Londynie, lecz nikt, z tej placówki, nie był w Kenii z wizytą. Obywateli PRL nie mamy wcale.

Najbliższa Polska placówka dyplomatyczna jest w Chartumie, skąd czasem otrzymywane są różne wydawnictwa propagandowe, przeważnie natury handlowej. Był czas, że rynek

tut. był nasycony zapawkami wyrobu polskiego lecz i to ustało. Czasami w prasie ukazują się płatne ogłoszenia o eksporcie polskim, zwłaszcza towarów tekstylnych. Wiem, że różne próby nawiązania stosunków handlowych z polskimi eksporterami rozbiły się o niesolidność w korespondencji, nieodpisywanie na listy i nie dotrzymywanie terminu dostawy. Trzeba przyjąć, że wymiany handlowej nie ma.

Jesteśmy na bocznym torze, lecz i my zaznamy skutków UHURU.

R. KRÓLIKOWSKI

Nairobi, czerwiec 1960.

ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służby Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

Najnowsza historia Polski

Wspomnienia wrześniowe

(LIST Z KRAJU)

...Wzmianka o spotkaniu w Fundacji Kościuszkowskiej z generałem Bortnowskim wywołała u mnie falę wspomnień z 39 roku. Przede wszystkim uprzytomniałem sobie, że w bieżącym roku mija 21 lat od owego pamiętnego września, jak również 21 lat od naszego ostatniego widzenia się. Pamiętam nawet, że miało ono miejsce 5 września w budce droźnika kolejowego przy torze ciechocińskim.

Dwadzieścia lat to w życiu ludzkim bardzo dużo — to jedna trzecia całego życia, mimo to pamiętam te dni nieomal drobniaczko.

Zapewne nie wiesz o tym, że miałem okazję z generałem Bortnowskim zamienić kilka słów w bardzo przedziwnych okolicznościach. Armia którą dowodził, a w której skład wchodziła również i moja jednostka, po otrzymaniu kolejnych ciągów pod Iłowem, zbliżała się do Bzury, aby przeprowadzić się na jej prawy brzeg.

Posuwaliśmy się nocą po drodze zapchanej wszelakim sprzętem wojennym i straszliwie zatłoczonej. Kłębiły się tam olbrzymie pontony saperskie umieszczone na chłopskich wózkach, zaprzęgi artyleryjskie, jaszczke, biedki, taczanki i niesamowita ilość taborów i kolumn amunicyjnych. Wszystko to posługiwało się zwykłymi chłopskimi furami. Wygłodniałe koniska nie mogły podciąć nałożonym ciężarom, a furmanki łamały się pod ciężarem naładowanych pocisków artyleryjskich. Zrobił się tak straszliwy bałagan i zamieszanie, że trudno było cokolwiek rozeznąć.

Ochroniała nas noc, dająca z jednej strony bezpieczeństwo przed samolotami, z drugiej niemożność ustalenia jakiegos po-

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

rządki i rozładowania korka. Od czasu do czasu droga obkładana była nekającym ogniem artylerii niemieckiej. Co chwila odpalały ich baterie, a potem przelatywały pociski ze świstem nad naszymi głowami. Szwały były kiepsko wstrzelane i przenosiły ogień za daleko, orząc przyległe do drogi pola. Wraz z kilkoma kolegami uznaliśmy, że do czasu rozładowania bałaganu na szosie możemy się przespaciać i udaliśmy się do czerniejącej nieopodal grupy drzew, które okazały się małym cmentarzem. Wyszukawszy sobie jakąś nagrobną płytę położyłem się i natychmiast zasnąłem. Zbudził mnie huk rozrywających się pocisków. Niemcy zaczęli walić w cmentarzyk, więc w popłochu wykrzykując swoje imiona, aby ktoś nie został, daliśmy nogę z powrotem na szosę. Tu stwierdziliśmy, że nic się nie zmieniło — kolumny nie posunęły się o krok, świt się zbliżał, a wraz z nim niebezpieczeństwo samolotów, które przy braku odpowiedniej obrony dawały nam się szczególnie we znaki.

Niemieckie działa ucichły — widocznie obsługa poszła na zasłużony odpoczynek. Tymczasem, wbrew naszym pragnieniom, dzień wstawał pogodny. Około 8-mej rano zza horyzontu wypadło kilka samolotów, przeleciały wzdłuż zawałonej szosy i znikły. Przez kłębowisko ludzkie przebiegły pokrzykiwania w rodzaju: uciekajmy, zaraz tu będą!

Wypatrzwszy jakieś zabudowania, odległe około kilometr od drogi, pobiegliśmy szukać w nich jakiegoś schronienia. Dopadliśmy wrót pierwszej stodoły już przy huku nadlatujących Stukasów. Z duszami na ramionach pokładaliśmy się na sianie i zaczęliśmy nad słuchiwać. Tymczasem Stukaszy zaczęły swój taniec. Ryk pikujących motorów, grzechot karabinów maszynowych i nieustanne wybuchy bomb wdzierały się w każdą unerwioną część ciała. W stodole panowała grobowa cisza, nikt nie odzywał się słowem. Czasami cichły odgłosy samolotowej młócki i wtedy podnosiliśmy głowy z niemą nadzieją, że piekło się skończyło. Ale po chwili znowu rozpoczął się łoskot, walenie karabinów i huki bomb — to nowa zmiana wkraczała do roboty. Nasze głowy, obute w stalowe garnki opadały z powrotem na siano. Tak przeleźliśmy bez ruchu blisko 9 godzin. Nikt nie wyszedł nawet za własną potrzebą, mimo że było nas tam około trzydziestu chłopów. Byliśmy okropnie zmęczeni, głodni i niewyspani, a mimo to nikt oka nie zmrużył w potwornej męce oczekiwania, czy zabiorą się do rąbania naszej stodoły, czy też oszczędzą.

Stukaszy miały jednak zbyt wiele roboty na szosie, aby zajmować się stodołami. Około piątej po południu wszystko ucichło, wyszliśmy z ukrycia aby obejrzeć dzieło zniszczenia. Widok przechodził wszelkie pojęcie: pontony, armaty, konie, jaszczke, wozy i ludzie zmienione zostały w kupę żelastwa, mięsa, wiórów i drzazg. Tu i ówdzie, a zwłaszcza na polach przylegających do drogi leżały trupy ludzi, którzy nie zdążyli uciec. Ci co ocalili zajęli się ratowaniem rannych i dobijaniem pokiereszowanych koni. Zaczęliśmy szukać naszych taczanek

z karabinami maszynowymi, ale nie mogliśmy nawet ustalić miejsca, gdzie je pozostawiliśmy. Nad pobojowiskiem unosił się smród końskich jelit, swąd spalenizny i charakterystyczny zapach po materiałach wybuchowych. Gdzieniedzie nad kupami tego rumowiska sterczały kikuty poprzetrącanych dział przeciwlotniczych. Wyglądały, jak krzyże nad zbiorową mogiłą armii, która straciwszy olbrzymi procent sprzętu z wojska zamieniła się w pospolite ruszenie.

Stawiając mało zorganizowany opór Niemcom, byliśmy spychani w widły między Wisłą i Bzurą. Posuwaliśmy się przeważnie nocami, w kompletnym chaosie, do Puszczy Kampinoskiej. Któregoś dnia nad ranem dowództwo naszego batalionu i wszelka szarża oficerska zbiegła, zostawiając nas samych bez map i kompasów. Jedyne poruczniczyna rezerwy jaki zaspasł i nie zwiął z pozostałymi, zamiast objąć dowództwo, zaczął lamentować, że mu nic nie powiedzieli i poszli sami.

Żołnierze zaczęli się buntować i wywiesili na jakieś stodołę białe gacie, stwierdzając, że rząd nas sprzedadł. Rozległy się nawoływania, aby broń ustawiać w kozły. Pełni oburzenia i patriotycznego uniesienia, wybraliśmy sobie z Tadmem Szczurkowskim (nie wiem czy go pamiętasz) po jednym RKM-ie i ładownice z magazynkami i postanowiliśmy udać się w stronę skąd dochodziły odgłosy walki. Po drodze w lesie spotkaliśmy jakieś inne oddziały uwijające się koło puszek z konserwowaną szynką i jaszczków artyleryjskich, w których zamiast pocisków znajdował się smalec i cukier. Byliśmy wściekle głodni, więc mieszaaliśmy się w cizbę, aby zdobyć trochę żarcia. Już udało mi się wrębać parę garści cukru, gdy wtem ktoś krzyknął abyśmy zostawili natychmiast nasze RKM-y. Zrobił się bałagan i dopiero teraz zauważyliśmy, że i tu karabiny poustawiano w kozły i nawet warta koło nich chodziła, pilnując zapewne aby nie uszkodzone dostały się w ręce niemieckie.

Błyskawicznie załadowaliśmy nasze RKM-y i kierując je w stronę otaczających nas ludzi wrzasnęliśmy: Precz, takie nie takie syny, bo będziemy strzelać! Momentalnie wokół nas zrobiło się pusto — odskoczyli na kilkanaście kroków i z poroździawianymi gębami patrzyli na nas w strachu abyśmy nie spełnili zapowiedzi. W ten sposób wycofaliśmy się z ich zasięgu.

Wędrując dalej spostrzegliśmy dwóch ludzi na koniach, jadących krok za krokiem w naszym kierunku. Po zbliżeniu rozpoznaliśmy, że ten pierwszy to generał. Po naradzie, postanowiliśmy zameldować się. Był to Bortnowski — poznaliśmy go po portretach, jakich pełno było i po gazetach i w koszarach. Złożyliśmy meldunek, że szukamy jakiejś formacji, w której moglibyśmy się bić, bowiem nasza, jak i inne oddziały spotkane po drodze, zostały bez dowództwa i wywiesiły białe płachty.

Bortnowski słuchał i przyglądał się nam apatycznie, a potem wycedził: „Poddajcie się i wy, chłopcy — jesteście jeszcze młodzi i może przydadcie się kiedy indziej”. Po czym ruszył w swoją stronę. Skierowaliśmy ogłupiałe i pytające spojrzenia na drugiego jeźdźcę — był to jego adiutant, zdaje się kapitan, który zrozumiał nasze zachowanie i powiedział krótko: „Słyszeliście rozkaz generała”.

Takie było moje pierwsze w życiu spotkanie z generałem Bortnowskim — dowódcą armii i zdobywcą Zaolzia, dookoła którego stworzono opinię genialnego wodza i niezłomnego bohatera.

Kiedy przyszlismy do siebie po dobrej radzie gen. Bortnowskiego, aby się poddać, ruszyliśmy w dalszą drogę, napotykając co krok porzucone działa, jaszczce, samochody, chłopskie wózki i wszelki sprzęt wojenny, jakim ówczesna nasza armia dysponowała.

Miedzy innymi natrafiliśmy na kolumnę sanitarek Czerwonego Krzyża. Wokół niej kręciło się trochę ludzi pospiesznie zmieniających gatki i koszule. Skorzystaliśmy i my, zmieniawszy po raz pierwszy od trzech tygodni bieliznę.

W trakcie tych czynności zauważyliśmy sporą grupę oficerów, przeważnie lotników, bezradnie sterczących w miejscu. Każdy z nich zaopatrzone był w pistolet „Vis” malowniczo zawieszony przy pomocy skórzanego sznurka na szyi (sami niezależnie od karabinów mieliśmy również „Visy”).

W pewnym momencie do grupy tych oficerów podjechał galopem zadzierzasty kawalerzysta w randze porucznika. Jemu również dyndał się na szyi pistolet. Osadziwszy konia, porucznik popatrzył z góry na bezradnych lotników i przeciągając po kresowemu odezwał się:

— Kto z panów pożyczy mi „Visa”?

— Cisza.

— Czy nikt z panów nie może pożyczyć mi „Visa”?

Znowu cisza i wymowne spojrzenia na jego pistolet. Porucznik odczekuje chwilę, wreszcie spluwa z pogardą i śpiewa:

— Szkoda, pierwszemu który by pożyczył mi pistolet, strzeliłbym w łeb.

Powiedziawszy to, zawrócił i znikł w pobliskich krzakach. Lotnicy zupełnie nie przejęli się tym wymownym dowodem pogardy dla ich bezczynności. Ten i ów wzruszył ramionami, ktoś zauważył że wariat i wszyscy tkwili dalej w swej dziwnej apatii.

Postanowiliśmy z Tadkiem pójść śladami walecznego porucznika-kawalerzysty. Po jakimś czasie natrafiliśmy na nową grupę żołnierzy, ale ci nie wywiesili białych gaci, jak poprzednio spotykani, byli uzbrojeni i z wielkim apetytem zjadali przy pomocy bagnatów konserwowaną szynkę.

Ponieważ w kichach naszych już od paru dni hulała pustka, przyspieszyliśmy kroku i w mig dopadliśmy pierwszego zajądającego, pytając gdzie rozdają ten specjał. Po chwili siedzie-

liśmy w większej grupie pracownicy ruszając szczękami. Po raz pierwszy w życiu jadłem szynkę grubo smarowaną smalcem — spełniała ona rolę chleba, którego nie było.

Kiedyśmy tak pojadali, leżąc na zboczach niewielkiego leśnego pagórka, zza drzew wychynęła postać gen. Bortnowskiego ze słowami:

— Zdaje się, że macie coś do jedzenia, chłopcy?

Kilku usłużnych porwało się z miejsca, podając generałowi duże kawały szynki nadzianej na bagnety. Ten, zanim zabrał się do jedzenia, oświadczył, że potrzebuje dwóch ludzi na ochotnika do wykonania pewnego zadania. Nikt się jednak nie kwapił. Trąciliśmy się z Tadkiem w bok i zameldowaliśmy naszą gotowość.

Bortnowski poprowadził nas na miejsce, gdzie pod drzewami siedziała cała władza. W malowniczej grupie, wśród porzrzucanych dokoła map, spoczywały dość apatycznie dosłotne wężyki generalskie i pułkownikowskie gwiazdki kurzące sennie papierosy. Tylko d-ca 4-tej d. piechoty, pan generał Mikołaj Bołtuć krążył nerwowo od drzewa do drzewa, z założonymi w tył rękoma i z dobrze nam znanym, ironicznym uśmieszkiem na ustach. Obok jacyś artylerzyści rozwieszali na gałęziach nędzną pajęczynę drutów telefonicznych.

Bortnowski usiadł w grupie generałów i zamierzał wydać nam dyspozycje, gdy podskoczył do niego jakiś porucznik i wyprężony jak struna meldował, że bateria jakiś tam numer, jakiegoś pułku zajęła stanowiska i gotowa jest do otwarcia ognia.

Przykro było patrzeć na kontrast między spoconym, pałającym chęcią jak najlepszego przysłużenia się ojczyźnie oficerem, a osowiałym gronem sztabowców. Nikt nie zapytał, gdzie bateria ma zamiar strzelać, jak długo może strzelać, jakie jest rozpoznanie położenia nieprzyjaciela. Nikt też nie wydał jakiegokolwiek polecenia w tym względzie.

Może zachowanie generałów należałoby tłumaczyć wrażeniem, jakie wywołał niemiecki szrapnel, który z trzaskiem rozerwał się w konarach drzew, nieomal nad naszymi głowami, zagłuszając ostatnie słowa meldunku porucznika. Wszyscy instynktownie wciągnęliśmy głowy w ramiona, posypało się trochę gałęzi i igliwia, ale na szczęście żadnych szkód nie wyrządził. Senne: „Dziękuję wam poruczniku” — było jedyną odpowiedź.

Ów szrapnel pochodził z dział baterii niemieckich ustawionych po drugiej stronie Wisły, w okolicach Wyszogrodu, na wprost którego znajdowaliśmy się. Gdyby Niemcy wiedzieli, jak celnie wstrzelali się w wierchówkę naszej armii, niewątpliwie obłożyliby nas takim huraganowym ogniem, że nikt nie wyszedłby cało. Ale z tamtej strony Wisły widać było tylko las, pierwszy pocisk uznany został za pudło i ogień przenieśli o wiele dalej.

Porucznik oddalił się do swojej baterii, a Bortnowski wyłożył nam zadanie, które polegało na sprowadzeniu sztabu pod dowództwem płk. Aleksandrowicza, a który to sztab miał znajdować się we wsi Kamień.

Idziemy więc szukać sztabu. Po drodze mijamy różne grupy wojska, jedne włączące się bez celu, inne rozbijające celowniki działek p-panc., aby nie dostały się w ręce wroga. W mazowieckich piachach widzimy szczególnie dużo wszelkiego kalibru dział, które poutykały swym ciężarem po osie. Głodne i z sił opadłe koniska wyprężnięto. Zresztą zaprzęgi były przeważnie zdekompletowane. Niemcy ze szczególną zawziętością niszczyli konie wiedząc, że stanowią one nogi naszej armii. Działa te robiły ponure wrażenie. Opuszczone gardziele luf zdawały się opłakiwać swoje osamotnienie i mówić, że bez nich nędznie zginiemy.

W oddali na niebie widać było powolnie krążący samolot niemiecki. Wypuszczał co chwila czerwoną rakietkę, znacząc zapewne cele dla swojej artylerii. Z naszej strony nikt do niego nie strzelał — nie było już żadnej obrony przeciwlotniczej. Co jakiś czas, to przed, to za nami, to w bok od nas wytryskiwała z głuchym łoskotem ziemia, orana nękającym ogniem dział niemieckich. Niekiedy wybuchy były dość bliskie tak, że musieliśmy padać i czuliśmy zapach prochu.

Ponieważ robiło się późne popołudnie, doszliśmy do wniosku, że należałoby się pośpieszyć. Wyciągamy więc nogi, ale oto spotykamy jakiegoś kapralinę na koniu. Od razu widać, że koń nie jego, bo chłop zamiast długich butów ma długie spodnie. Powiadamy, aby nam tego konia pożyczył, mamy bowiem ważne zadanie do wykonania. Kapralina, widząc dwóch równych sobie rangą, tyle tylko, że ze znienawidzonymi naszymi podchorążackimi na rękawach, twierdzi, że koń nie jego, tylko jakiegoś tam porucznika, któremu musi go oddać, a nasze zadania ma w dupie.

Kiedy próbował ruszyć dalej, złapałem konia za uźdę, a Tadek wyciągnął pistolet i wrzasnął: „Złazisz, ty s...synu, bo ci łeb rozwałę”. Kapralina nie miał przy sobie żadnej pukawki, więc migiem był na ziemi. Wytłumaczyliśmy mu jeszcze, że jak chce może z jednym z nas poczekać, aż drugi wróci i dostanie swego śmierdzącego wałacha z powrotem. Teraz każdy z nas chciał jechać. Po dłuższym przekomarzaniu się zagraliśmy w „marynarza” i ja wygrałem.

Wgramoliłem się na szkapę i ruszyłem. Ale szkapie wcale się nie spieszyło. Dopiero różnymi pokrzykami, wywijasami i poklepywaniem zmusiłem ją do lekkiego truchtu. Ponieważ szkołę jazdy kończyłem tylko u Cygańskich nad Tażyną, więc nijak nie mogłem dopasować podskoków mego ciała do biegu konia i niemiłosiernie obijałem sobie tyłek. Czynność konnej jazdy tak mnie pochłonęła, że nie zauważyłem, jak w miarę ubywania drogi, coraz mniej naszego wojska spotykałem. Fakt ten zastanowił mnie dopiero, jak jechałem już zupełnie sam.

Obleciał mnie strach zwłaszcza, że przyzwyczajony do trzymania się ziemi własnymi nogami, na koniu zdawałem się być jakiś wyolbrzymiony i widoczny na całej kilometry. Ogłędając się na wszystkie strony, z duszą na ramieniu, poganiałem konia ile sił, uważając jednocześnie, aby nie wywinąć kozła przez jego zad.

Słońce już zaszło, choć jeszcze było widno, jak wjechałem do wsi. Zwolniłem. Wieś była pusta — strach coraz większy. Na wszelki wypadek zdjąłem przewieszony przez plecy karabin i oparłszy go na modłę arabską o udo, posuwałem się wzdłuż opłotek. Nigdzie żywej duszy. Ale oto przy drugiej, czy trzeciej chałupie przede mną widzę jakąś babinę. Podjeżdżam do niej i pytam czy to Kamień. Babina była głuchawa, musiałem kilkakrotnie wywrzaskiwać swoje pytania nim zrozumiała. Dowiedziałem się jednak, że to Kamień, że było tu wojsko polskie, ale „oficyjerów”, o których pytam to ona nie widziała. Natomiast „będzie z trzy godziny temu, jak bely tu Niemce na motozie i pojechali śpowrotem...”.

Mimo ciepłej i ładnej pogody zrobiło mi się zimno. Zawróciłem i wałąc już nie na żarty opornego zwierzaka, wialem ile sił. Nawet nie czułem fatalnego obijania tyłka o siodło. Co chwila ogłądałem się za siebie, czy nie goni mnie diabelski motor ze szwabami. Dopiero na widok pierwszych naszych ludzi zrobiło mi się ciepłej.

Szarzało już na dobre, gdy zbliżałem się do owego pagórka w lesie, gdzie był Bortnowski. Po drodze zauważyłem kilkanaście dział, różnych kalibrów, ustawionych rzędem pod lasem, lufami w kierunku południowym, a więc na Bzurę. Wokół nich leżały już kupy pocisków, poukładanych w/g kalibrów — a ludzie donosili dalsze, zbierane z różnych jaszczy porzuconych w piaskach. W pobliżu dział stał na koniu, w hełmie na głowie, jakiś wyższy oficer i studiował mapę. Później dowiedziałem się, że był to płk. Andruszewicz, d-ca 16 PAL-u.

Gdzieś z lewej strony dochodziły mnie jakieś okrzyki i wiwaty w rodzaju: Niech żyje! Niech żyjee!

Na pagórku nie zastałem już generalicji. Spotykani ludzie nie umieli mi powiedzieć, gdzie znajduje się Bortnowski. Pytałem również, co znaczą owe okrzyki i wiwaty, ale nim zdolałem mi odpowiedzieć, rozległo się gromadne wołanie: celownik cztery tysiące, celownik cztery tysiące! W ten sposób, metodą podaj dalej, zawiadamiano te kilkanaście dział, jak daleko mają strzelać. Rozległ się przeraźliwy grzmot i kilkanaście dział rozpoczęło kanonadę, plując bezustannie pociskami w kierunku Bzury.

Jednocześnie z miejsca, gdzie przed chwilą wiwatowano, dało się słyszeć gromkie: huraaa! huraaa! Działa waliły bez ustanku.

Tak zaczął się szturm mający na celu przerwanie pozycji niemieckich po południowej stronie Bzury.

Ściągnąłem przez głowę karabin i zostawiwszy konia, pognałem w dół. Było już zupełnie ciemno, za plecami moimi co chwilę słyszałem grzmot odpalających beładnie dział. Przed sobą słyszałem głuchoe odgłosy odpalających dział niemieckich. Pociski ich przelatywały nad naszymi głowami. Ponad to, od czasu do czasu grzechotały szwabskie karabiny maszynowe, znacząc kierunek strzelania długimi smugami świetlnych pocisków i odpalały działka piechoty, krótkimi, pięciostrzzałowymi seriami. Ich pociski też były widoczne, jak czerwone piłeczki. Poprzez gwizd, łomot rozrywających się pocisków, bzykanie kulek karabinowych i kanonadę za plecami, biegliśmy przed siebie. Nasze armaty formalnie zapluyały się.

W pewnej chwili spostrzegłem kawaleryjskiego, osiodłanego konia bez jeźdźcy. Koń oszalał ze strachu, biegł w koło jak na ujeżdżalni. Podskoczyłem do niego, złapałem za uzdę i nieomal jednym skokiem siedziałem w siodle. Kopiąc, bijąc i wrzeszcząc, ruszyłem dość szybkim kłusem, wymijając piechurów. Nowy okrzyk: celownik sześć tysięcy, spowodował wydłużenie ognia. Dzięki temu karabiny maszynowe i działka piechoty przestały nam dokuczać. Tylko artyleria niemiecka waliła intensywnie, ale stale w to samo miejsce, jakby nie brali pod uwagę faktu, że natarcie już ładny kawałek drogi znajduje się od miejsca ich obstrzału.

Z prawej strony, zza krzaków wypadła jakaś grupa konnych. Zauważyli mnie, bo rozległy się wołania: Hej konny, chodźcie tu do nas! W pobliżu rąbnął pocisk. Powiało smrodem prochowym. Za nami rozległ się krzyk i jęki. Ktoś wołał o ratunek, ktoś krzyczał, aby go dobić. Nikt jednak nie ogląda się do siebie, wszyscy prą do przodu.

Dołączyłem do owych konnych. Mój koń widocznie nawykły do stadnego biegania, kłusował bez żadnego wysiłku z mojej strony. W ciemności próbowałem ustalić, z kim mam przyjemność. Kilku jeźdźców to niewątpliwie kawalerzyści, pozostali to zbieranina, tak jak ja.

Wjechaliśmy w jakieś podmokłe łąki. Konie zaczynają zapadać i nie chcą iść dalej. O kilkadziesiąt metrów widać jakieś dwie chaty, a za nimi jasną wstęgę Bzury. Za nią ciemny las, w głębi którego coś się pali. Z kierunku pożaru dochodzą nas, raz po raz, potężne wybuchy. Widzimy również całe fontanny pocisków karabinowych strzelających w niebo. Zsiadamy z koni. Dwaj ludzie biegają do chałup i po chwili przynoszą jakieś drzwi, czy wrota. W jednej chwili rozrywamy je na pojedyncze deski i kładąc na ziemi, przeprowadzamy po nich konie, sami zapadając się i chlupiąc po bagnie. W butach mam zupełnie mokro, spodnie oblepiają się wokół łydek. Ktoś idący przede mną zaciąga po lwowsku: „Stworzymy korpus o jakim Budionnemu się nie śniło”. Nikt nie podejmuje tego buńczucznego zapewnienia.

Konie tańczą niepewnie po deskach. Wreszcie twardy grunt nad samą Bzurą. Dosiadamy koni i wjeżdżamy w wodę. Konie

robią parę kroków, stają i zaczynają pić. Na wodzie jesteśmy bardziej widoczni, poganiamy, szarpiemy, bijemy, ale nic nie pomaga. Konie stoją i piją. Widzimy, jak przez rzekę przepływają się piechurzy, trzymając nad głowami karabiny. Jestem zadowolony, że nie potrzebuję moczyć się cały.

Wreszcie jeden po drugim, końskie łby podnoszą się nad wody. Ruszamy. Mamy szczęście — w tym miejscu rzeka jest wyjątkowo płytka tak, że nawet butów nie moczymy. Po osiągnięciu drugiego brzegu wjeżdżamy w las. Karabiny trzymamy gotowe do strzału. Jest ciemno i cicho. Obie artylerie przestały strzelać. Słychać tylko w głębi lasu detonacje i strzelanie z karabinów, ale jakieś dziwne, wybuchowe. Kluczyny między drzewami, wreszcie trafiamy na szeroki piaszczysty pas. To jakaś droga. Ruszamy po niej galopem. Po jakimś czasie mijamy po lewej stronie park samochodowy i broni pancernej. Wszystko się pali. Wyjaśnia się zagadka detonacji i tego dziwnego strzelania w niebo. To tu wybuchają nagromadzone zapasy pocisków wszelkiego rodzaju. Omijamy szybko ten ziejący ogniem krater i w ciemnościach walimy dalej.

Ktoś zauważa po lewej studnię i mówi o tym zwracając się do jakiegoś porucznika o nazwisku Wysocki. Wszyscy są spragnieni, więc zatrzymujemy się, aby się napić. Jeden idzie sprawdzić, czy w ogóle woda jest. Ktoś mówi, że może być zatruta. Wody nie ma, tamten wraca i dosiada konia...

W tym momencie dostajemy z lewej strony serię z karabinu maszynowego. Uciekamy galopem, zjeżdżając na prawą stronę, a karabin wali ciągle w to samo miejsce, choć już nas tam nie ma. Ale jeden z nas zaczyna jęczeć, że jest ranny. Zatrzymujemy się i pytamy gdzie? Porucznik zwraca się do niego per wachmistrzu. Jest ranny w nogę. Porucznik pyta, czy jest jakiś sanitariusz lub ktoś, kto ma torbę sanitarną. Nikt nie odpowiada. Znowu pytanie, kto opatrzy wachmistrza? — cisza. Mając opatrunek osobisty, powiadam wreszcie, że ja go opatrę. Kilku z nas zsiada z koni, zdejmujemy ostrożnie wachmistrza z siodła i sadzamy na piasku. Próbuje ściągnąć but, ale nie idzie — facet jęczy, że go boli. Ktoś podaje mi duży scyzoryk i rozcinam cholewę. Teraz widzę dwie dziury w łydce, odpieczętuję mój opatrunek osobisty i zawijam nogę, pocieszając wachmistrza, że postrzał nie jest groźny, kość cała. Pozostali współtowarzysze dosiedli koni i w milczeniu czekają. Wachmistrz odpiął pas, zdjął hełm. Proszę o jeszcze jeden opatrunek. Ktoś podaje mi torbę sanitarną, do której się przedtem nie przyznawał.

Właśnie wyciągam po omacku bandaż, gdy z lewej strony, na wprost nas ponowna seria karabinu maszynowego. Padam plackiem z głową odwróconą w stronę źródła ognia. Siedzący na koniach towarzysze z miejsca uciekają, zostawiając tylko jednego konia, który najspokojniej stoi. Widzę wyraźnie źródło ognia w lesie. Wyraźnie strzelają do nas, ale trochę za wysoko. Ostrożnie obracam głowę na prawą stronę i ze zdu-

mieniem stwierdzam, że wachmistrz znikł. Obok mnie leży jego pas z pistoletem, hełm i rozcięty but oraz sanitarna torba. Znowu seria. Jestem przerażony, widocznie widzą mnie. Leżąc gębą przy ziemi, krzyczę w stronę krzaków: wachmistrzu! panie wachmistrzu! Nikt nie odpowiada. Znowu ostrożny obrót głowy w stronę źródła ognia. Bzykanie pocisków nie ustaje, widzę przed sobą charakterystyczne wypryski piasku. Postanawiam próbować ucieczki, ale nie tam, gdzie drapnął wachmistrz, tylko prosto przed siebie. Seria się na chwilę urwała. Wężowym ruchem wyciągam lewą rękę po leżący przede mną karabin. Znowu strzelają. Coś mnie ukąsiło w przegub wyciągniętej ręki. Cofnąłem. Piecze cholernie, ale wyciągam ponownie, chwytam karabin i podciągam pod siebie, szykując się do poderwania. O jakieś dziesięć kroków ode mnie stoi samotny koń ze spuszczoneym łbem. Żeby tak mógł dopaść tego konia, ucieczka miałaby szanse powodzenia.

Strzały ustają. Podrywam się i skok do konia. Otwierają ogień. Koń wystraszony wyrwa z kopyta nim go dopadłem. Biegnę więc za nim, ale mowy nie ma o dogonieniu. Mimo to biegnę dalej co sił. Karabin maszynowy wali ciągle w to samo miejsce. Przed sobą widzę niewyraźne kontury jeźdźców, krzyczę więc, aby trzymali mojego konia, nie zdając sobie sprawy, że mogę narazić się na strzały w moim kierunku. Ktoś odkrzykuje stłumionym głosem, abym się pospieszył. Dobiegam wreszcie, podają mi konia i uciekamy dalej. W drodze mówię, że wachmistrz znikł mi gdzieś w krzakach, że trzeba by go znaleźć, ale porucznik odpowiada, że czort z nim tańczył, — mógł trzymać się mnie. Nogę mu zawinąłem, niech więc sam daje sobie radę.

Po lesie w różnych kierunkach słychać serie KM-ów. Koło nas jest cicho. Lewa ręka piecze mnie dokuczliwie z dwóch stron przegubu. Oglądam to miejsce, ale w nocy widzę tylko dwie ciemne krechy. Są suche i krew z nich nie leci. Miałem szczęście — dwa pociski karabinowe po prostu osmaliły mi przegub. Gdyby jeden leciał o parę milimetrów wyżej lub drugi niżej, nie miałbym już lewej dłoni.

Zwalniamy. Konie wloką się noga za nogą. Nerwy zaczynają się rozprężyć, ogarnia nas senność. Jeszcze nie mogę się uspokoić i widzę, jak moi towarzysze kiwają się w siodłach, zasypiając. Podjeżdżam do czoła i pytam porucznika, gdzie jesteśmy i dokąd jedziemy. Pyta mnie kim jestem. Powiada, że ma mapę i kompas, trzeba będzie zorientować się w położeniu, ale niebezpiecznie palić zapałki, mogliby nas zauważyć. Potem powiada, abym uważał na ludzi, bo pozasypiają i pogubią się, zwłaszcza że koniska pomęczzone też nie chcą iść i co chwila stają. Wracam więc wzdłuż naszej grupy i kopniakami budzę tego i owego.

Tak doczłapujemy do jakichś nędznych chałup. Porucznik wraz z jakimś drugim zsiadają z koni i wchodzi do jednej z chałup, aby się zorientować. Czekamy na nich w siodłach. Sen

mnie morzy i zasypiam. Jednak co chwila budzę się nerwowo. Widząc, że wszyscy stoją koło mnie, zasypiam ponownie. Nie wiem, jak długo to trwało, ale kiedy się ocknąłem, nic się nie zmieniło. Zaczyna mnie to niepokoić, podjeżdżam więc ponownie do czoła i budząc jakiegoś faceta, pytam gdzie porucznik. Powiada, że w chacie, więc schodzę z konia i idę do chaty. Wołam porucznika, ale nikt mi nie odpowiada. Obszedłem wszystkie izby bez skutku. Chałupa była pusta.

Wróciwszy obudziłem kilku ludzi i powiedziałem, że porucznik uciekł i musimy jechać dalej sami, bez map i kompasu. Jedni drugich budzą i ruszamy. Jadę pierwszy rozmyślając, co robić dalej. Próbuję zdać sobie sprawę, gdzie północ. Przed oczami widzę mapę Polski. Bzura jest za nami, więc do Warszawy musi być niedaleko. Boże! Gdyby tak być teraz w Warszawie. Widzę mieszkanie na Dobrej, Hankę i jej siostry, krzątające się po pokojach. Zbyszka nie ma. Ciekawe, gdzie też może być i co robi. Ach! Gdyby tak być na Dobrej. Na pewno daliby co zjeść, wykapałbym się, położył do łóżka. A może dom na Dobrej nie istnieje. Ciekawe, co oni tam robią. Co robi Leszek? Tak, to musi być niedaleko do Warszawy, jakieś trzydzieści do czterdziestu km. Jeżeli będziemy mieli szczęście to jutro o tej porze mogę wygodnie spać, jak człowiek.

W tym momencie koń mój zarżał, budząc mnie z zamyślenia. Rozejrzałem się czujnie i podejrzliwie. Na prawo od nas widać szeroki trakt piaszczysty, biegnący poprzez las. Pod drzewami jego lewej strony mającą jakieś konie. Oglądam się za siebie i stwierdzam, że grupa nasza zmałała do ośmiu jeźdźców. Pozostali pozasypiali i pogubili się.

Skrećmy w prawo. Okazuje się, że na koniach, których jest bardzo dużo, siedzą ludzie i śpią. Ponieważ zajechaliśmy od tyłu kolumny, więc jedziemy wzdłuż do czoła. Nikt się nie ruszył na nasz widok. Niektórzy trzymają po dwa i trzy konie.

Dojeżdżamy do czoła, budzę kilku i pytam czy jest tu jakiś d-ca. Nikt nie wie, czy jest w ogóle i gdzie jest. Ktoś krzyczy, aby nie zawracać mu dupy, jak chcę, mogę sam dowodzić.

Powiadam, że jeżeli będziemy tu tak stali, to Niemcy dniem wytluką nas, jak kaczki. Musimy przecież coś robić. Okazuje się, że i tu nikt nie ma mapy ani kompasu. Ktoś powiada, że może lepiej byłoby jechać do Modlina, bo bliżej, ale nikt nie zna tych okolic i właściwie nie wiadomo, jak jechać. Z jednym się zgadzamy, że zostać tu nie możemy. Postanawiamy, że wjedziemy gdzieś w las, daleko od dróg, by tam przeczekać dzień a po zorientowaniu się w położeniu, ruszyć nocą dalej.

Kiedysmy tak rozważali, zauważyliśmy o jakieś trzydzieści metrów od nas, wylazących z przeciwległego lasu kilku pieszych. Przechodzili na naszą stronę, zupełnie nas nie widząc. Krzyknąłem do nich. Zatrzymali się. Podjeżdżamy w kilku i pytamy, dokąd idą? W ciemnościach rozeznają jakiegoś pułkownika, więc mówię mu, że jest tu z pół szwadronu konnych i żeby

objął dowództwo. Pułkownik powiada na to, że on jest z piechoty i nie go kawaleria nie obchodzi.

Mało mnie szlag nie trafił. W pierwszej chwili chciałem zrobić użytek z „Visa”, ale często tak bywa, że rozwiązanie pewnych sytuacji przychodzi nagle i bez zastanowienia. Bez zastanowienia też krzyknąłem do tyłu:

— Hej tam, konia dla pana pułkownika!

Ktoś przyprowadził konia i pułkownik, mimo poprzedniej odpowiedzi, z zadowoleniem usadził na nim swój tyłek. Również pozostali jego towarzysze dostali konie.

W duchu postanowiłem nie odstępować tym razem dowódcy, aby nie przyszło mu do głowy, jak owemu Wysockiemu, zostawić nas samych, bez mapy i kompasu. Dołączyliśmy do kolumny, puściłem się wzdłuż, budząc śpiących i krzycząc, że ruszamy. Następnie popędziłem do czoła, zrównując się z koniem pułkownika.

Tak jadąc rozmyślałem, co to za facet i jeszcze raz przyrzekałem sobie, że nie puszcze go pół kroku samego. Tymczasem zapytał mnie, co to za oddział i kim jestem. Powiedziałem, że oddziału nie znam, znalazłem się w nim, jak on sam, przypadkowo, a w ogóle jestem podchorążym i piechociarzem. Zastanawialiśmy się, co robić dalej, gdy usłyszeliśmy przed nami tętent koni. Były jeszcze daleko, ale słychać było, że galopują co sił. Szybko wyznaczaliśmy dwóch ludzi, którzy wyjechali przed nas, naprzeciw galopującym.

Tętent stawał się coraz wyraźniejszy. Z oddali doszedł nas głos:

— Stój, kto jedzie! — nikt nie odpowiada, tylko coraz wyraźniejsza galopada.

— Stój, bo strzelam! — chwila przerwy i głośnym echem pada strzał. Słyszymy głośnie „Jezus Maria” i dwóch jeźdźców, leżących niemal na końskich szyjach, mija nas w szalonym galopie. Jednocześnie przed nami rozlega się histeryczny lament:

— O Boże! Zabiłem rodaka! Ludzie powieście mnie, jestem zbrodniarzem.

Lament niesie się po lesie głośnym echem. Dopadamy do dwóch wysłanych przodem i widzimy, jak jeden odrzuciwszy karabin, drze włosy z głowy i wrzeszczy, drugi zaś szamocze się, starając się zatkać tamtemu gębę. Błyskawicznie obezwładniamy nieszczęśliwca, ściągamy z konia i kładziemy na ziemi. Ktoś ma manierkę z wodą, którą kropimy mu twarz i podajemy do picia. Wśród łkań, powoli szok nerwowy ustaje. Dosiadamy koni i ruszamy dalej. Wypadek otrzeźwił trochę śpiącą kolumnę. Ogładam się do tyłu i stwierdzam, że znowu sporo jeźdźców ubyło.

Tymczasem przed nami widać daleko jasność, pochodzącą od świateł samochodowych i słychać mruczenie motorów. Samych świateł nie widać. Pułkownik decyduje, że wjeżdżamy do lasu na lewo. Nie chce ryzykować spotkania z Niemcami,

bowiem światła i warkot mogą pochodzić od czołgów. Jedziemy więc wśród drzew, podając do tyłu, aby się pilnować i nie pogubić. Zaczyna świtać. Dzień wstaje pogodny, a my wciąż jedziemy między drzewami co chwila schylając głowy przed gałęziami.

Dobrze już za dnia postanawiamy zatrzymać się. Przywiązujemy konie tak, aby mogły skubać leśne poszycie. Bez żadnego ubezpieczenia, bez żadnych czujek, walimy się spać.

Jak bosko! Wyciągam nareszcie nogi. Jestem potwornie zmęczony i momentalnie zasypiam.

Słońce przewędrowało kawał nieba, kiedy otworzyłem oczy. Była może trzecia po południu. Obrzuciłem spojrzeniem moich towarzyszy i stwierdziłem, że pułkownika nie ma. Nikt nie wie, co się z nim stało. Jakiś tęgi kapral siedzący w pobliżu powiada, że pewnie drań nawalił, aby się gdzieś przebrać po cywilnemu i tak przedzierać się do Warszawy. W pojedynkę łatwiej niż w grupie. Ktoś mówi, że w ogóle wszyscy powinniśmy się poprzebierać — zrobiliśmy co do nas należało. I tak dużo, jak na zasaną broń, którą nam dali.

Rozgoryczenie powiększa piekielny głód, szarpiący kichy niemiłosiernie. Okazuje się, że jeden z przebudzonych ma autentyczny, cały bochen komiśnego chleba. Wśród głośnych słów uznania za taką zapobiegliwość, dzielimy go sprawiedliwie po kawałku. Przy tej okazji stwierdzamy, że jest nas tylko osiemnastu. Ktoś wytrząsa z sakwy suchary, którymi również się obdzielamy.

Tu i ówdzie zaczynają rzeć konie.

Powiadam, że dobrze byłoby rozejrzeć się, gdzie jesteśmy. Przytakuja, ale nikt się nie rusza. Biorę więc konia i jadę w kierunku południowym. Po jakimś czasie drzewa rzędną i widzę przed sobą dość szeroką leśną drogę. Przebiega ona z północnego zachodu na południowy wschód — można by więc udać się nią w kierunku Warszawy. Chwilę nasłuchuję, po czym wjeżdżam na drogę.

Widzę wyraźne ślady gąsiennic i pełno opakowań od amunicji. Papiery, tekturowe pudła i pudełka noszą znaki i napisy niemieckie. Robi mi się nieswojo. Jest puściuteńko — słońce maluje poprzez drzewa jasne desenie na poszyciu. Byłoby pięknie, gdyby nie te ślady. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że pochodzą od Niemców. Naszą broń pancerną, w postaci czterech, pamiętających tamtą wojnę, tankietek, widziałem pierwszy i ostatni raz koło Rybna. Tankietki te uciekały w odwrotnym kierunku naszego marszu. W pierwszej z nich, wychylony do połowy porucznik trząsł jakiegoś wystraszonego żołnierzykę, siedzącego na zewnątrz tankietki i ryczał:... mów skurwysynie gdzie widziałeś Niemców...

Obrazek ten przypomniat mi się obecnie na widok zrytej gąsiennicami drogi. Na wszelki wypadek trzymam karabin gotowy do strzału tak, jak gdyby mogło mi to pomóc w wypadku spotkania z wrogiem. Kiedy tak stoję rozglądając się

i medytując, nieomal spod końskich nóg, z rowu podnosi się jakaś postać w naszym mundurze, szara, niskiego wzrostu i dzierżąca karabin w ręku. Okazuje się, że facet leżał w tym rowie kilka godzin, gdy jakieś półtorej godziny temu przejeżdżały drogą niemieckie czołgi i zmotoryzowana piechota. Jechali właśnie w kierunku południowo-wschodnim, zachowując się bardzo swobodnie, ze śpiewami, hałasami i zatrzymywaniem się. Odlewali się do rowu, w którym on leżał i mimo to nie widzieli go. Chłopina był formalnie ziemisty ze strachu i emocji.

Zabrałem go ze sobą i wróciłem do towarzyszy. Z daleka słyszałem rżenie koni, na które mój próbował odpowiadać. Biedne koniska pragnęły wody i rżały żałośnie. Po naradzie doszliśmy do wniosku, że trzeba będzie je zostawić, aby nas tym rżeniem nie zdradzały. Zdjęliśmy z nich całą uprząż, podpuściliśmy do drogi, a sami puściliśmy się lasem w lewo od drogi.

W czasie tej wędrówki stwierdziliśmy, że cała Puszcza Kampinoska jest bardzo ruchliwa. W różnych kierunkach przemierzały ją różne grupy, grupki i oddziały naszej rozbitej armii. Wszyscy szli do Warszawy lub do Modlina i wszyscy robili to w innym kierunku. Niesposób jednak było ustalić, jak daleko znajdujemy się od tych miast.

Pod wieczór dołączyliśmy do jakiejś grupy, wśród której było również kilku oficerów. Postanowiono, że dniem czujność Niemców słabnie, wobec czego będziemy maszerowali w dzień, a noc wykorzystamy na spanie.

Następny ranek przywitał nas zachmurzonym niebem. Znowu przybyło trochę ludzi. Mamy już dwóch pułkowników (jeden cholernie podstarzały), jakiegoś kapelana-majora, który z zapałem dźwigał RKM i kupę magazynów z nabojami.

Snujemy się przez różne lasy, laski, krzaki, moczary, przebiegamy smętne polanki i podmokłe łąki. W napotkanych dwóch lepiankach znajdujemy skorupy od dyni, którymi sprawiedliwie się dzielimy, jak największym skarbem. W pewnym momencie dochodzimy do leśnego pagórka, zza którego dobiega nas wołanie: Hallo, — hallo! Akcent wyraźnie nie nasz. Stajemy nadsłuchując.

Nie ulega wątpliwości, że to pokrzykiwanie pochodzi z niemieckich gardzieli. Trzeba by rozpoznać ilu ich tam jest. Nikt się jednak nie kwapi, i ja też. W pewnym momencie major-kapelan zwraca się do mnie:

— Panie podchorąży, jest pan taki energiczny, niech pan idzie zobaczyć, co się tam dzieje.

Wszyscy wlepili we mnie oczy, nie było więc sposobu wykręcać się. Poprosiłem kogoś o granat i zaczepiwszy go za kaptotę, zaczynam podchodzić pod pagórek. Robię to z bijącym sercem i bardzo ostrożnie. Oglądam się za siebie i widzę wlepione spojrzenia w moje plecy. Nikt nic nie mówi, stoją i patrzą. Podeszedszy kawałek, zaczynam się czołgać. Serce wali

niespokojnie. Wreszcie jestem na szczycie. Pagórek łagodnym stokiem opada do leśnej drogi o jakieś sto metrów przede mną. Na drodze tej stoi motocykl ze szwabem, który nie może go zapalić. Kopie kilkakrotnie starter, następnie chwilę odpoczywa pokrzykując przed siebie owe hallo.

Składam karabin do strzału. Rozglądam się jeszcze, czy nie widać ich więcej. Muszą być chyba gdzieś blisko, jeżeli tak do nich wrzeszczy, ale nie widzę nikogo.

Właśnie przestał kopać. Mierzę dość długo w klatkę piersiową. Silne kopnięcie w obojczyk, huk i szwab składa się, jak scyzoryk. Chwilę czekam czy strzał nie zwabił innych. Jest cicho i spokojnie. Oglądam się za siebie. Wszyscy stoją bez ruchu i patrzą na mnie, dają więc znać ręką, aby przyszedł. Towarzysze podchodzą ostrożnie, nieomal na palcach, a ja obserwuję przedpole, czy się coś nie dzieje. Wreszcie są na szczycie, więc pokazuję ręką ze słowami: — tam leży.

W jednej chwili zbiegamy ku drodze. Niemiec nie żyje. Ktoś zdejmuję mu zegarek, podpalamy motor i szybko przechodzimy w las, po drugiej stronie drogi. Zaczyna kropić deszcz.

Znowu kilka godzin marszu po lesie, krzakach i bajorach. Z jakiegoś mokradła gasimy pragnienie. To mnie trochę otrzeźwia, ale głód staje się nie do wytrzymania.

Dochodzimy do miejsca, gdzie las się urywa, przechodząc w jakąś podmokłą polanę. Po jej drugiej stronie, o jakieś 200 metrów widać krzaki, a za nimi znowu las. Rozrzucony przebiegamy przez polanę. Z prawej jej strony widzimy, jakby za lekką mgiełką, jadące samochody. Są daleko, ale wygląda, że nasze drogi będą się krzyżowały.

Umordowani dopadamy krzaków i rozsypujemy się wzdłuż rowu przy szosie. Kapelan-major zajmuje w nim stanowisko razem ze swoim RKM-em po naszej lewej stronie. Słychać już warkot motorów. Zza zakrętu wyjeżdżają cztery motocykle z przyczepami, a za nimi sześć aut ciężarowych. Siedzący w motorach Niemcy musieli nas zauważyć, bo otwierają ogień z KM-ów w naszą stronę.

Chwilę nikt z nas nie strzela, dopiero jak motory zbliżyły się do kapelana, ten plunął w nie z RKM-u. Cios był skuteczny. Dwa motory wywracają się z krzykiem Niemców, dwa następne wpadają na nie. Wszystko staje się tak nagle, że jadący za motorami samochód wpada na to kłębówisko ciał i żelastwa. Pozostałe samochody hamują obstrzeliwane ogniem naszych karabinów.

Na wprost mnie szoferka jednego z samochodów. Drzwi otwierają się i wyskakuje z nich kawał byka z naszywkami sierżanta. Lewą ręką trzyma za kłamkę drzwiczek, prawą odgina pospiesznie kaburę pistoletu.

Wyskakuję z rowu trzymając „Visa” gotowego do strzału. Z odległości trzech — czterech kroków pakuję cztery piguły prosto w głęb feldfebla, który, jak podcięte drzewo, wali się

całym ciężarem na mnie. Uskakuję w bok, a szwab pada na ziemię z chrzęstem sprzączek i hukiem żelaznego garnka. Jednocześnie resztę magazynu posyłam w szoferkę, ale jest pusta. Kierowca dał nura w las po drugiej stronie szosy.

Pozostali koledzy też nie próżnowali. W tej chwili, z głośnymi uwagami, urządzają polowanie na kilku Niemców uciekających w panicznym popłochu w las. Uciekający nie mają jednak szczęścia — las jest w tym miejscu dość rzadki i co który próbuje przebiec do następnego drzewa, pada od naszych kul.

Jeden w obłąkanym przerażeniu włazi na drzewo, budząc ogólną uciechę wśród naszych. Czekają, aż wejdzie wyżej, a chłop w nadludzkim wysiłku dźwiga swój ciężki tyłek coraz wyżej i wyżej.

Nie mogę na to patrzeć. Wchodzę do szoferki jednego samochodu i zaczynam przeszukiwać, czy jakiegoś żarcia nie mieli ze sobą. Znajduję paczkę knäckebrötu, którą natychmiast pozeram. Obok leży jakieś pismo ilustrowane — „Die Koralle”. Przeglądam je. Są zdjęcia z wojny — szeregi naszych z podniesionymi rękami, jakieś zakazane mordy ich bohaterów w hełmach, jacyś zasłużeni piraci powietrzni itd. Zdjęcia te i inne budzą ponure dla nas myśli: są lepsi od nas. Już sam fakt, że aktualny numer jakiegoś pisma dociera na linię frontu, świadczy, że są lepiej zorganizowani, że u nich w kraju wszystko toczy się normalnym trybem, a front zaopatrzony jest we wszystko, co żołnierz potrzebuje. Widać to po zabitych — są dobrze odżywieni, ogoleni...

My wyglądamy przy nich, jak jakaś nędzna namiastka ludzi: gęby nieogolone, policzki zapadłe, oczy podkrążone o jakimś chorobliwym blasku, cera ziemista, prawie sina...

Kilka strzałów i uciśnięty rechot dowodzi, że wykończono w międzyczasie również i tego obłąkańca na drzewie. Teraz wszyscy rzucają się do penetrowania samochodów. Motocykle, wraz z pozabijanymi palą się. Część naszych obmacuje trupy i zdejmują zegarki i pierścionki.

Lada moment może nadejść nowe niebezpieczeństwo, więc nawołujemy grabieżców do opamiętania. W samochodach nie było upragnionego jedzenia, więc podpalamy je i ruszamy pośpiesznie w las, w który przed chwilą uciekali Niemcy. Żaden nie uszedł z życiem. Specjalni amatorzy dobijają tych, którzy zdradzają jeszcze jakieś oznaki życia.

W sumie naliczyłem 23 trupy. Z naszej strony tylko jeden ma przestrzeloną broń i jak powiada, postrzał otrzymał gdzieś z tyłu.

Znowu wędrowka kilkugodzinna po lasach, zaroślach, polanach, moczarach. Gdzieś wśród krzaków przyplaszcza nas niemiecki samolot, krążący na wysokości około stu metrów, tuż nad naszymi głowami. Trwa to dobre pół godziny zanim możemy ruszyć dalej.

Koło piątej po południu słyszymy przed sobą warkot motoru i głośne pokrzykiwanie: — *zurück!* — *vorwärts!*

Rozsypujemy się w tyralierę i podchodzimy w kierunku tych odgłosów. Poprzez krzaki i drzewa widzimy piaszczystą drogę, na której stoi niemiecki czołg. Obok niego dwóch ludzi w czarnych mundurach, z łopatami w ręku odgarnia i podsypuje piasek. Czołg nie może wyjechać — to rusza do przodu, to do tyłu, w zależności co wykrzykują ci dwaj, ciągle jednak grzebie się w piachu.

Obserwujemy te manewry w kompletnej ciszy, w nadziei, że wreszcie pojedzie sobie do diabła, dając nam wolne przejście.

Ale gdzieś na prawym skrzydle, zupełnie niespodziewanie pada pojedynczy strzał. Nastąpiło to tak nagle, że nikt z nas nie otworzył ognia, aby zatłuc tych dwóch na zewnątrz. Oni natomiast błyskawicznie wskoczyli do czołgu, zamknęli kłapę i rozpoczęli walić z KM-ów w naszą stronę. Wtedy i my zaczęliśmy strzelać, ale jest to tylko zdradzanie własnego położenia. Nasze pukanie z karabinów nie może zaszkodzić stalowemu cielsku, natomiast szwaby koszą gęsto i skutecznie. Tu i ówdzie rozlegają się krzyki i jęki trafionych.

Rzucam granatem, ale za blisko. Kilka innych granatów rozrywa się również nie osiągnawszy czołgu.

Tymczasem nadjeżdżają dalsze prując w naszą stronę.

Robi się coraz goręcej. Dwa czołgi zajeżdżają nam od tyłu, zamykając kociołek. Trzask pocisków staje się nieznośny. Obok mnie jakiś żołnierz zostaje ranny w piętę. Wyjąc z bólu, podnosi się z pozycji leżącej i siada lamentując o pomoc. Kule gwizdzą gęsto, więc ryczę do szaleńca, aby się położył, bo go ubiją kompletnie.

Jednocześnie coś mnie wali po hełmie. To obcięte pociski gałęzie przytłaczają mnie do ziemi. Strzelanie z naszej strony ucichło kompletnie, natomiast coraz więcej jęków słychać dookoła. Szwaby walą z KM-ów w dalszym ciągu.

Przestałem obserwować, co się dzieje. Wtuliłem głowę jak najniżej i czekałem, kiedy mnie trafią. Myśl pracuje na zwiększonych obrotach. To niemożliwe, abym miał skończyć życie już teraz i w tym miejscu. Przed oczami stają mi obrazy sielskiego życia w rodzinnym domu. Widzę rodziców i moich braci. Widzę nasz ogródek, pełen kwiatów i spokoju. Czy jeszcze kiedy będę mógł zobaczyć moich najbliższych? Jeśli tu zginę, czy ktoś będzie o tym wiedział, aby powiadomić moich najbliższych?

Tymczasem strzelanie ustaje. Ze wszystkich stron słychać wołania: — *aufstehen, Hände hoch!*

Niemcy posuwają się tyralierą i wygarniają naszych z krzaków. Tu i ówdzie słychać strzały z pistoletów. Dobijają ciężiej rannych. Oglądam się do tyłu, czy nie udałoby się jakoś drapnąć z ich pola zasięgu, ale i tam idzie tyraliera niemiecka. Jesteśmy szczelnie otoczeni, aż dziw skąd się tego szwabstwa tyle nabrało.

Właśnie o jakieś 20 metrów za mną natknęli się na starego pułkownika. Posłuszny ich wezwaniom wstaje i dobrą niem-

czynną zaczyna mówić dwóm obmacującym go żołnierzom, że jest starym oficerem cesarskim, że posiada Eiserne Kreutz itd. Na poparcie swych wywodów wyciąga jakieś dokumenty i legitymacje. Jeden ze szwabów wrywa mu te papierki, bez czytania drze na drobny mak, ze słowami: — *weg mit diesem Dreck!*

Tymczasem naprzeciwko mnie, o jakieś dziesięć kroków, zatrzymuje się czterech byków z automatami w rękach i krzyczą: *Auf! Hände hoch!* Powoli podnoszę się, ale odruchowo podejmuję karabin, co wywołuje jeszcze gwałtowniejszą falę wrzasku: *Gewähr ab! Hände hoch!*

Puszczam karabin, który z chrzęstem pada na ziemię. Szwabowie pokazują wiszącego na szyi „Visa” i krzyczą: *Pistole abgeben!* Sięgam po pistolet, jednocześnie oni podnoszą swoje automaty do strzału. Ręce mi się trzęsą, więc długo nie mogę uporać się z karabinierczykiem. Wreszcie ustąpił i rzucam pistolet pod ich nogi.

Rycząc stale swoje *Hände hoch*, przyskakują do mnie i zaczynają rewidować. Mam pełne kieszenie nabojów do karabinu i magazynów do pistoletu, które wyciągają z głośnym zadowoleniem i oświadczeniem, że przydadzą się na takich, jak ja. Jeden z byków wyciąga paczkę naszych „Rarytasów”, wsadza jednego do gęby i zaczyna palić. Wszyscy są młodzi, dobrze zbudowani, pyski mają wypasione i czerstwe.

Skończyli wreszcie przeszukiwanie i zaczynają popychać mnie w kierunku czołgów. Jednocześnie zauważają tego rannego z przestrzeloną piętą. Leżał spokojnie i cicho, ale jak się do niego zbliżyli, usiadł i nie wiadomo skąd, wyciągnął litrową butelkę spirytusu i próbuje wręczyć ją szwabom. Nie znając języka wykrzykuje płaczącym głosem:

— Kamerad — spirytus — dobry, weź!

Jeden ze szwabów wykopuje mu butelkę z rąk i ryczy: *Los, aufstehen!*

Mówię więc, że jest ranny. Szwabowie ucieszyli się że *der spricht Deutsch* i każą mi pomóc wstać rannemu. Podchodzę, wieszam jego rękę sobie na szyi i dźwigamy się razem do góry. Idziemy w kierunku czołgów. Chłop skacze na jednej nodze, całym ciężarem ciała wisząc na mnie. Jesteśmy nieludzkę wyczerpani fizycznie i nerwowo, więc chwiejemy się, jak pijani. Podchodzi do nas jakiś szwabski sierżant z pistoletem w ręku. Podejmuje rannego z drugiej strony i skutecznie podtrzymując, prowadzi na miejsce zbiorcze. Po drodze wysłuchuje głośnych rozważań szwaba:

— *Leute, ihr seid ganz verrückt. Das ist doch sinnloser Widerstand, was ihr macht. Wir sind gut bewaffnet, wir haben alles zum Essen und zum Kämpfen. Ihr seid ohne Waffen und ohne Verpflegung...*

Tymczasem doszliśmy na miejsce. Spora grupa naszych stała uformowana w czwórki, z podniesionymi rękami. Obok, na ziemi ułożono kilkunastu rannych jęczących w mękach i bólu. Niektórzy barwili piasek wyciekającą krwią. Kilkunastu szwa-

bów zajętych było rewidowaniem doprowadzanych dalszych Polaków.

Ułożyliśmy naszego rannego obok pozostałych, a mnie przekazano w ręce owych obmacywaczy. Zdjęto mi pas, hełm i przetrząśnięto ponownie kieszenie, a następnie dołączono do kolumny ze złośliwymi uwagami:

Freiwilliger, wollte Krieg spielen...

Wśród kolumny stojącej z podniesionymi rękami, siwiała również głowa posiadacza żelaznego krzyża.

Po dwudziestu minutach ktoś ryknął *fertig* i otoczeni Niemcami z karabinami i automatami, ruszyliśmy.

Wkrótce wyszliśmy z lasu na pola. Droga prowadziła do jakiejś wioski przez którą prowadzono nas do kościoła.

Wśród zabudowań wioski kręciło się mnóstwo żołdactwa niemieckiego. Palili ogniska, piekli drób i inne mięsiwa, podśpiewywali i robili jakieś dowcipy na nasz widok.

W drzwiach chałup i przy płotkach stało sporo ludzi. Baby, dzieci i starcy.

Kiedy ich mijaliśmy, wykrzykiwali:

— Dobrześta zrobili, chłopcy, żeśta się podali...

— Rzung (rząd) nas sprzedał...

Kazimierz K.

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

Kronika kulturalna

Elegia na kłopoty z polszczyzną

Byłaby wielka szkoda gdyby zamarła dyskusja o różnych gatunkach polszczyzny, zapoczątkowana przez grupę londyńskiego „Merkuriusza”, która urządziła „rozmowę przy okrągłym stole” na ten temat z udziałem Bogdana Czaykowskiego, Adama Czerniawskiego, Jana Darowskiego, Zygmunta Ławrynowicza i Floriana Śmieji. Ten żarcik jest moim przyczynkiem do dyskusji i przypomnieniem, że przesuwanie się języka polskiego ze wschodu na zachód nie datuje się z czasów po II wojnie.

Że WIERSZYK nie to samo co garnka pokrywa,
Że DZIENNIK coś innego także czasem znaczy
niż zagroda dla bydła i że się nazywa
gdzieś tam DYRWAN ugorem, że trzeba inaczej

„PAC ZŁOWIŁ SIĘ DO PASTKI” napisać pod karą
złego stopnia — bo niby że szczur i pułapka,
nie wiedziałem i byłem, wyznaję, ofiarą
jabłka z tym „i” zdradzieckim, choć mówi się JABKA,

te JABKI. I zapomnieć SZWILPIKI, BRANGIELE
przyszło mi, bo to kluski — nie znają różnicy.
SKORYNKA — z tego śmieli się nauczyciele.
Poprawnie: skórka chleba. A skądże turzycy

miałem szukać w słownikach, jeżeli ta trawa
była na mokrych łąkach WIKSWĄ całe życie?
SZAKALUKI posłysz, to już im zabawa,
a proszę, czymże innym ogień rozpalicie?

ŚWIRONEK już nie dla nich, nie dla nich ODRYNA.
KARCZ NIE KARCZ w zimie jedziesz ale siadaj w SZŁAJE,
no, ROZWALNIE — ponieważ ktoś jęczeć zaczyna
że są to sanie bose, pośpiesznie dodają.

Co począc, jeśli z CZERNIC, BRUSZNIC i PIJANIC
robi się niewiadomych kolorów borówka
i z AJERU tatarak? Cała zrzeczność na nic
kiedy nie można użyć milego nam słówka.

Zamiast ODLIGI odwilż, wieprz zamiast KABANA,
i nagle SWICA w świecę, SYR w ser się przemienia.
ŚLIŻYKI, SYTA w dzbanku? Co to, proszę pana?
SPIŻARKA? — Błąd. SKIERDŹ? Nie ma takiego stworzenia.

Nie TOBIE ale ci, nie MNIE ale mi.
Ach, jakże mnie te różne „cię i mię” wstydziło!
To jakby gołym chodzić. Człowiek nieraz śni
że mu taką piosenkę każą śpiewać siłą:

„Hrabino, nie drażnij mię,
Nie będę całował cię”

a język się wykręca i w naszej wymowie
„nie drażnij mien, całował cień” wychodzi z tego.
Może dobrze ojczyznę mieć co jest jak zdrowie
choć nie takiemu sięgać po wawrzyn z polskiego.

W PANSKIE RENCE PERSWADUJA. — BY NAJMNIEJ. —
[I chlup!]

I zaraz KSIENŻYC SWIECI — krzyczą — KOCHAĆ CHCESIE.
JAR JAR JARY (to refren, skracam, bo brak stóp).
A DO KOCHANIA — chórem, chórem! — SERCE RWIESIE.

Aż francusko-angielskie upływają lata.
Prawdziwy galimatias. Drugi, czwarty kraj.
NOCNO PORO w marzenia MEFIEZ-VOUS się wplata
i mruczę: OH MY DARLING, DARLING CLEMENTINE.

HOW TO GET THERE do pra-pra (piastowego raj)?
Jednakże skłonny jestem przysiąc na TA SŁONCA
(słońce jest bowiem u nas żeńskiego rodzaju)
istnieje okoliczność, INDEED, łagodząca.

Że Litwę nawiedzają szczególne bakcyle
które poetów rodzą — rzecz jest dowiedziona.
Ale z polszczyzną u nich o tyle o ile
i zawsze jakby dystans i jakby zasłona.

Ani pan Piecyk Wiecha ani gąlczyńskiada.
Przed tym co rdzenne skłoń się, przybyszu, w pokorze,
Głos myślom twoim kłamię. Bardzo. Trudna rada.
A może tak jest lepiej? Abo ja wiem. Może.

Czesław MIŁOSZ

Puryzm językowy a przekład

Kochany Panie Jerzy,

Dziękuję za przysłanie listu dotyczącego tłumaczenia „Doktora Żiwago”. Chciałbym częściowo przynajmniej odpowiedzieć na stawiane memu tłumaczeniu zarzuty. Jest w nim niestety wiele błędów i przeoczeń, których mógłbym uniknąć pracując w innych warunkach. Brakło mi Lindego i Karłowicza; musiałem zbyt polegać na mojej zawodnej pamięci. Dla znanych Panu przyczyn nie miałem możliwości przejrzenia korekty. Z różnych stron zwracano mi już uwagę na omyłki, które, jeżeli „Doktor Żiwago” zostanie kiedyś wydany na nowo, postaram się naprawić. Nie do wszystkich jednak zarzucanych mi błędów przyznaję się.

Zacznę od wytykanych mi przez wielu rusycyzmów. Tłumacząc Flauberta lub pisząc o Kochanowskim czy Owidiuszu nie należy oczywiście używać rusycyzmów. Rzecz przedstawia się jednak inaczej, gdy chodzi o oddanie klimatu i żywiołu rosyjskiego. Nauczony doświadczeniami innych tłumaczy Pasternaka, starałem się wykorzystać istniejące w języku polskim możliwości zbliżenia się do oryginału. Usiłowałem mianowicie przypomnieć sobie, jak o wypadkach opisanych przez Pasternaka mówił między sobą zamieszkał w Rosji Polacy. Była to mowa pełna rusycyzmów, często niepoprawna, lecz przylegająca ściślej niż jakakolwiek inna do rzeczy i wypadków.

Taka koncepcja pisania o rzeczach i sprawach rosyjskich ma za sobą w literaturze polskiej pewną tradycję, wywodzącą się z samego Mickiewicza. Pod względem językowym Mickiewicz nie jest być może wzorem nieomylnym, mówił bowiem językiem szlachty litewsko-białoruskiej, jakim nie mówiono ani w Kongresówce ani w Małopolsce, tj. tam, gdzie powstał polski język literacki. Mickiewicz był wszakże jednym z najwyższych pisarzy polskich wszystkich czasów, i ustalone przezeń tradycje i obyczaje literackie posiadają niewątpliwą autorytet. Dla oddania żywiołu i klimatu rosyjskiego Mickiewicz nie cofał się przed bardzo śmiałymi rusycyzmami. Pisał np.:

*Choćby cesarz Moskalom kazał wstać, już dusza
Moskiewska tam raz pierwszy cesarza nie słusza.*

Pisząc o pomniku Piotra Wielkiego nazywa go „pamiętnikiem” itd. Tradycję tę znajdujemy u autorów późniejszych, zwłaszcza u tych, którzy wyróżniali się talentem słowotwórczym,

czyż, że wymienię tu np. „Dymitra Samozwańca” Nowaczyńskiego. Przykładem języka polskiego z dużą domieszką ukrajinizmów jest „Na wysokiej połoninie” Stanisława Vincenza. Mógłbym powołać się także na „Turystów z bocianich gniazd”, lecz nie chcę oddalać się od tematów wschodnich.

Przechodzę teraz do wyrazów i zwrotów, które zdaniem moich krytyków są niepoprawne, niezrozumiałe lub w języku polskim w ogóle nie istnieją.

Język polski nie miał szczęścia do swych cenzorów i naprawiaczy. Zbyt wielu ludzi w Polsce uważało się za wyłącznych posiadaczy prawdziwego języka, zapominając że język jest wielowarstwowym tworem zbiorowym, żywiołem płynnym, w którym nowe tematy rozmów i wspomnienia kilku ostatnich pokoleń fermentują i przetwarzają się nieustannie. Próby unormowania go drogą dekrétów ministerialnych wydały tylko ten skutek, że dotąd nie posiadamy żadnej wiarygodnej ortografii i musimy zaglądać do słowników, aby dowiedzieć się, jak się ten lub inny wyraz pisze. Francuski np. język literacki miał więcej szczęścia, bo od samego początku, tj. od założenia przez Richelieu Akademii Francuskiej, ustalono zasadę, że o poprawności rozstrzyga tylko *l'usage*. Układając swój słownik Akademii miała jedynie sprawdzić, czy dany wyraz jest istotnie używany. Kryteria te zachowały dotąd swą wagę, mimo że we Francji nie brakło również purystów. Powszechnie używana dziś przez piszących gramatyka francuska Grevisse'a nosi tytuł „Le bon usage”; nie uczy jak należy pisać, lecz mówi tylko o tym, jak piszą klasycy i obecni pisarze francuscy. Uderza w niej różnorodność wzorów językowych. Język literacki polski wymaga jeszcze większej tolerancji, bo tworzył się historycznie w kilku różnych zaborach i nigdy nie był monopolem jednego miasta. Literatura polska jest wielka i szeroka; różnie w Polsce pisano, i trudno obiektywnie ocenić, które wzory są lepsze lub gorsze.

Gdy chodzi o *l'usage*, łatwo się mylić. Jeden z moich krytyków sądzi np., że „dom stoi” nie jest wyrażeniem poprawnym, i że lepiej jest pisać „znajduje się”. Tymczasem ze wszystkich zwrotów, jakimi rozporządza piszący — „wznosi się”, „znajduje się”, „mieści się” — „stoi” jest najczęściej używany. W „Panu Tadeuszu” czytamy:

*Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany (1,25)
O dwa tysiące kroków zamek stał za domem (1,268)
Pędził ku karczmom, które stały przy kaplicy (IV,163)*

O zamkach mówi się zazwyczaj, że „wznoszą się”, Mickiewicz jednak sądził, że „stoi” jest wyrażeniem najprostszym, tłumaczącym się najjaśniej.

Tenże krytyk wytyka mi jako niepoprawne, przestarzałe lub niezrozumiałe takie wyrazy jak „kantor”, „stójkowy”, „pomylenie”, „szkoda eparchialna”, „karetnik”, „klesz-

czak", „szpindel", „kazionny", „przechytrzyć", „baszłyk" itd. Będę się o nie spierał.

„Kantor" nie jest przestarzały lub niezrozumiały. Przed 1939 w Warszawie było kilka „kantorów wymiany".

„Stójkowym" nazywano rosyjskiego policjanta. W Warszawie używano tego wyrazu także podczas dwudziestolecia. Nie był na pewno niezrozumiały, bo w utworach satyrycznych tego czasu pewien polski mąż stanu nosił piękne słowiańskie imię „Stójkowój", i wszyscy poznawali go od razu.

„Pomyłeńcy" i „opętańcy" figurują w języku literackim. Jest nawet powieść Władysława Zambrzyckiego pt. „Kwatera Bożych pomyłeńców".

„Szkoła eparchialna" zasługiwałaby na objaśnienie, gdyby charakter jej grał jakąś rolę w opowiadaniu, i gdyby nie chodziło tylko o luźną wzmiankę. Szkoła eparchialna była szkołą niższą, utrzymywaną przez rodzaj podokręgu cerkiewnego, mającego na swym czele duchownego z tytułem archireja. Samo greckie brzmienie tej nazwy sugeruje od razu myśl, że chodzi o szkołę cerkiewną.

„Karetnik" jest istotnie wyrazem przestarzałym, bo rzemieślnicy wyrabiający karety, o których mowa w powieści, znikli mniej więcej przed pół wiekiem, jak przedtem już znikli „płatnerze". Jeżeli mnie pamięć nie myli, ostatniego karetnika widziałem przed czterdziestu laty w Białymstoku. Wyraz ten tłumaczy się jednak jasno i nie wymaga komentarzy. Mówiąc o przedmiotach wyszłych dziś z użycia, nie podobna uniknąć wyrazów, które również wyszły z codziennego obiegu.

„Kleszczak" i „szpindel" nie są na pewno dobrymi ani ładnymi wyrazami. W tekście Pasternaka nie służą do oznaczenia jakichś określonych narzędzi, lecz tylko dla nadania *couleur locale* szpetnej kłótni w warsztacie kolejowym. Wziąłem je z najlepszego źródła, bo z słownika rosyjsko-polskiego wydanego w Moskwie w kilka lat po rewolucji.

Wyraz „kazionny" jest na pewno znany Polakom urodzonym w dawnym zaborze rosyjskim. W obu językach miał zawsze odcień ironiczny. Nie mogę tego sprawdzić, lecz przypuszczam, że można go znaleźć u pisarzy i publicystów, którzy pisali w zaborze rosyjskim w początku obecnego stulecia.

„Przechytrzyć", „chytrus", „chytronela" i inne pochodne od „chytry" należą do potocznego języka warszawskiego. Jeżeli pamięć mnie nie myli, słyszałem je m.in. w Małej Ziemiańskiej z ust Antoniego Słonimskiego. W Wilnie mówiono „chytrenki". Wyrazy te tłumaczą się jasno i nie widzę powodu skazywania ich na banicję.

„Baszłyk" pochodzi z tatarskiego i oznacza nakrycie głowy. Rzecz i wyraz nie są w Polsce nieznane, bo chodząc w Warszawie do szkoły w 1903-1905 widziałem wielu kolegów noszących w mroźne dni baszłyki.

Nie jestem też pewien, czy w tłumaczeniu „Doktora Ziawago" nie należy liczyć wcale na domyślność czytelników.

W tekście rosyjskim jest sporo wyrazów, które można znaleźć tylko u Dahla, lecz które nie figurują w innych słownikach rosyjskich i nie są zrozumiałe dla przeciętnego Rosjanina. Wiele z nich służy do oddania barwy lokalnej Uralu i Syberii, jak powtarzający się wielokrotnie „szichan" — wzgórze, wzniesienie. Liczbę ich zredukowałem do kilku wyrazów rzadziej używanych. Mam wrażenie, że pozostawienie ich odpowiada charakterowi powieści.

Kryterium zrozumiałości, na które słusznie zresztą powołują się moi krytycy, nie jest wcale sprawą prostą. Opowieść Pasternaka toczy się w odległych czasach i miejscach, obrazy jego są pełne zawitych metafor, zasługujących na oddzielne studium, wiele też stron „Doktora Ziawago" wymaga od czytelnika cierpliwości i namysłu. Nie wydaje mi się, aby moje tłumaczenie było mniej zrozumiałe od oryginału. Trudności tego rodzaju następcza wiele tekstów klasycznych. Rabelais, którego nie można dokładnie zrozumieć bez zaglądania do słownika greckiego, nie był dla swych współczesnych zrozumialszy niż James Joyce dla nas. Nikt nie zarzucał niezrozumiałości Słowackiemu. Czytając jednak przed kilkunastu laty „Beniowskiego" z grupą studentów sławistów, przekonałem się, że dokładne zrozumienie tego tekstu jest równie trudne jak czytanie w oryginale Claudiusza Claudianusa. Lecz jakie wnioski wyciągną stąd moi krytycy?

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączy

Paweł HOSTOWIEC

“Wielka niedola" języka polskiego we Francji

Obliczenia ilościowe Polaków i Francuzów pochodzenia polskiego osiadłych we Francji różnią się w zależności od autorów takich, często dość prymitywnych, statystyk. Rzecz jasna, że Francuzi okazują skłonność do zmniejszania liczby obywateli pochodzenia polskiego; przedstawia się ona o wiele poważniej w obliczeniach z naszej strony. W każdym bądź razie mamy do czynienia z kilku setkami tysięcy osób o pochodzeniu bezspornie polskim, które bądź to przyjęły obywatelstwo francuskie w wyniku emigracji, bądź też uzyskały to prawo przez urodzenie na ziemi francuskiej z rodziców Polaków lub wresz-

cie, w znacznie mniejszym stopniu, z małżeństw mieszanych. W wypadkach powyższych utrzymanie łączności z językiem polskim jest rzeczą, która nie powinna natrafiać na żadne dyskryminacje.

Pokażna ilość tych obywateli zna Polskę z krótkich pobytów w kraju, jeśli idzie np. o starsze pokolenie, zrodzone w Westfalii; młodsze roczniki pochodzenia francuskiego, o ile ostatnio nie odwiedzały rodzin, są związane z polskością jedynie przez tradycje i środowisko rodzinne. Nie kwestionując zresztą ich poczucia narodowego (niekiedy bardzo silnego), trzeba niestety stwierdzić, że język nie jest najsilniejszą więzią, która łączy ich ze „starym krajem” i jego literaturą.

W okresie między dwiema wojnami nauczanie języka polskiego w szkołach francuskich niższych zależało przeważnie od dobrej woli dyrektora kopalni lub fabryki zatrudniającego Polaków. Nasze władze konsularne opłacały nauczycielstwo i sprawowały nadzór razem z czynnikami zależnymi od ministerstwa W.R. i O.P., lecz uczenie języka polskiego było zawsze „kopcuszką”. Najczęściej odbywało się we czwartki, gdy inne dzieci nie miały zajęć, lub w godzinach najmniej dogodnych, nauczyciele byli uważani za niższych kwalifikacjami *moniteurs* lub traktowani jako obcy wtręt, zaledwie tolerowany w szkołach. Z chwilą cofnięcia uznania rządowi w Londynie sprawa jeszcze pogorszyła się. Część nauczycieli objęła placówki finansowane przez Warszawę, część kontynuowała pracę, opłacaną z tzw. funduszy społecznych, tj. będących resztkami dotacji z Londynu a zasilanych w pewnym stopniu zbiórkami na oświatę. W tych warunkach trudno było mówić o wzmocnieniu akcji w społeczeństwie rozbitym już przez trzy orientacje polityczne: Londyn, Warszawa i stosunkowo liczna we Francji grupa Mikołajczyka, wywodząca swą siłę z „Narodowca”.

Od dziesiątka lat nauczanie oficjalne skupia się w trzech ośrodkach. Są to: Niezależny Związek Nauczycielstwa Polskiego, opłacany z funduszy francuskich, i nauczycielstwo finansowane, za zgodą gospodarzy, przez Warszawę; ponadto działają kursy języka polskiego, zazwyczaj czwartkowe, a sprawujące tę ciężką i odpowiedzialną misję z ramienia instytucji społecznych i towarzystw kulturalnych emigracji. Nauczanie odbywa się w godzinach niedogodnych, niczym przedmiot nadobowiązkowy, co w połączeniu z „kompleksem niższości kulturalnej”, inną wielką bolączką społeczeństwa polskiego we Francji, sprawia, że, uważane za rodzaj „zła koniecznego” przez dzieci (i Francję) obejmuje zaledwie znikomą ilość uprawniających. A idzie o tysiące uczniów.

Natomiast owe dziesiątki tysięcy od dawna osiadłych Polaków lub Francuzów polskiego pochodzenia, zajęte wielką czy małą „polityką”, nie zdołały dotychczas wywalczyć innego przywileju: nauczania języka polskiego na szczeblu średnim. Z wyjątkiem dwóch znanych mi *prób* wprowadzenia tego przedmiotu do szkół średnich, nie uczy się nigdzie języka pol-

skiego w liceach czy w *collèges*. Przy o wiele słabszej liczbie (i wymierającej) emigracji rosyjskiej niemal w każdej szkole średniej we Francji istnieje dziś nauczyciel tego języka, często Rosjanin zrodzony na emigracji lecz nierzadko już i rdzenny Francuz. Nauka hiszpańskiego lub portugalskiego przybiera, ze względu na plany ekspansji kulturalnej w Ameryce Południowej, rozmiary przekraczające istotne zapotrzebowanie. W stosunku do uczniów pochodzenia polskiego, których najczęściej gorliwi (a tych nigdy nie brak!) namawiają, by uczyli się języka rosyjskiego, nikt nie przewiduje zmiany stanu na lepsze, głównie z braku wymagań (nie myślących o takich możliwościach) „zainteresowanych”.

W zasadzie uczeń pochodzenia polskiego może zdawać ten przedmiot, o ile nie przebywa we Francji dłużej niż 5 lat, jako tzw. „język pierwszy lub drugi”: w pewnym typie szkół (*moderne*), jako język drugi lub jedynie nadobowiązkowy bez względu na okres pobytu. W rezultacie, wobec skomplikowanej polityki szkolnej, podlegających ostatnio częstym zmianom przepisów maturalnych i niesłuchanego różnicowania typów egzaminów, zarządzenia te znane są na ogół jedynie urzędnikom pracującym w sekretariatach dla spraw matury przy uniwersytetach (jak wiadomo świadectwo dojrzałości jest we Francji pierwszym egzaminem pod kontrolą uniwersytetu; stanowi próg szkolnictwa wyższego, a nie zakończenie cyklu średniego). W tych warunkach większość naszego społeczeństwa emigracyjnego nie orientuje się w istniejących możliwościach wyboru polskiego przy maturze oraz w fakcie, że przez odpowiednie naciski można by powiększyć owe uprawnienia.

I oto, przypuśćmy, René Konopka decyduje się wybrać polski przy maturze.

Od szeregu lat egzaminuję takich kandydatów. Jeżeli rodzice ich władają poprawnie polszczyzną, zastępują w pewnej mierze ów brak nauczyciela w szkolnictwie średnim; niestety przeważnie nie posiadają oni znajomości języka literackiego. Bardzo często ma się do czynienia z uczniami mówiącymi i piszącymi „mo” zamiast ma, „trza” zam. trzeba, „chyttry na pieniądze” zam. chciwy itp. O ile z powodów politycznych zezwala się we Francji na zdawanie przy maturze nie tylko języka arabskiego, lecz również tzw. „arabskiego dialektalnego”, o tyle my sami (nie mówiąc już o władzach francuskich) nie możemy tolerować polszczyzny gwarowej kosztem literackiej.

Wobec tego kandydat, którego rodzice nie znają choćby w minimalnym stopniu polskiego literackiego, nie mający pojęcia o gramatyce i ortografii, ucząc się w szkole średniej angielskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, włoskiego itp., wybiera jeden z tych języków i rezygnuje z prób zdawania ze słabo znanej mu mowy rodziców. Według moich obliczeń, prowadzonych od lat w obrębie jednego tylko uniwersytetu, stosunek uczniów odważających się poddać egzaminowi z polskiego do

liczby kandydatów o nazwiskach niewątpliwie polskich dopuszczonych do matury ustnej, a rezygnujących z góry z polskiego, przedstawia się jak 1:10, w najlepszym wypadku 1:7. Idzie tu corocznie o kilka setek kandydatów „odpisanych od polskości”.

A co dopiero mówić o poziomie odpowiedzi. Przy najprostszych pytaniach dotyczących literatury przerażenie ogarnia egzaminatora; za brak wiadomości z tego zakresu należy obwiniać rodziców kandydatów lub ich przygodnych nauczycieli. W olbrzymiej większości wypadków jedynie nazwiska Mickiewicza (czasem Słowackiego) i Sienkiewicza są im znane. Kochanowski, Prus, Orzeszkowa, Reymont, Żeromski itp. stanowią jedynie „dźwięk pusty”. Najczęściej cytowaną powieścią jest „Quo vadis” (niestety znane przeważnie z przeróbek filmowych); jednemu z egzaminatorów zdarzyło się usłyszeć, że najpiękniejszą postacią w tej powieści była... Fabiola! Bardzo często arcydziełem literatury polskiej jest... „Dewajtis”. Do dziś dnia każdy z egzaminatorów ocenia według swego uznania i nie ma żadnego programu obowiązującego — jak to istnieje w odniesieniu do wszystkich innych języków.

Pozostaje szkolnictwo wyższe. Na dwie dziesiątki uniwersytetów istnieją — o ile mi wiadomo — lektoraty języka polskiego w następujących ośrodkach: Aix-en-Provence, Bordeaux, Grenoble, Lille, Lyon, Nancy, Paryż (do niedawna jedynie w Szkole języków wschodnich *Ecoles des Langues Orientales Vivantes* od przyszłego roku szkolnego również i na Sorbonie), Strassburg i Tuluza. Tych dziewięć placówek jest utrzymywanych przeważnie przez władze francuskie; mniejsza ich ilość opłacana jest przez Polskę. Działają one z dynamizmem, zależnym od stanu zdrowia i gorliwości lektorów (z małymi wyjątkami raczej w pobliżu 50-ki) i przygotowują do szeregu egzaminów. Uczniowie, często ożywieni najlepszymi chęciami, rekrutują się wśród: 1) Polaków rdzennego pochodzenia, 2) mniejszości polskich, 3) pochodzenia mieszanego przeważnie polsko-francuskiego i 4) rdzennych Francuzów. Wszyscy borykają się z dwiema trudnościami. O ile uczniowie studiujący inne języki przynoszą pewną minimalną znajomość gramatyki i literatury, nabytą w ciągu kilku lat szkoły średniej, amatorzy polskiego zaczynają prawie od zera. W ciągu trzech lat, przewidzianych na studia wyższe, muszą dokonać wielkiego wysiłku, by zadośćuczynić wymaganiom. Poza tym praktyczne korzyści wynikające z posiadania dyplomu, upoważniającego do uczenia polskiego, równają się mniej więcej możliwościom zatrudnienia Polaka studiującego chiński w Warszawie w okresie 20-lecia. W rezultacie przygotowują te egzaminy jedynie uczniowie studiujący ponadto inne przedmioty, a więc na marginesie właściwych zajęć. Więcej pilności okazują na ogół uczniowie mający początkowo większe trudności (Ukraińcy lub z małżeństw polsko-francuskich).

Teoretycznie istnieje od r. 1939 tzw. agregacja z języka polskiego (egzamin konkursowy zapewniający stałe zatrudnienie w szkolnictwie średnim, a nawet wyższym). Ponieważ od 20 lat nie zaszła nigdy potrzeba obsadzenia takiego stanowiska, ów niewątpliwý sukces polityki oświatowej Polski sprzed września pozostał zarządzeniem na papierze i nikt się nie kwapi (a wielu przeszkadzałoby usilnie!) by wszedł w życie. Polepszenie przedstawionego stanu rzeczy zależy w dużej mierze od zdecydowanej postawy społeczeństwa emigracyjnego, które ze sprawy nauczania polskiego nie tylko nie robi przedmiotu swych zabiegów, lecz nawet zdaje się nie interesować się zbyt podobnymi możliwościami.

Od wielu lat staram się śledzić artykuły dotyczące nauczania języka polskiego w naszych pismach ukazujących się we Francji. Dzieje się źle i nie widać poprawy. Jedyna polska szkoła w Les Ageux walczy z trudnościami nie tylko materialnymi, lecz przede wszystkim z obojętnością ogółu, co odbija się na frekwencji. Poza jednym artykułem w „Wiadomościach Związku Polskich Federalistów”, który zachęcał do wybierania polskiego przy maturze, i kącikami oświatowymi pism przeznaczonych dla tzw. emigracji zarobkowej (najczęściej dotyczą jedynie podstaw poprawnego pisania i są czytane prawie wyłącznie przez starsze pokolenie) — problem jakby nie istniał.

Przy sposobności licznych manifestacji narodowych lubimy, jak mawiają Francuzi, *se gargariser*, przepłukiwać gardło pięknymi mowami o polskości. Natomiast najskuteczniejsza metoda zachowania i odzyskania poczucia narodowego przez znajomość języka ojców wydaje się nieznaną naszym działaczom i przywódcom politycznym.

Groby polskie we Francji stanowią równocześnie przedmiot, chciałoby się powiedzieć szlachetnego — gdyby nie chodziło o chęć wyzyskania zmarłych dla celów politycznych — zainteresowania ze strony emigracji i władz krajowych. W o wiele ważniejszej dla nas sprawie dotyczącej przyszłości: jak będzie mówił, a zatem i czuł, Polak urodzony we Francji, nikt z trzech ośrodków mających coś do powiedzenia: gospodarza, emigracji i przedstawicieli Polski z Warszawy nie okazuje chęci, by wziąć na swe barki ciężar inicjatywy. A stan ów trwa już 15 lat.

W rezultacie etapem pierwszym jest coraz większa nieznajomość wśród emigracji spraw dotyczących Polski, następnym „fałszywy wstyd”, zwłaszcza w porównaniu z atrakcyjnością kultury francuskiej; stąd krok jedynie do wrogiego nastawienia wobec „starego kraju” u ludzi, którzy odeszli od polskości, bo zrobiono za mało, by ukazać jej inne, wielkie wartości duchowe.

Znamy już szereg wypadków, że Francuzi są autorami poważnych, odkrywczych rozpraw naukowych z zakresu literatury polskiej. Do dziś dnia nie doczekaliśmy się takiego dzieła od przedstawicieli pokolenia zrodzonego we Francji. Co gorsze

zachodzi obawa, że jeżeli ów stan potrwa dłużej, nawet najbardziej życzliwi Francuzi przestaną brać poważnie tradycyjne wartości naszego języka i literatury, zupełnie obojętne dla pokolenia „nie zarażonego polskością”, zaczeplonego przypadkowo między dwoma kulturami, lecz nie współdziałającego z żadną.

Najbardziej godne uznania wysiłki poszczególnych jednostek, by w *własnym zakresie* i prawie bez środków, rozwiązać ów problem są skazane z góry na niepowodzenie, jeśli nie zdołamy się na obmyślenie planowej akcji.

Odzywają się niekiedy głosy, że gospodarzom, tj. Francji, nie zależy na podtrzymywaniu polskości wśród nowych obywateli. Są oczywiście przedstawiciele takich poglądów między biurokratami, ale nie brak na szczęście ludzi rozumiejących, że obcokrajowiec zmieniający obywatelstwo z pobudek materialnych i nie utrzymujący łączności z tradycją ojczystą jest wątpliwym nabytkiem *ideowym*.

Emigracja nasza dała niejednokrotnie dowody lojalności wobec kraju, który stał się jej drugą ojczyzną, cele polityczne Francji i Polski — jak dotychczas — były zbliżone. Czas najwyższy, wychodząc z tych założeń, pomyśleć w interesie obu krajów o realizacji nauczania języka polskiego na wszystkich szczeblach i w rozmiarach odpowiadających naszemu udziałowi w życiu francuskim.

Zygmunt MARKIEWICZ

Polskie wystawy w Paryżu

Staraniem Aleksandra Henisza, nieustrudzonego łącznika między polską i paryską awangardą, a raczej ściślej między polską abstrakcją organiczną i wyrosłym z nadrealizmu abstrakcyjnym liryzmem grupy „Phases”, odbyła się w czerwcu w salach przyległych do kina Ranelagh wystawa trzech artystów z lubelskiej grupy „Zamek”: Borowskiego, Ziemińskiego i Sasa. Henisz poświęcił im zresztą sporo miejsca w dużym artykule o młodej polskiej abstrakcji, opublikowanym na tydzień przed wystawą w „France-Observateur”.

Dziwną ma nieraz siłę *genius loci*: w „Zamku” miło jest widzieć przedłużenie lubelskiej „Kameny”. Obrazy Ziemińskiego, o subtelnych kolorach i połysku emalii, wydają się próbą transmutacji bagiennych powierzchni w drogocenną materię. Odnajduję w nich lilie i akanty z młodej polskiej grafiki — nowy wkład do „rehabilitacji secesji”. Borowski jest jedynym bodaj młodym polskim malarzem, który chciałby zmusić abstrak-

cyjny język plastyczny do wyrażenia historycznej i kulturalnej symboliki. Jego „Uczta Nabuchodonozora” czy „Ukrzyżowanie” są niezależnym stylistycznie odpowiednikiem wielkich „katolicko-rycerskich” kompozycji Mathieu. „Przedmioty” Sasa są czarnymi teatrykami, w których niewidzialne marionetki odgrywają dość niepokojące przedstawienia.

Pisząc o polskim sezonie plastycznym w Paryżu w ostatnim numerze „Kultury”, wspominałem że istnieją zbieżności między sytuacją młodego malarstwa polskiego i młodego malarstwa hiszpańskiego na rynku międzynarodowym. Tadeusz Fuss-Kaden, który pod pseudonimem „Tadé” wystawił swoje obrazy w czerwcu w Galerie Edouard Loeb, jest Polakiem zamieszkałym od kilku lat na Majorce. Dopatrywać się w jego sztuce elementów „hiszpańskich” i „polskich” można oczywiście jedynie na pół żartobliwie. Z Hiszpanami łączy go skłonność do zacierania granicy pomiędzy malarstwem i murem, skalą, wykopaliskiem. Czasami zachodzi pytanie czy mamy tu jeszcze do czynienia z „obrazem” czy też z *trompe l'oeil* wycinków materialnej rzeczywistości — tej oczywiście, która najściślej przylega do współczesnej wrażliwości plastycznej: wycinków starych, zjedzonych morską solą murów, grot w których budził się przedhistoryczny człowiek, na pół spalonych, na pół zżartych rdzą fragmentów, pozostałych po dziwnych kataklizmach. Tadé inkrustuje rzeczywistość niektóre swe obrazy spalonym drzewem, żelazną blachą, która jest już samą rdzą. Bezpośredni urok tych materii jest już duży; Tadé operuje nimi po mistrzowsku. Ale wolę może te jego obrazy, w których wypowiada się swobodniej liryczna wyobraźnia artysty (czy ośmielę się nazwać to „elementem polskim”?). Mamy tu do czynienia z niezwykle zdolnym malarzem, który dziesięć lat temu był jeszcze zdecydowanie figuratywny. Jego przejście do abstrakcji poszło szlakiem nadrealistów (w najszerszym ujęciu): etapy tego przejścia znaczą nazwiska takie jak Klee czy Miro. Na niektórych obrazach Tadé odnajdujemy jeszcze element ludzkiej postaci, choć sprowadzonej kilkoma kreskami do schematycznej, hieroglificznej formy. Cieszy mnie w nich — na bardzo wyrafinowanym tle formalnym — tak rzadki dziś w sztuce element humoru. W późniejszych dziełach — kreski sublimują się jeszcze bardziej, ale pozostaje w tych „grafitti” ciekawy element magiczny.

Letni *acrochage* Galerii Lambert pozwala na pewne podsumowanie jej półtorarocznej działalności. Jest oczywiście Dominik, którego wystawa tak entuzjastycznie przyjęta przez paryską prasę w maju 1959, pozwoliła Galerii Lambert z miejsca osiągnąć pewien prestiż. Jest Japończyk Maeda ze swymi słońcami i nocami, które ruch wirowy czerpią z buddyjskich „mandali”. Jest młody Jugosłowianin Stancic, u którego w perspektywach bliskich metafizycznego De Chirico rozgrywają się ceremonie miłości i śmierci. Są gwasze Lebensteina: Galeria Lambert wysłała mu zaproszenie na wystawę na pół roku przed triumfem na paryskiej Biennale. Jest Indianin Souza (z portugalskiej enklawy Goa) ze swą kanciąstą wizją tradycyjnego

hinduskiego erotyzmu i jezuickiego baroku kolonialnego. Są wrażliwe gwasze Boliwijczyka Quirogi w tradycji Bérarda i Czeliszczewa. Jest Zablocki, jeden z „siedmiu młodych malarzy polskich”, których Galeria Lambert wystawiła na marginesie paryskiej Biennale. Obrazy Wandy Paklikowskiej-Winnickiej: jej ostatnia wystawa w Galerii Lambert miała równie dobre recenzje w „Lettres Françaises” jak w „New York Herald Tribune”. Gwasze Konoka — świadectwo żywotności sztuki na Węgrzech w r. 1960. Subtelne gwasze Pągowskiej, kolorowe arabeski Ignacego Witza. Od *action painting* Dominika, poprzez organiczną abstrakcję Lebensteina czy Winnickiej, magiczny nadrealizm Stancica, neoromantyzm Quirogi, aż po realistyczny wyraz Souzy czy Konoka — o wyborze Galerii Lambert nie decyduje styl malarstwa, ale raczej wiek malarza, siła indywidualnego wyrazu.

Polska, Jugosławia, Węgry, Japonia, Australia, Boliwia, Indie. W przyszłym sezonie Nigeria, Martynika, Hiszpania, Tunezja. Przeciętny wiek malarzy — bliżej trzydziestki niż czterdziestki. Na małą skalę, bardziej może od innych paryskich galerii, Galeria Lambert świadczy o kurczeniu się świata, a zarazem o sile promieniowania sztuki żywej.

K. A. J.

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Książki

Polska w drugiej wojnie światowej

W siedem lat po wyjściu pierwszego, ukazuje się trzeci tom „Najnowszej Historii Politycznej Polski” w opracowaniu Władysława Pobóg-Malinowskiego.

Według pierwotnych zamysłów autora „Najnowsza Historia Polityczna Polski” miała się składać z dwóch tomów: pierwszego, obejmującego okres lat 1864-1918 i drugiego, zawierającego dzieje dwudziestu lat niepodległego państwa polskiego i sześciu lat sprawy polskiej w okresie drugiej wojny światowej.

Szczególne warunki emigracyjne sprawiły, że autor, mieszkający we Francji, opracowywał pierwotny plan książki bez znajomości archiwów polskich, znajdujących się w Anglii. Dopiero wyniki subskrypcji miały mu dostarczyć środków na podróże i studia poza miejscem jego stałego pobytu. Bogactwo odkrytych przez autora, a prawie przez nikogo jeszcze nietkniętych, polskich źródeł archiwalnych oraz obfitość materiału relacyjnego, wywołanego dotarciem do żyjących, wybitniejszych uczestników wydarzeń, sprawiły, że rasowy badacz, jakim zawsze był Wł. Pobóg-Malinowski, uległ pokusie ujawnienia jak największej ilości szczegółów, z niewątpliwym uszczerbkiem syntezy. Oprócz instynktu badacza, odegrało tu pewną rolę swoiście pojęte poczucie odpowiedzialności. Z obawy, że wiele lat upłynie zanim ktoś podejmie się znowu podobnie syzyfowego wysiłku przebiccia się przez kopalnię istniejących materiałów archiwalnych i relacyjnych, Pobóg-Malinowski uważał za swój obowiązek nie tylko posłużyć się nimi dla udokumentowania swej pracy, ale udostępnić je w możliwie szerokim zakresie dla pisarzy, którym wypadnie po nim pracować nad najnowszymi dziejami Polski. W wykonaniu tego zamiaru dzieło zaczęło się rozrastać i autor postanowił rozbić drugi tom na dwie części. Opisałszy w pierwszej części, na 665 stronach, dzieje dwudziestu lat niepodległości, był przekonany, że druga

część, poświęcona kampanii wrześniowej i udziałowi Polski w drugiej wojnie światowej, nie przekroczy trzystukilku-dziesięciu stron. Bogactwo odkrywanych w toku pracy materiałów sprawiło, że zamiast drugiej części tomu drugiego powstał olbrzymi tom trzeci o 910 stronach tekstu.

Dysponując niewystarczającymi w stosunku do rozrastających się rozmiarów dzieła funduszami, autor był zmuszony do zastosowania drakońskiej oszczędności miejsca. Osiągnął ją w pierwszym rzędzie przez zastosowanie petitu do odsyłaczy, które rozbudował w takich rozmiarach, że w rezultacie książka składa się z dwóch równoległych tekstów: głównego potoczystego i gładkiego (co chwila jednak przerywanego cyframi odsyłaczy) drukowanego garmentem i pomocniczego, zawierającego najczęściej wyjątki z dokumentów lub relacji, drukowanego petitem. Zastosowanie tej metody czyni lekturę książki niesłychanie męczącą i wymaga od czytelnika stałego napięcia uwagi i wysiłku, aby się nie zgubić w labiryncie dygresji i szczegółów i nie ulec zalewowi przez materiał pomocniczy lub uzupełniający. Ponieważ jednak nawet tak nadmiernie rozwinięta obfitość odsyłaczy nie wystarczyła dla przytoczenia powoływanych dokumentów, autor najeżył tekst główny cytatai, mnożąc w nieprawdopodobny sposób cudzy-słowy. W rezultacie książka nie stała się zbiorem dokumentów, a straciła na potoczystości przejrzystości.

Drugi zabieg oszczędnościowy wyraził się — wbrew przestrogom zawartym w ogłoszonej na łamach „Kultury” mojej recenzji o drugim tomie — w ograniczeniu do najniezbędniejszego minimum ilości rozdziałów. Moim zdaniem autor tym razem zeszedł grubo poniżej dopuszczalnego minimum. Trzeci tom liczy 910 stron i składa się z 9 rozdziałów. Statystycznie zatem wypada na jeden rozdział 101 stron.

Każdy z tych rozdziałów można by wydać jako oddzielną książkę, zawierającą własną periodyzację. W rezultacie nie mogąc rozwiązać podziału na rozdziały datami, autor zastosował tytuły brzmiące zbyt ogólnikowo, aby mogły służyć czytelnikowi jako drogowskaz. Ażeby sobie zdać sprawę z niewystarczalności i nieprzejrzystości zastosowanej przez autora periodyzacji, wystarczy przytoczyć spis rozdziałów. Oto one: „Katastrofa wrześniowa” — 82 strony, „Na ziemi cudzej i własnej” — 67 stron, „W kręgu Katynia” — 65 stron, „W moskiewskiej sieci” — 86 stron, „Zmiany w Londynie, Podziemie w kraju” — 118 stron, „Teheran” — 60 stron, „Ziemie wschodnie, „Burza” — 89 stron, „Powstanie warszawskie” — 177 stron, „Jałta” — 162 strony.

Książka — podobnie jak poprzednie tomy — nie zawiera (również ze względów oszczędnościowych) skorowidza nazwisk i nazw miejscowości, czytelnik zmuszony będzie odcyfrowywać z wielkim wysiłkiem znaczenie nazw poszczególnych rozdziałów bez pewności, że odnajdzie tą drogą opis interesującego go zagadnienia. Dwa przykłady. Brak oddzielnego roz-

działu poświęconego polskim siłom zbrojnym na Zachodzie, sprawia, że opis walk II Korpusu pod Monte Cassino (nota bene — ograniczony do jednej i pół strony) znajduje się w rozdziale pt. „Ziemie Wschodnie, „Burza”. Konia z rzędem temu, kto się tego domysli, dopóki nie przeczyta całej książki. Wzmianka o „Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość” we Francji znajduje się w rozdziale pt. „Jałta”, pomimo, że ani chronologicznie, ani tematowo nie ma z tym okresem nic wspólnego.

Z przytoczonego wyżej spisu nazw rozdziałów zdaje się przeziierać idea przewodnia książki. Z wyjątkiem dwóch pierwszych, wszystkie rozdziały zawierają w swych nazwach symbole odnoszące się do sytuacji w kraju i narastającego bez przerwy zagrożenia sowieckiego. Po zakończeniu lektury odnosi się wrażenie, że dążeniem autora było wykazanie dominującej nad losami Polski roli czynnika sowieckiego i to już od chwili klęski wrześniowej. Z zarysowanego przezeń obrazu wydarzeń zdaje się wynikać, że Niemcy stwarzali nową sytuację polityczną w polskim obszarze Europy tylko w sierpniu i wrześniu 1939 r. W miesiącach i kilku latach następnych panować będą jeszcze na tym obszarze wojskowo, siłą fizyczną, tracąc jednak na rzecz Sowietów rolę ośrodka dyspozycji politycznej. Od chwili gdy sojusznicy angielscy i francuscy odmawiają jesienią 1939 gen. Sikorskiemu potępienia zaboru wschodniej połowy Polski przez Rosję (w wyniku paktu Mołotow— Ribbentrop), środek ciężkości sprawy polskiej zdaje się być przesunięty do Moskwy, a losy Rzeczypospolitej rozstrzygnięte. W tym ujęciu cała działalność polskich państwowych władz legalnych zagranicą w ciągu drugiej wojny światowej, łącznie z chlubnym wysiłkiem wojennym zdaje się mieć znaczenie uboczne. Podziemie, mimo bezgranicznych poświęceń, przypomina szamotanie się w pułapce bez wyjścia. Nad Polską, jak zresztą nad wielkim obszarem Europy Środkowo Wschodniej, unosi się coraz bardziej potężniejszy cień Rosji Sowieckiej. To ona stwarza wydarzenia, lekceważąc i niedbale odsuwając na bok słabiutkie zagrody argumentacji prawniczej lub politycznej, nieudolnie i bez przekonania wznoszone przez dyplomację Churchilla, a w drugim okresie wojny także przez Roosevelta.

Wobec ciężenia Rosji Sowieckiej nad historią drugiej wojny światowej i wspartej na niej nowej sytuacji świata, wszystko w perspektywie stworzonej przez Pobóg-Malinowskiego traci na znaczeniu, nawet fakty, do których on sam, czy to jako historyk, czy jako publicysta o określonym obliczu politycznym, przywiązuje większą czy mniejszą wagę. Trzeci tom „Najnowszej Historii Polski” w wyższym stopniu niż tomy poprzednie zajmuje się sprawami personalnymi oraz walkami i porachunkami partyjno-politycznymi, czasem tylko noszącymi znamiona starcia koncepcyjnego. W perspektywie, którą autor stworzył przewodem faktograficznym swego dzieła, wszystko to nie ma wielkiego znaczenia. Czytelnik nie może

oprzeć się wrażeniu, że gdyby nawet gen. Sikorski uniknął zryzków i wahań w swej drodze politycznej i gdyby Mikołajczyk okazał w swych rokowaniach tyle wytrzymałości i woli oporu, na ile się zdobył w okresie Teheranu, to bieg wypadków — skoro mocarstwa anglosaskie traktowały problem polski jako drugorzędny, a przywiązywały zasadnicze znaczenie do jednania sobie Rosji — potoczyłby się i tak według woli Kremla, w najlepszym wypadku — z nieznacznymi odchyleniami.

Ograniczając do najniezbędniejszego minimum analizę książki, trzeba zacząć od stwierdzenia, że opis Kampanii Wrześniowej byłby bardziej na swoim miejscu w zakończeniu tomu drugiego, katastrofa wojenna bowiem była akordem końcowym dwudziestoletniego okresu Niepodległości. Szkoda, że do tego samego rozdziału włączył autor opis ewakuacji i tworzenia na obczyźnie nowego wojska i nowych władz Rzeczypospolitej. Poczynania te odbywały się już w historycznie nowym okresie Polski podbitej. Szkoda, że opis Kampanii Wrześniowej nie został poprzedzony, lub że drugi tom nie został zakończony, podsumowaniem dorobku dwudziestolecia we wszystkich dziedzinach z gospodarczą, oświatową i kulturalną włącznie. W trzytomowym dziele, liczącym blisko 2.000 stron powinno się być znaleźć na to miejsce.

Pobóg-Malinowski tak ściśle stara się utrzymać w roli historyka polityki, że wojskową stronę Kampanii Wrześniowej traktuje tylko szkicowo, nie mogąc jej pominąć. Czytelnik o przygotowaniu wojskowym mógłby postawić zarzut powierzchownego potraktowania tego tematu. W zatrzymaniu rządu RP i N. Wodza w Rumunii, dopatruje się autor wyniku spisku, zawiązanego przez Polaków, jakoby korzystających z poparcia sojuszników zachodnich. Zarzutu tego nie potrafił udowodnić wiarygodnymi i mogącymi rozstrzygnąć sprawę materiałami. Nie potrzeba było polskiego spisku, nawet jeżeli istniał, aby powstrzymać Rumunię, we wrześniu 1939 r. całkowicie politycznie i wojskowo izolowaną, od sprzeniewierzenia się literze i duchowi jej sojuszu z Polską.

Włączywszy raczej niefortunnie opis utworzenia pierwszego rządu emigracyjnego do rozdziału o Kampanii Wrześniowej, autor rozpoczyna rozdział pt. „Na ziemi cudzej i własnej” chwilą wydostania się gen. Sosnkowskiego z Polski (choć wydarzenie to nie zaczynało nowego okresu historycznego) a doprowadza go do klęski Francji i ewakuacji do Anglii resztek nowoutworzonej Armii Polskiej. Rozdział wypełniony jest opisem stosunków na emigracji, położeniem Polski pod okupacjami: niemiecką, sowiecką i litewską, początków podziemia w Polsce, organizacji Polski Sił Zbrojnych we Francji i ich udziałowi w kampanii norweskiej i francuskiej. Każde z tych zagadnień zasługiwałoby na ujęcie w osobnym rozdziale. Zarzut zmarnowania nowego wojska w katastrofie francuskiej, przypisywany krótkowzroczności gen. Sikorskiego, znajduje tylko częściowe uzasadnienie, w odniesieniu do Brygady Pod-

halańskiej i oddziałów stacjonowanych w obszarze: Coëtquidan-Bressuire — Partheney. Możliwości uratowania I Dywizji Grenadierów i 2 Dywizji Strzelców z uwagi na ich zaangażowanie na skrajnym, wschodnim skrzydle frontu francuskiego (w Lotaryngii i bramie belforckiej) wydają się bardziej wątpliwe.

Tytuł „W kręgu Katynia” posiada u Pobóg-Malinowskiego znaczenie symbolu. W opisywanym okresie sprawa Katynia jest jeszcze nieznana. Punktem wyjściowym tego rozdziału jest memoriał gen. Sikorskiego z 19-go czerwca 1940 r. złożony rządowi angielskiemu i zawierający projekt utworzenia 300-tysięcznej Armii Polskiej z jeńców i ludności polskiej wywiezionej do Rosji. Treścią rozdziału jest krystalizowanie się wśród oporów polityki gen. Sikorskiego, prowadzonej przez traktat z Majskim do wznowienia stosunków dyplomatycznych z Sowietami i utworzenia armii gen. Andersa. „W kręgu Katynia” — dlatego, że problem braku oficerów spowodowany przez ich wymordowanie ciążyć będzie nad realizacją głównego zadania wojskowego, jakie gen. Sikorski sobie postawił.

Rozdział pt. „W moskiewskiej sieci” obrazuje rozczarowania gen. Sikorskiego, a w końcu załamanie się jego polityki współdziałania z Rosją. Teza rozdziału, to świadome dążenie Sowietów do pozbycia się wojsk gen. Andersa z obszaru Rosji i przestawienie się na tworzenie komunistycznego narzędzia ujarzżenia Polski w postaci Komitetu Patriotów Polskich i armii gen. Berlinga. Rewelacje o Katyniu i ostatnia podróż do oddziałów polskich na Bliskim Wschodzie znamionują zerwanie gen. Sikorskiego z polityką prosowiecką. Śmierć generała uniemożliwiła przestawienie jego polityki na tory nieugiętego oporu, na co był bodaj zdecydowany, odbywając tak tragicznie przerwana powrotną podróż do Anglii.

Mieszając w poszczególnych rozdziałach periodyzację chronologiczną i zagadnieniową, Pobóg-Malinowski przedstawia w rozdziale pt. „Zmiany w Londynie. Podziemie w kraju” dwa procesy rozbieżne w czasie. Z jednej strony stosunki w rządzie emigracyjnym i wojsku po śmierci gen. Sikorskiego, krystalizujące się wokół osób: Mikołajczyka i gen. Sosnkowskiego, z drugiej strony rozwój sytuacji w kraju pod dwiema okupacjami i rozwój podziemia, a zwłaszcza Armii Krajowej pod dowództwem gen. Grota-Roweckiego. Konsekwentną i konstruktywną linię polityczną tego ostatniego przeciwstawia autor chwiejności gen. Sikorskiego, przytaczając liczne zmiany w jego instrukcjach dla kraju dokonywane bądź pod wpływem kształtowania się stosunków z Rosją, bądź pod wpływem nastrojów na emigracji i w wojsku. W tym rozdziale znajduje swoje odzwierciedlenie koncepcja wojskowa gen. Roweckiego, polegająca na wywołaniu w sprzyjających okolicznościach powstania antyniemieckiego, a na wypadek wrogiego ustosunkowania się do sprawy suwerenności Polski ze strony wkraczających ewentualnie na jej ziemie wojsk sowieckich: koncentracji Armii Krajowej na wybrzeżu Bałtyckim i wydaniu zbrojnego

oporu przy pomocy angielskiej na morzu, oraz udziale formacji polskich z Zachodu.

„Teheran” przedstawiony jest słusznie jako punkt szczytowego napięcia między Anglosasami i Rosją, rozładowanego na korzyść Rosji jej bezprzykładnym zwycięstwem politycznym, wyprowadzającym zwycięstwo wojskowe. W tym rozdziale analizuje autor dzieje opanowania Jugosławii przez Sowietów, a opuszczenie jej przez Zachód pod kątem widzenia wzoru dla późniejszej operacji polskiej.

Osobny rozdział poświęcony jest walce politycznej o obronę Ziem Wschodnich i związanej z nią, a później rozciągniętej na cały kraj operacji „Burza”. Obiektem tej walki jest coraz słabsza obrona istotnych postulatów polskich przez rząd Mikołajczyka, wobec presji angielskiej, a z czasem i amerykańskiej, na skutek bowiem zerwania stosunków dyplomatycznych z Sowietami po rewelacjach katyńskich i w braku rozmów bezpośrednich, Londyn — a później Waszyngton biorą na siebie rolę pośredników i orędowników, przekształcających się w decydujących kontrahentów Sowietów w zakresie rozwiązania sprawy polskiej. Polityka poszukiwania porozumienia z Rosją daje na odcinku podziemia koncepcję „Burzy” polegającą na stopniowym wprowadzaniu polskich oddziałów bojowych do walki przeciwko Niemcom cofającym się przed armią sowiecką i na ujawnianiu podziemnego wojska oraz administracji, jako gospodarzy kraju, działających w imieniu legalnych i suwerennych władz Rzeczypospolitej.

W utrzymaniu „Burzy” pomimo rozbrojenia i likwidacji oddziałów polskich oraz aresztowania ujawniającej się administracji przez czerwone dowództwa na obszarze Wołynia, Wileńszczyzny i Lubelszczyzny, dopatruje się autor jednej z głównych przyczyn błędnej decyzji wywołania Powstania Warszawskiego, któremu poświęca najdłuższy rozdział pełen dramatycznego napięcia. Pobóg-Malinowski uważa Powstanie Warszawskie za tragiczny błąd, wynikający ze złudzeń i fałszywej oceny zarówno położenia Niemców jak i sytuacji i zamiarów sowieckich. Wymierzone wojskowo przeciwko Niemcom, a politycznie przeciwko Sowietom, od samego niemal początku zmuszone jest wejść na drogę zabiegów jak wiadomo bez skutecznego, o pomoc rosyjską. Zamiast wzmocnić pozycję Mikołajczyka, udającego się w początkach sierpnia do Moskwy, staje się jego piętą achillesową. Zmusza premiera polskiego, który zamierzał wystąpić w roli gospodarza, panującego w stolicy kraju, aby poprzeć w ten sposób obronę zasadniczych postulatów politycznych, do zebrania o odsiecz lub przynajmniej zrzuty broni i amunicji. W rezultacie jeszcze jedna typowo polska tragedia bezprzykładnego bohaterstwa i poświęcenia, okupiona zniszczeniem stolicy i klęską polityczną.

W rozdziale o Jałcie, zamykającym książkę, mamy do czynienia z ostatnim aktem sprawy Polski jako państwa niepodległego. Długotrwałe targi kapitulacyjne przy udziale anglo-

saskich, niezbyt uczciwych maklerów z jednej strony, a opis rozpaczliwego i bezskutecznego szamotania się rządu Tomasza Arciszewskiego, aby się dać usłyszeć na forum międzynarodowym z drugiej strony, urozmaicają zaledwie i chronią od monotonii rozstrzygniętą już od dawna grę. Protokoły rozmów poprzedzających drugą podróż Mikołajczyka do Moskwy i towarzyszących jej wnoszą wiele nowych szczegółów do oficjalnych publikacji dokumentów politycznych i mogłyby służyć do uzupełnienia pamiętników Churchilla. Ta ostatnia uwaga znajduje zresztą zastosowanie i w odniesieniu do innych rozdziałów książki.

Ogromną bowiem zasługą Wł. Pobóg-Malinowskiego jest gruntowne przestudiowanie i wykorzystanie polskich archiwów na emigracji, a głównie Archiwum Prezydenta RP, Protokołów Rady Ministrów, archiwum Instytutu Imienia Sikorskiego, a w granicach, w jakich mu to udostępniono, także archiwum Polski Podziemnej. Sięgnięcie do tych źródeł, jak również wywołanie przez autora relacji wielu żyjących jeszcze, wybitniejszych uczestników wydarzeń, nadaje książce charakter często rewelacyjny. Nie ma prawie strony, która by nie zawierała jakiegoś szczegółu dotychczas nieznanego. Wykorzystanie opublikowanych zbiorów dokumentów i wydawnictw książkowych, zarówno obcych jak i polskich, zarówno emigracyjnych jak krajowych, jest bodaj kompletne. Książka była drukowana rozdziałami w miarę postępów pracy pisarskiej. Są w niej rozdziały wydrukowane na rok albo dwa lata przed ukazaniem się tomu. Niektóre z nich nie mogły więc uwzględnić literatury opublikowanej po ich wydrukowaniu. Na szczęście autor zapowiada w posłowie wydanie nakładem „Kultury” uzupełnień, doprowadzonych do daty wydania książki, a przy tej okazji skorowidzów nazwisk i nazw geograficznych. Dzięki tej szczerzej inicjatywie wzrośnie wartość naukowa książki, a „Kultura” odda poważną przysługę polskiej historiografii emigracyjnej.

Trzeci tom wywoła w wyższym stopniu niż tomy poprzednie, żywe echa i namiętne polemiki. Nie może być inaczej, bo dzieło przynosi materiał rewelacyjny, rzucający nowe światło na wydarzenia i na postacie historyczne, o których wyrabialiśmy sobie dotychczas pogląd przeważnie na podstawie legend, albo druków propagandowych. W dużym stopniu przyczynia się jednak do tego kipiący temperament autora, nie słabnący ani na chwilę, pomimo olbrzymich rozmiarów książki. „Historia nie feruje wyroków” pisze Pobóg-Malinowski nieuzupełnie zresztą słusznie, bo któż ma je ferować jeśli nie ona? Feruje je zresztą on sam, a czyni to ochoczo, gęsto i dosadnie, nie cofając się przed epitetami, których może lepiej byłoby uniknąć i schodząc nieraz z piedestału historii na niezawsze solidny grunt politycznej publicystyki. Niech nam będzie wolno zaliczyć te przerosty temperamentu na karb niedostatecznego dys-tansu oraz politycznego zaangażowania autora, który nie mógł

pozostać obojętny na opisywane przez siebie wydarzenia. Styl wykładu zawsze staranny, w niektórych fragmentach, zwłaszcza w rozdziale o Powstaniu Warszawskim, wznosi się do bardzo wysokiego poziomu.

Najbardziej jednak imponować będzie ogrom wysiłku jaki został włożony w opracowanie „Najnowszej Historii”, a zwłaszcza trzeciego jej tomu. Pod tym względem osiągnięcie jest bez przykładu, jak chodzi o warunki emigracyjne. Pozostanie ono na długi okres czasu podstawową pozycją polskiej literatury historycznej, której żaden badacz i pisarz zajmujący się tą epoką nie będzie mógł pominąć i to niezależnie od swego osobistego stosunku do autora i bez względu na taki lub inny osąd o jego komentarzach do spisywanych wydarzeń.



Z ważności pozycji jaką „Najnowsza Historia Polityczna Polski” zajęła w historiografii polskiej, zdać sobie łatwo sprawę śledząc reakcje z jakimi spotykała się ze strony kraju. Pomimo znacznych trudności kilkadziesiąt, o ile nie kilkaset egzemplarzy I i II tomu dotarło do czytelnika krajowego. Spowodowały one tysiące listów do autora, bądź to z wyrazami uznania, bądź też z prośbą o przysłanie książki. W ślad za tym spon-tanicznym odzewem opinii ukazało się w ciągu lat 1958 i 1959 kilkaset artykułów o charakterze recenzyjnym lub polemicznym w prasie krajowej, zarówno codziennej, tygodniowej, jak i w kwartalnikach naukowych. Można z całą pewnością stwierdzić, że żaden pisarz emigracyjny nie obudził w kraju tak szerokiego echa jak Pobóg-Malinowski. Wszyscy, nawet najbardziej krytycznie ustosunkowani do niego recenzenci krajowi podkreślają ogromną pracowitość autora, odkrycie przez niego i wykorzystanie nieznanych dotychczas źródeł, oraz wniesienie do najnowszej historii polskiej bardzo poważnego wkładu.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

“Fragmenty Filozoficzne”

W kwietniu 1918 roku Tadeusz Kotarbiński wygłosił wykład inauguracyjny „O wielkiej i małej filozofii”, którym zapoczątkował swą działalność nauczycielską na katedrze filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Wykład ten pozostał w pamięci jego pierwszych uczniów. W kilkanaście lat później tak o nim pisali w „Fragmentach Filozoficznych”:

„Był to wykład programowy. Profesor nie rozstrzygał przed słuchaczami podniebnych perspektyw, jakich się zazwyczaj oczekuje od filozofa. Zarysował raczej program minimalistyczny: zaniechajmy budowania wielkich systemów; uprawiajmy małą filozofię, która będzie opracowywaniem planu reformy pracy umysłowej”.

Słowa te przyniosły rozczarowanie niejednemu słuchaczowi, którego do filozofii popychała właśnie potrzeba szerokiego poglądu na świat, potrzeba wielkiego systemu” (1).

Pierwsze rozczarowanie słuchaczy nie trwało długo. Albowiem stało się rzeczą jasną, iż żmudna praca, której celem było precyzyjne formułowanie myśli i usuwanie słownych nieporozumień, dociekliwa analiza pojęciowa i terminologiczne rozróżnienia, były niezbędnym przygotowaniem do uprawiania filozofii wolnej od bezpłodnej spekulacji i od niezrozumiałej frazeologii. Wyłonił się nowy ideał prawdy i nowe drogi jej szukania.

W piętnaście lat po wykładzie inauguracyjnym Tadeusz Kotarbiński otoczony był licznym gronem uczniów, specjalistów różnych dyscyplin i dziedzin wiedzy. Pisał kiedyś Profesor o swym nauczycielu Kazimierzu Twardowskim, iż ten wielki i mądry człowiek był rygorystą jeśli chodzi o jakość roboty i liberałem jeśli chodzi o poglądy. Pod obydwojma względami uczeń dorównał mistrzowi. Tadeusz Kotarbiński nie tolerował propagandy i dogmatów, niezawodnych intuicji i natchnień, niezdolnych wylegitymować się należyte przed trybunałem rozumu i doświadczenia. Domagał się solidnej znajomości rzeczy, sprawnego posługiwania się zdobyciami nowoczesnej logiki formalnej, nauki o języku i metodologii nauk. Nie narzucał natomiast swym uczniom ani określonych poglądów ani kierunku zainteresowań. Wśród jego uczniów była grupa psychologów — W. Auerbach, I. Filozofówna, E. Geblewicz i E. Markin; wybitni logicy — B. Sobociński i A. Tarski, filozof prawa — R. Wundheiler i fizyk — A. Wundheiler; metodolodzy — J. Hosiasson, J. Kotarbińska i E. Poznański; historycy filozofii — A. Pański, J. Rajgrodzki, J. Siwecki; badacze, którzy zdobyli uznanie swym wkładem do socjologii — A. Hertz i S. Ossowski, nauki o moralności — M. Ossowska, lub estetyki i historii sztuki — M. Wallis. Był wreszcie wśród nich J. Fr. Drewnowski, filozof katolicki, jeden z inicjatorów tzw. koła krakowskiego, który wraz z J. Salamuchą i I. M. Bocheńskim położyli podwaliny pod modernizację filozofii tomistycznej w oparciu o współczesną logikę i metodologię.

W 1934 roku uczniowie opublikowali własnym nakładem książkę pamiątkową ku uczczeniu piętnastolecia pracy nauczycielskiej Tadeusza Kotarbińskiego, wspomniane uprzednio „Frag-

(1) *Fragmenty Filozoficzne*. Księga pamiątkowa ku uczczeniu piętnastolecia pracy nauczycielskiej w Uniwersytecie Warszawskim profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Warszawa, Nakładem Uczniów, 1934, str. 1.

menty Filozoficzne" (2). Lista uczniów wydrukowana na jednej z pierwszych stron książki pamiątkowej liczyła ponad 50 osób, z których połowy nie ma dziś wśród żyjących. Zginęli w walce, byli straceni i pomordowani lub przypadli bez śladu. Profesor oddał hołd ich pamięci we wzruszającym wspomnieniu pogonnym. Pisał ze smutkiem i oburzeniem: „Jest obelgą dla świata, iż tacy ludzie giną zmaltretowani”.

Tytuł książki pamiątkowej nawiązywał do programowego wykładu Profesora „O wielkiej i małej filozofii” lub może do jego głośnego swego czasu artykułu pt. „O potrzebie zaniechania wyrazów 'filozofia', 'filozof', 'filozoficzny' itp”. Dowodził w nim Profesor, iż filozofia w sensie wówczas zastanym nie jest żadną „królową nauk”, ani nawet odrębną nauką, lecz przypadkowym zlepkiem różnorodnych dyscyplin — psychologii, logiki, teorii poznania, etyki, estetyki, metafizyki, filozofii przyrody, historii i kultury oraz innych jeszcze dziedzin krytycznej refleksji. Zalecał on parcelację tego niejednolitego konglomeratu, nie związanego ani wspólnym przedmiotem ani metodą, na poszczególne wyspecjalizowane dyscypliny. Nikt bowiem nie jest w stanie osiągnąć kompetencji jednocześnie we wszystkich tych dziedzinach. Podział zadań i specjalizacja technik badawczych jest warunkiem niezbędnym ustalenia granicy między fachowością a dyletantyzmem, narastania rzetelnej umiejętności, wreszcie trwałych osiągnięć.

Uczniowie Tadeusza Kotarbińskiego poszli drogą specjalizacji. Chociaż każdy z nich zajmował się tylko fragmentem, z fragmentów kulturowych w liczny i różnorodny zespół zaczęła się wylaniać całość. Milton porównywał prawdę do rozbitego posągu, który staramy się odtworzyć z odnajdywanych szczątków. Porównanie Milтона nie jest całkowicie trafne. Albowiem odnajdywane fragmenty prawdy nieustannie zmieniają nasze wyobrażenie o całości i pobudzają do zmiany wzajemnego położenia fragmentów już odzyskanych. Składanie posągu z rozbitych części nie jest w tym wypadku przedsięwzięciem wykonalnym, gdyż posąg nigdy nie istniał i jego kształt zmienia się w miarę tego im pozornie bliżsi jesteśmy celu podjętego zadania. Z tym uzupełnieniem porównanie Milтона uzmysławia metafizycznie pewne istotne zamierzania autorów „Fragmentów Filozoficznych”. Mieli oni poczucie, iż uprawiając „małą filozofię” weszli na drogę wiodącą do „wielkiej

(2) W *Fragmentach Filozoficznych* ukazały się następujące artykuły: J. Hosiasson: „O prawomocności indukcji hipotetycznej”; J. Kreczmar: „Równoznaczność, wieloznaczność, znaczenie”; M. Ossowska: „Moralność jako 'fakt społeczny'”; S. Ossowski: „O subiektywizmie w estetyce”; A. Pański: „Uwagi o zagadnieniu definicji związku przyczynowego”; E. Poznański i A. Wundheiler: „Pojęcie prawdy na terenie fizyki”; B. Sobociński: „O kolejnych uproszczeniach aksjomatyki 'ontologii' Prof. Leśniewskiego”; D. Szejnberg: „Analiza pojęcia przypadku”; M. Wallis-Walfisz: „O rozumieniu pierwiastków przedstawiających dzieł sztuki”.

filozofii”, chociaż całkowicie różnej od popularnego wyobrażenia o niej.

W 1959 roku Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało książkę pamiątkową ku uczczeniu czterdziestolecia pracy nauczycielskiej Tadeusza Kotarbińskiego. Księga nosi również tytuł „Fragmenty Filozoficzne” z dodatkiem „Seria druga” (3). Píše w tej książce pamiątkowej pięciu autorów, których artykuły były zamieszczone w „Fragmentach” z 1934 roku, lecz większość z nich to nowe pokolenie uczniów Profesora. Niektórzy są debiutantami w słowie drukowanym, inni mają ustaloną reputację w polskiej literaturze filozoficznej. W pierwszym pokoleniu uczniów Tadeusza Kotarbińskiego liczna jest grupa osób o nazwisku znanym w międzynarodowym świecie nauki — Hosiasson, Kotarbińska, Ossowska, Ossowski, Sobociński, a nade wszystkim Tarski. W pokoleniu, które dominuje w drugiej serii „Fragmentów”, nazwiska Grzegorzcyka i Kołakowskiego są szeroko znane poza granicami kraju.

W obu seriach „Fragmentów Filozoficznych” dochodzi do głosu bardzo podobna postawa metodologiczna i koncepcja filozofii, które można określić mianem „analitycznego programu”. Autorzy artykułów nie szukają ostatecznych rozwiązań ogólnikowych, źle zdefiniowanych lub niezdefiniowanych zagadnień. Ich zadanie jest z reguły skromniejsze. Polega ono na wykryciu i wyjaśnieniu istotnego sensu problemów cząstkowych, na precyzyjnym zdefiniowaniu pojęć niezbędnych do ich sformułowania, na wskazaniu logicznych konsekwencji wynikających z przyjętych założeń, na ocenie zasadności proponowanych rozwiązań z punktu widzenia wypróbowanej praktyki badawczej i zasad postępowania właściwych metodzie naukowej.

Istnieją jednak również pewne uderzające różnice między dwoma seriami „Fragmentów Filozoficznych”. W okresie międzywojennym w polskiej literaturze metodologicznej zdecy-

(3) *Fragmenty Filozoficzne*. Seria druga. Księga pamiątkowa ku uczczeniu czterdziestolecia pracy nauczycielskiej w Uniwersytecie Warszawskim profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Warszawa, PWN, 1959, 330 str. W tym zbiorze zamieszczają artykuły następujący autorzy: A. Grzegorzcyk: „O pewnych formalnych konsekwencjach reizmu”; H. Hiż: „O rzecach”; L. Kołakowski: „Determinizm i odpowiedzialność”; J. Kotarbińska: „Tak zwana definicja deiktyczna”; M. Ossowska: „Norma prawna i norma moralna u Petrażyckiego”; S. Ossowski: „Od 'Kodeksu Natury' do 'Sprzysiężenia Równych'”; I. Lazari-Pawłowska: „Tworzenie pojęć nauk humanistycznych według koncepcji Leona Petrażyckiego”; T. Pawłowski: „Klasyfikacja sztuczna i klasyfikacja naturalna w biologii”; J. Pelc: „Szkic analizy znaczeniowej terminu 'ideologia dzieła literackiego'”; E. Poznański: „Operacjonizm po trzydziestu latach”; M. Przełęcki: „Postulat empiryczności terminów przyrodniczych”; T. Pszczółkowski: „Prakseologiczne pojęcie pracy”; H. Stonert: „Analiza logiczna teorii atomistycznej w klasycznej chemii”; K. Szaniawski: „O indukcji eliminacyjnej”; M. Wallis: „Koncepcje biologiczne w humanistyce”.

dowanie przeważało zainteresowanie zagadnieniami nauk dedukcyjnych. Obecnie, z przyczyn jakich nie byłoby trudno wskazać, lecz na co nie ma w tym kontekście miejsca, stan rzeczy jest odmienny. Młode pokolenie metodologów w Polsce — Z. Czerwiński, J. Giedymin, I. Lazari-Pawłowska, A. Malewski, T. Pawłowski, J. Pelc, M. Przełęcki, H. Stonert, K. Szaniawski — to metodologowie nauk empirycznych, społecznych i humanistycznych. Metodologia nauk dedukcyjnych stała się domeną logików matematycznych, którzy, z nielicznymi, wyjątkami bliżsi są matematyki niż filozofii.

Jest jeszcze druga uderzająca różnica. W okresie międzywojennym uczniowie Profesora nie interesowali się semantycznym i ontologicznym reizmem, którego twórcą był Tadeusz Kotarbiński i który stanowi jego największy wkład do filozofii. Jeżeli wziąć pod uwagę artykuły opublikowane w międzywojennych czasopiśmie filozoficznych, reizm miał więcej przeciwników aniżeli zwolenników. Krytykowany był on z jednej strony przez K. Ajdukiewicza, z drugiej — przez R. Ingardena. Bronił go A. Wiegner oraz z jego zachętą i pomocą piszący te słowa.

Dzieje reizmu budzić mogą melancholijne refleksje. Reizm powstał w latach 1920-1935 (są to daty ukazania się pierwszego — „Sprawa istnienia przedmiotów idealnych” i ostatniego artykułu — „Zasadnicze myśli pansmatyzmu” — w serii poświęconej semantycznemu i ontologicznemu reizmowi). Reizm powstał niezależnie od systemu logiki S. Leśniewskiego, lecz w tym systemie znalazł, jak stwierdził to twórca reizmu, „nieoczekiwany sukces”. Albowiem łącznie z ontologią i mereologią Leśniewskiego reizm może pretendować do tytułu najpełniejszego i formalnie najdoskonalszego sformułowania tzw. nominalistycznego programu. Znawcy logiki Leśniewskiego — Lejewski i Sobociński — twierdzą, iż jako formalne narzędzie w nominalistycznej rekonstrukcji nauki system Leśniewskiego jest nadal nie prześcigniony.

Od ukazania się „Mathematical Logic” W. Quine’a (1940), artykułów S.L. Leonarda i N. Goodmana, Goodmana i Quine’a, wreszcie wielu pięknych publikacji osamotnionego Goodmana, głośno jest w świecie anglosaskim o programie nominalistycznym. Zbiór artykułów Quine’a „From a Logical Point of View” (1953), w którym zagadnienie nominalistycznego programu w badaniach nad podstawami logiki i matematyki jest często poruszane, należy do jednej z czołowych pozycji w filozoficznej literaturze światowej. Tę reputację uzasadnia w pełni wiele zalet tej świetnej książki. Lecz jeśli chodzi o program nominalistyczny, Quine nie wyszedł poza to, o czym dyskutowano w Warszawie w latach dwudziestych i trzydziestych, z jedną poważną różnicą.

Ta różnica nie jest na korzyść Quine’a i Goodmana. Albowiem reizm jest w sensie filozoficznym bardziej konsekwentnym nominalistycznym programem. W systemie Quine’a

lub Goodmana nie ma zasadniczych przeszkód, by nie przyjąć klas jako indywiduów. Zasada nominalistyczna, jak ci autorzy ją rozumieją, wyklucza jedynie uznanie istnienia klas tych indywiduów. Jest to następstwo mylnej interpretacji kwantyfikatorów, identyfikowania orzecznika „istnieć” z kwantyfikatorem szczegółowym. Przy tej interpretacji można — chociaż zapewne nie było to w intencji Quine’a lub Goodmana — posługiwać się ich rachunkiem indywiduów dla budowania platonizującej ontologii, tzn. ontologii uznającej istnienie klas lub przedmiotów będących klasą klas. Reizm jest wolny od tej ułomności. Reizm nie dopuszcza istnienia indywiduów, które są klasami. Jego program nominalistyczny jest programem opisu świata jako sumy konkretnych indywiduów. Nie wyklucza to posługiwania się pojęciami ogólnymi lub pojęciem klasy jako nazwami pozornymi. Wymaga natomiast rozbudowanego systemu przepisów, skodyfikowanego w systemie logicznym, dotyczących przekształceń i interpretacji wyrażen, w których występują nazwy pozorne „przedmiotów abstrakcyjnych”.

Spraw tych dotyczą dwa artykuły w drugiej serii „Fragmentów Filozoficznych”, mianowicie artykuły Grzegorzcyka i H. Hiża, które piszący te słowa, zapewne kierowany własnymi upodobaniami, zaliczyłby wraz z rozprawą Poznańskiego o operacjonizmie i Przełęckiego o postulatcie empiryczności terminów przyrodniczych do najlepszych w omawianym zbiorze. Grzegorzcyk nagromadził liczne trudności, na jakie napotyka program nominalistyczny w reistycznym sformułowaniu w badaniach nad podstawami matematyki. Istnienie tych trudności spowodowało dezercję Quine’a z obozu nominalistycznego. Zostało ono również przekształcone w jedno z uzasadnień słuszności platonizmu w logice i matematyce. Trudności są niewątpliwie dotkliwe. Wielu logików, matematyków i filozofów trudzić się będzie nad tym, w jaki sposób je pokonać. Nie stanowi to jednak argumentu przeciw kontynuowaniu wysiłków, by sprowadzić wszelkie sensowne wyrażenia do zdań nie zawierających innych nazw prócz nazw konkretnych indywiduów, ponieważ rzeczywistość składa się wyłącznie z takich konkretnych indywiduów. Jeśli nauka jest zbiorem zdań prawdziwych, tzn. zgodnych z rzeczywistością, tylko zdania sprowadzalne do zdań o konkretach są właściwą częścią nauki. Nie należy tego stwierdzenia rozumieć jako dogmatu, a jedynie jako przeświadczenie, o którego solidne uzasadnienie warto zabiegać. Świat rojący się od hipostaz, tzn. od pojęć zamienionych w rzeczy, niezależnie od tego czy są to przedmioty niematerialne a jednak realne, czy też abstrakcyjne a jednak w jakimś tajemniczym sensie materialne, jest światem Homera, Hegla, dialektyków i bajkopisarzy.

„Fragmenty Filozoficzne — Seria druga” zaliczyć należy do najważniejszych polskich filozoficznych publikacji powojennych. Ocena ta wymaga uzasadnienia. Nie skłania do niej przekonanie, iż zbiór ten zawiera rozprawy, które proponują

nowe rozwiązania doniosłych problemów, formułują nowe punkty widzenia lub nowe techniki badawcze. Tytułu do tego wyróżnienia szukać należy w okolicznościach odmiennego rodzaju. Znaczna część „Fragmentów” jest zbiorowym wystąpieniem młodego, po wojnie wykształconego pokolenia, uzbrojonego w rzetelną wiedzę i znajomość swego rzemiosła, obstającego przy analitycznym programie i znawstwie logicznych i naukowych metod postępowania, toczącego walkę z mętnością myśli, chwiejnością pojęć i błędami rozumowań. Pokolenie to wystąpiło na widownię po latach potopu, tym razem nie Szwedów, lecz tandetnej spekulacji. Walory charakteryzujące młode pokolenie filozofów są jego własnym osiągnięciem, lecz również zasługą ich nauczycieli, wśród nich pierwszego pokolenia uczniów Profesora. Przywodzi to na myśl człowieka, którego pracę przez czterdzieści lat życia „Fragmenty Filozoficzne” miały uczyć.

Gdy w roku ubiegłym w Londynie K. Popper otwierał zebranie z odczytem Tadeusza Kotarbińskiego wypowiedział on te mniej więcej słowa: „Jest to dla mnie zaszczytem przewodniczyć na tym zebraniu. Pragnę Państwu przedstawić profesora Kotarbińskiego, jednego z dwóch współczesnych filozofów. Drugim jest oczywiście Bertrand Russell”.

W tych słowach Popper wyraził szereg różnych rzeczy. Wypowiedział swą opinię o stanie współczesnej filozofii, którą wyjaśnił nieco mniej enigmatycznie w przedmowie do angielskiego wydania „Logik der Forschung”. Jednocześnie nadał swej wypowiedzi formę cywilizowanej uprzejmości obowiązującej w obyczajach anglosaskich. Pewna doza przesady upiększała jednak jego rzeczywistą ocenę roli Tadeusza Kotarbińskiego we współczesnej filozofii. Gdy w rok później Profesor przybył ponownie do Anglii, by wygłosić odczyty na uniwersytecie w Londynie i w Manchesterze, był on podejmowany w podobny sposób: jako *the great old man of contemporary philosophy*.

Uznanie świata zewnętrznego dla polskich filozofów przychodzi późno, częściowo, chociaż nie wyłącznie, ze względów językowych. Chociaż w Polsce Tadeusz Kotarbiński był otoczony świetnymi umysłami powszechne uznanie nastąpiło znacznie wcześniej. Jego wpływ jako nauczyciela nie opierał się jednak tylko na osiągnięciach w dziedzinie myśli. Wpływowy nauczyciel jest z reguły osobowością urobiną z szczególnego stopu właściwości umysłu i charakteru. Uczniowie Tadeusza Kotarbińskiego tak o nim w 1934 roku pisali:

„Ale Profesor Kotarbiński jest nam drogi nie tylko jako uczony, nie tylko jako nauczyciel na polu teorii. Jest nam drogi przez swą wrażliwość na zło i krzywdę, przez żywy stosunek do spraw społecznych, przez swą odwagę wobec siebie i innych, przez głębokie poczucie odpowiedzialności i gotowość brania tej odpowiedzialności na siebie, gdy zajdzie potrzeba ciężkiej decyzji, od której inni woleliby się uchylić. A wreszcie przez

swą niepowszednią uczynność i dobroć. Ktokolwiek znalazł się w otoczeniu Profesora, musiał odczuć to promieniowanie moralne, które sprawia, że nie podobna przejść obok Niego, aby się coś w człowieku nie zmieniło” (4).

Lata ubiegłe prawdę tych słów umocniły. Albowiem Tadeusz Kotarbiński był uczonym, który w okresie rządów „terroretyków” rzucił publiczne wyzwanie koniunkturalizmowi i oportunistom legitymującemu się służbą wyższemu celom. Tym, którzy chcieli go zamienić w igłę barometru, zmieniającej położenie stosownie do zmiany ciśnienia, odpowiedział, iż woli zachowywać się na wzór igły magnesu, „wskazującej stały kierunek niezależnie od okoliczności”. Wzorzec Sokratesa „nie stracił waloru w punktach istotnych”. Godność prawdomównego nauczyciela postawił ponad uznanie i zaszczyty, jakie możni tego świata gotowi byli mu ofiarować za uległość przekraczającą granice jego własnych przekonań.

Dzięki tej pamiętnej postawie, Tadeusz Kotarbiński zajął wysokie miejsce nie tylko w dziejach kultury umysłowej, lecz również w historii naszego kraju.

Zbigniew JORDAN

Górny Śląsk w polityce polskiej

Wśród prac historycznych, które ukazują się obecnie w Kraju, na szczególną uwagę zasługują książki traktujące o problematyce okresu międzywojennego. Znaczenie ich polega nie tylko na tym, że stanowią próbę nowej interpretacji, ale przede wszystkim dlatego, że spełniają one poważną rolę polityczną przez swe podejście i ujmowanie zagadnień dwudziestolecia. W ramach metodologii marksistowskiej opracowania te stawiają tezy polityczne, których wpływ na sposób myślenia, zwłaszcza młodego pokolenia w Kraju, może być poważny. W odróżnieniu od opracowań z okresu przed paździenikiem, kiedy w stosunku do Polski przedwrzesniowej panowała zasada: *aut nihil aut male*, nowsze prace opierają się na poważnym materiale faktograficznym, operują niuansami, zarzucają drażniące przez swą krańcowość sądy o ludziach i wypadkach historycznych. Tym niemniej, a może właśnie dlatego, niektóre z tych prac są niebezpieczne, ponieważ zawierają pół-

(4) *Fragmenty Filozoficzne* (1934), str. 3.

prawdy, przedstawiają prawdziwe fakty wyciągając z nich równocześnie fałszywe wnioski i przemilczają niedogodne momenty. Dochodzi wreszcie jeszcze jeden czynnik, może najważniejszy. Niektórzy z polskich historyków, zwłaszcza z młodszego pokolenia, podchodzą do metodologii marksistowskiej z pełnym przekonaniem i dobrą wolą. Ich wnioski i tezy nie są świadomą próbą przeinaczania historii, ale wypływają z rzetelnego wysiłku godzenia obiektywizmu historycznego i poszukiwania prawdy z aprioristycznymi założeniami. Podczas gdy w opracowaniach przedwojennych można było często zauważyć nie docenianie znaczenia sił społecznych i gospodarczych, historycy obecni odczuwają — w wielu wypadkach słusznie — że rozszerzenie tematyki historycznej jest niewątpliwym osiągnięciem nowej metodologii. Nie dostrzegają oni jednak tego, że szerokie uwzględnianie tematyki społecznej i gospodarczej, nie wiąże się ściśle z tezami przyjętymi *a priori* i głoszonymi przez oficjalną historię komunistyczną.

W 1958 roku ukazał się w *Kwartalniku Historycznym* artykuł Tadeusza Jędruszcza pt. „O kryteriach oceny dziejów Polski w okresie międzywojennym: 1918-1939”. Artykuł ten stanowił ciekawą próbę rewizji przyjętych szablonów (z okresu stalinowskiego) i autor starał się pogodzić podstawowe zasady metodologii marksistowskiej — operując pojęciem postępu — z obiektywnym i nie dogmatycznym podejściem do zjawisk historii najnowszej. Autor tego artykułu, na który zwróciłem uwagę na łamach *Tek Historycznych*, ogłosił w tym samym roku poważną pracę zatytułowaną: *Polityka Polski w sprawie Górnego Śląska 1918-1922* (1). Z uwagi tak na sam temat jak i na nastawienie autora, książka ta stanowi ciekawą i pouczającą lekturę, a główne jej tezy zasługują na nieco szersze omówienie.

Jędruszcza przeprowadza dokładną analizę zagadnienia śląskiego w najbardziej przełomowym okresie i wyciąga z niej pewne ogólne wnioski, które jakkolwiek przedstawione są w sposób umiarkowany i nie napastliwy, są, moim zdaniem, z gruntu mylne. Książka Jędruszcza stanowi krytykę rządu polskiego i głównych partii politycznych za ich stosunek do Górnego Śląska, krytyka ta jednak wypływa bardziej z aprioristycznych założeń niż z rzeczowej i obiektywnej analizy wszystkich aspektów zagadnienia śląskiego. Jędruszcza krytykuje rząd za to, że nie uczynił więcej w obronie praw Polski do Górnego Śląska na konferencji wersalskiej i stwierdza, że istniały podówczas sprzyjające temu warunki, jak: „atmosfera wytworzona przez rewolucję październikową” i „ruch narodowo-wyzwoleńczy” na Śląsku. Zdaniem autora obowiązkiem rządu było odwołać się do narodu i zidentyfikować się z dążeniami ludu górnośląskiego co wywarłoby niechybny wpływ na

(1) *Polityka Polski w sprawie Górnego Śląska*, Państw. Wydawn. Naukowe, Warszawa, 1958 r.

Ententę. Rząd Paderewskiego jednakże nie był w stanie tego zrobić, gdyż był uzależniony od Ententy, która pchała Polskę na wschód.

Jędruszcza stara się uzasadnić swą tezę przy pomocy analizy sytuacji, z tym że kładzie główny nacisk na stosunki wewnętrzne na Śląsku, a przedstawia politykę międzynarodową w sposób powierzchowny i jednostronny. Oto kilka przykładów jego metody: autor stwierdza kategorycznie, że Wilson „energicznie pracował w interesie Niemiec nad sposobami oddania im Górnego Śląska” (s. 59), nie przytacza jednakowoż ani jednego poważnego faktu dla poparcia tej tezy. Równocześnie pomija on, w sposób niedopuszczalny dla poważnego historyka, wszystkie momenty, które pokazują wyraźnie jak Wilson starał się zwalczać poglądy Lloyd George’a idące po linii żądań niemieckich. Nie ma więc ani słowa o tym, że amerykańska komisja przygotowawcza, tzw. *Inquiry* zalecała, aby oddać Górny Śląsk Polsce (istnieje pełny raport komisji z mapami); autor nie wspomina o długiej i zażartej dyskusji pomiędzy Lloydem George’m i Wilsonem dnia 3 czerwca, z której wynika wyraźnie, że Wilson uległ żądaniom przeprowadzenia plebiscytu z wielką niechęcią i dopiero po użyciu argumentu, że plebiscyt jest przecież zastosowaniem w praktyce wilsonowskiej zasady o samostanowieniu narodów. Wszystkie argumenty użyte przez Wilsona o ucisku polskiej klasy robotniczej przez kapitalistów niemieckich nie są nigdzie wymieniane. Czytelnik odnosi zatem zupełnie fałszywe wrażenie o roli amerykańskiej w sprawie Górnego Śląska.

Autor stara się wykazać uległość Paderewskiego w stosunku do Ententy i zupełną jego zależność od konferencji pokojowej i cytuje dosłownie — z dokumentów *Foreign Relations of the United States* — ustęp, w którym Paderewski usprawiedliwia się i przeprasza Lloyd George’a, że ośmielił się wątpić w zdolność Ententy kierowania losem innych narodów. Ponieważ Jędruszcza zdaje się przywiązywać wagę do tego epizodu, byłoby wskazane, aby skonfrontował powyższy ustęp z *Foreign Relations* ze sprawozdaniem z tego samego posiedzenia, które ogłosił w swej książce tłumacz na konferencji wersalskiej, Paul Mantoux. Zobaczyłby wówczas, że istnieją poważne rozbieżności pomiędzy obu wersjami i że według Mantoux, Paderewski uniósł się i protestował gwałtownie przeciw nazywaniu Polaków imperialistami. Ta druga wersja pokrywa się z relacją włoskiego uczestnika zebrania, Aldrovandi di Maresotti, którą cytuje w swej pracy Tytus Komarnicki. Jak wynika więc z powyższego, autor książki o Śląsku korzysta dość dowolnie i fragmentarycznie ze źródeł zagranicznych i nie stara się przedstawić całości kształtu zagadnień. Twierdzenie jego, parokrotne, że analiza sytuacji międzynarodowej przekracza ramy jego książki, nie jest dostatecznym wytłumaczeniem, jeżeli feruje równocześnie wyroki w tych sprawach.

Teza Jędruszcza, że Ententa pchała Polskę na wschód jest wielkim uproszczeniem. Solidne przepracowanie aktów konferencji wersalskiej pokazałoby Jędruszcza, że istniały bardzo duże rozbieżności wśród mocarstw Ententy w sprawie użycia Polski jako narzędzia w polityce anty-bolszewickiej. Nie należy przecież zapominać o tym, że w Paryżu, a częściowo i Londynie, liczone się z możliwościami odbudowy białej Rosji i że ekspansja polska na wschód nie tylko że nie miała poparcia Ententy, ale stwarzała wiele trudności i nieporozumień. Teza więc o zachęcaniu Polski do marszu na wschód musi być sformułowana dużo ostrożniej i poparta bardziej przekonującymi argumentami, aby mogła być brana poważnie.

W książce Jędruszcza powtarza się kilkakrotnie krytyka rządu polskiego, że nie doprowadził do powstania na Śląsku w pierwszych fazach konferencji. Autor uważa argument Korfanteo, że akcja zbrojna w kwietniu 1919 roku mogła tylko Polsce zaszkodzić, za niewytrzymujący krytyki. W swej konkluzji wraca on znów do twierdzenia, że właśnie w tym okresie szanse osiągnięcia sukcesu przez powstanie były większe niż później. Nigdzie jednak nie można znaleźć analizy sytuacji ogólnopolskiej i międzynarodowej, która wskazywałaby na słuszność takiej tezy. Oczywiście, że Polska była zależna od decyzji Ententy, ale właśnie dlatego że konferencja mogła szachować Polskę w sprawie Gdańska, Cieszyńska, Pomorza, przysłania wojsk Hallera itp., nie mogło być mowy o polityce faktów dokonanych. Szanse po temu istniały dużo wcześniej, pod koniec roku 1918, kiedy Poznań wyzwał się od Niemców, ale nie w momencie, który Jędruszcza uważa za najbardziej korzystny.

Przechodząc do badania pierwszego powstania Śląskiego autor stwierdza, że rząd polski mógł mu być wydatnie pomocą gdyby nie był „uległy Entencie”, zaangażowany „w politykę podbojów na wschodzie” i nie zdolny „do znalezienia wspólnej płaszczyzny porozumienia z ludem”. Czyż tęzę taką, tak jak i wniosek, że rząd polski mógł z powodzeniem podjąć akcję o uchylenie decyzji plebiscytu można traktować poważnie? Wydaje się, że nie — tym bardziej, że autor znów uchyla się od przeprowadzenia analizy sytuacji ogólnej, w której zawarte są wszystkie elementy tezie jego przeczące.

Opis i wnioski dotyczące trzeciego powstania śląskiego są bardziej przekonujące. Autor uważa, że rząd prowadził politykę likwidowania powstania, co ogólnie biorąc jest słuszne. Popierał przy tym szereg błędów taktycznych, a swojej neutralności przestrzegając (pod presją Francji) zapewne zbyt skrupulatnie. Dodatkowe tarcia wewnętrzne utrudniały akcję powstańczą. Jędruszcza wysuwa tezę, że powściągliwość Warszawy wynikała z obawy rewolucji społecznej na Śląsku. Teza ta wydaje się częściowo słuszna, ale wnioski, które z niej wypływają są nie do pogodzenia z ogólną interpretacją autora

pracy o Górnym Śląsku. Chodzi tu mianowicie o rolę komunizmu w zagadnieniu górnośląskim.

Jakkolwiek Jędruszcza nie zajmuje się bliżej tym zagadnieniem, uwagi jego rozsiiane na kartach książki ukazują prawdziwą postawę polskich komunistów. Rola ich była niepiękna. Zgodnie z komunistami niemieckimi popierali oni tezę pozostawienia Górnego Śląska przy Niemczech; bojkotowali strajk powszechny 10-12 maja a także i sam plebiscyt. PPS lewica i komuniści zjednoczyli się z niemiecką partią i działali wspólnie przeciw tym, których określali mianem „bandytów nacjonalistycznych”. Czyż można się dziwić stronie polskiej, że obawiała się rozszerzenia wpływu komunistów, który godził w najżywotniejsze interesy Polski? Jest rzeczą oczywistą, że historyk dziejów najnowszych, piszący i wydający w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nie może przedstawić tezy o antypatriotycznej i anty-narodowej działalności komunistów na Górnym Śląsku. Nie może też postawić kropki nad i, stwierdzając, że gdyby komuniści rozporządzali większością na Górnym Śląsku cały jego obszar pozostałby przy Rzeszy.

W książce Jędruszcza komuniści poddani są ogólniej krytyce za błędne pojmowanie internacjonalizmu, ale autor robi równocześnie heroiczne wysiłki, żeby podkreślić nierozzerwalność nurtów narodowego i społecznego. Trudno jest za to wszystko mieć do niego pretensje, ale z książki widać wyraźnie że w historiografii krajowej istnieją wciąż wyraźne granice, których nie da się przekroczyć. Występuje to szczególnie jaskrawo w opisie wypadków z połowy sierpnia 1920 roku, które z komunistycznego punktu widzenia są szczególnie drażliwe.

Nie ulega już dziś chyba kwestii, że jakkolwiek ówczesne rozruchy komunistyczne na Śląsku wyrastały z ogólnego tła nastrojów, to były one równocześnie częścią szerszej akcji bolszewicko-niemieckiej, która wiązała się bezpośrednio z krytycznym momentem bitwy warszawskiej. Dla lepszego zrozumienia tych wydarzeń, które prowadzą z kolei do drugiego powstania śląskiego, potrzebne jest naszkicowanie całokształtu stosunków niemiecko-rosyjskich. Jak wiadomo reakcyjny szef Reichswchry, gen. Seeckt, uważał marsz armii czerwonej w głąb Polski za zjawisko wysoce pożądané z niemieckiego punktu widzenia i zwycięstwo Pilsudskiego było dla niego wielkim rozczarowaniem. Kontakty niemiecko-bolszewickie istniały też nieco później i Enwer Pasza pośredniczył w nich pomiędzy Trockim a Seecktem i donosił temu ostatniemu, że istnieje poważna grupa liderów bolszewickich, która zgodna byłaby uznać granice niemiecko-rosyjską z 1914 roku, a więc nowy rozbiór Polski. Niemiecki biograf Seeckta, Rabenau, i historyk francuski, Georges Castellan, poświęcili temu zagadnieniu szeregi stron a inne źródła mówią o tym również. Współpraca niemiecko-bolszewicka w roku 1920 potrzebna jest dla pełnego zrozumienia prowokacji komunistycznych na Śląsku, nadania fał-

szywej depeszy o upadku Warszawy oraz ataków na garnizony francuskie z okrzykiem: *Siegreich wollen wir Frankreich schlagen*. O tym wszystkim oczywiście autor pracy o Górnym Śląsku pisać nie może.

Jakie refleksje nasuwają się czytelnikowi po przestudiowaniu pracy Jędruszcza? Niewątpliwie autor zebrał poważny materiał źródłowy i przedstawił ciekawą analizę stosunków wewnętrznych na Śląsku w latach 1918-1922. Podkreślenie elementów klasowych, partyjnych, przedstawienie sytuacji robotników i ich nastrojów, rzeczowe przebadanie różnych aspektów zagadnienia, oto bezsporne osiągnięcia. Z drugiej strony jeżeli praca ta ma być wszechstronną analizą polskiej polityki wobec Górnego Śląska, to dość dowolne i pobieżne potraktowanie czynników ogólnopolskiego i międzynarodowego nie uprawnia autora do stawiania tez, na poparcie których nie ma przekonujących argumentów. Rzeczowa krytyka polityki polskiej w latach 1918-1922 jest wysoce pożądana i na czasie. Polityka faktów dokonanych, którą autor popiera, była być może do zrealizowania w zimie 1918 roku i to w ograniczonym zakresie — powiodła się ona Polakom w Poznaniu i Czechom na Śląsku Cieszyńskim — ale w istniejącej sytuacji nie mogła być na gminnie stosowana. Postawa endecji, pozycja Dmowskiego w Paryżu, konflikt między prawicą i lewicą, utrudniały akcje polskie tak na terenie międzynarodowym jak i wewnętrznym. Niewłaściwy często dobór ludzi stanowił dodatkową przeszkodę. Były też i inne trudności. Autor słusznie wiąże sprawę walki o granice wschodnie z polityką polską wobec Śląska i upatruje w niej przyczynę niektórych polskich niepowodzeń. Z drugiej strony używanie przez niego określenia: podboje na wschodzie — a obejmuje on tym określeniem chyba także obronę Lwowa i akcję wileńską — jest oczywiście niedopuszczalne i osłabia walor jego argumentów.

Autor książki o Górnym Śląsku stara się pogodzić rzetelną pracę naukowo-badawczą z tezami, które — cokolwiek by się o nich nie powiedziało — są w założeniu swym apriorystyczne i polityczne. Bazą książki są założenia, z których autor może sobie sam sprawy nie zdaje, ale które w ujęciu uproszczonym i lapidarnym brzmią następująco: Rządy polskie nie będąc komunistyczne były reakcyjne. Jako takie musiały być uzależnione od kapitalistycznej Ententy, która dążyła do obalenia bolszewizmu. Wniosek prosty — Polska wprzęgnięta w rydwan międzynarodowej reakcji musiała przeć na wschód i zaniedbywać interesy społeczno-narodowe na zachodzie. Wszystkie jej niepowodzenia w sprawie Śląska są wynikiem tej polityki, ostateczne rozwiązanie, które bądź co bądź jest pewnym sukcesem zawdzięczamy jedynie akcji zbrojnej ludu śląskiego. Jędruszcza stwierdza, że „bez powstań śląskich nie mogłoby nawet mowy być o tym, by chociaż część Górnego Śląska wróciła do Polski” (s. 388), równocześnie podkreśla też, że rola czynnika dyplomatycznego jest wyraźnie drugoplanowa. Ponieważ autor

nie chce przedstawić sprawy Górnego Śląska w oderwaniu od ogólnej rzeczywistości znajduje wyjście, wiążąc, w dość sztuczny sposób, zagadnienia śląskie z ogólnie rewolucyjnymi prądami w Europie. Cytat z Lenina przypięcztowuje tę sprawę.

Książkę Jędruszcza odkłada się z pewnym poczuciem przykrości. Zawiera ona wiele pożytecznego materiału, autor pisze stylem wolnym od szablonów i pseudo-marksistowskich formułek; stara się też o spokojne i rzeczowe spojrzenia na poszczególne zjawiska. W porównaniu z pracami ze smutnej ery stalinowsko-bierutowskiej mamy tu do czynienia z poważną książką historyczną. Równocześnie jest to książka wtłoczona w ciasne ramy spoza których nie może wyjść. U podstaw jej leżą dogmaty, których nie wolno kwestionować. Raz jeszcze nasuwa się myśl, że w ramach metodologii marksistowskiej czy pseudo-marksistowskiej, a zwłaszcza w odniesieniu do najnowszej historii jest miejsce na poważne studia, na nowe i ciekawe sformułowania, ale nie ma miejsca na swobodne, nieskrępowane i konsekwentne szukanie prawdy, niezależnie od tego czy prawda ta będzie pokrzepiającą czy też gorzką.

Piotr WANDYCZ

Nadesłane nowości wydawnicze

WRÓBLEWSKA (Jadwiga). *Listy z Polski*. Str. 320. 7 fot., 1 mapa. Do druku przygotował syn Mściław Wróblewski. Wstęp Wiesława Wóchnouta. (Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1960. Cena 24/6 sh. (brosz) lub 30 sh. (opr.).

BAINES (Jocelyn). *Joseph Conrad — a Critical Biography*. Str. 507 i 15 nlb., 17 ilustracji. (Wyd. Weidenfeld and Nicolson, 20 Bond Street, London, 1960. Cena 42 sh.).

ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *The Inquisitors*. Str. 159. (Wyd. Alfred A. Knopf, Inc., New York, 1960. Cena dol. 3,50).

ZÓŁTOWSKA (z Puttkamerów Janina). *Inne czasy, inni ludzie*. Str. 240. (Wyd. Alma Book Co, Ltd., Londyn, 1959).

Value and Plan. Economic Calculation and Organization in Eastern Europe. Edited, with introduction, by Gregory GROSSMAN. Str. 370. (University of California Press, Berkeley, July 1960. Cena dol. 7,—).

Polska w pamiętnikach gen. de Gaulle'a 1944-1946. Wybór tekstów z przedmową Kajetana MORAWSKIEGO. Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1960).

- KRATOCHVIL (Antonin Dr). *Sovetsace ceskoslovenskeho vysokeho skola*. (Powielacz). Str. 38. (Wyd. Archa).
- ZAJĄC (Ł. J.). *Convergence, Accommodation, and Visual Angle as Factors in Perception of size and distance*. Str. 140-146. Przedruk z *The American Journal of Psychology*, Univ. of Texas, Austin Tex., Vol. LXXIII, marzec 1960.
- Odpowiedź Komisji Historycznej na oświadczenie Stowarzyszenia Lotników Polskich. Str. 12. Odbitka z kwartalnika „Bellona” Nr. IV/1959, Londyn, 1960. (Inst. Hist. im. gen. Sikorskiego).
- LITWINSKI (Léon). *La caractérologie parmi les sciences*. Str. 113-124. Odbitka. (Presses Universitaires de France).
- TUREK (Victor). *A Bibliography of the Writings of William J. Rose*. Str. 30. Odbitka z „Canadian Slavonic Papers IV”, Toronto, Univ. of Toronto Press, 1959 (i. e. 1960).
- LITWINSKI (Léon). *De la Probité du Jugement*. Str. 8. Przedruk z „Syntheses” Nr 168, Mai 1960.
- W sojusznicy Londynie. Dziennik Ambasadora Edwarda RACZYŃSKIEGO 1939-1945. Str. 450 i 4 nlb. Fotografia autora. (Nakładem Polish Research Centre, 1960. Skład Główny Orbis (London) Ltd.
- KRZECZUNOWICZ (Kornel). *Ułani Księcia Józefa*. Historia 9 pułku ułanów ks. Józefa Poniatowskiego 1784-1945. Duży format albumowy. 320 str. i 2 reprodukcje wielobarwne obrazów: „Wizji” Wojciecha Kosaka (na obwołucie) i „Szarży pod Komarowem” Jerzego Kosaka plus 37 dokumentarnych fotografii jednobarwnych plus 6 map. Opr. płócienna z tłoczeniami. Artystyczna obwołuta. (Wyd. B. Swiderski, Londyn, 1960. Cena 52,6 sh. lub dol. 8,00).

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

- LYSIK (Oleh). *Ljudi taki, jak mi* (People like us). Powieść. Str. 345 i 7 nlb. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, Ont., Canada, 1960).
- IWANIS (Wasył). *Stieżkami zittia*. (Spohadi). Kniha II. Str. 366. (Neu-Ulm, 1959).
- SMOLIJ (Iwan). *U zelenomu pidhirii*. Powist. Str. 192. (Wyd. „Swoboda”, Jersey City-New York, 1960).
- Almanach „Hominu Ukrainy” na rik 1960. Str. 190. (Toronto, 1960).
- CZACZKOWSKYJ (L.) CHMILEWSKYJ (J. dr). *Kniaży Halicz*. Str. 93. (Wyd. Ukr. Archiw-Muzeju, Chicago 1959).
- Kalendar-Almanach „Mitla” na rik 1960. Str. 128. (Wyd. J. Seredniaka, Buenos Aires, 1959).
- SMOLIJ (I.). *Zrada*. Str. 152. (Wyd. J. Seredniaka, Buenos Aires, 1959).
- BINKIEWICZ (Wanda). *Partia NKWD* (Opowiadania). Perelad z polskoj. Str. 14. (Wyd. „Strila”).
- BARKA (Wasył). *Okean*. Str. 239. (Wyd. „Słowo”, New York, 1959).
- Naukowi Zapiski* 1958. Cz. II. Str. 82. (Wyd. Ukrainyjskyj Wilnyj Uniwersytet Toronto, 1959).
- MAK (Olha). *Proti Perekonan*. Str. 368. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, 1959).
- KALINENKO (Ihor). *Holubi dali*. Str. 87. (Louvain, 1959).
- BOJCZUK (Bohdan). *Ziemia byla pustoszna*. Poema. Str. 88. (Wyd. Ukr. Studentskoj Hromady w New Yorku, 1959).

Listy do Redakcji

Londyn, lipiec 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałam w lipcowo-sierpniowym numerze 7-8 „Kultury”, list p. K. Wędziagolskiego. Autor listu obdarzony jest fantastycznie drobiazgową pamięcią, która spowodowała przeinaczenie faktów istotnych i — od dawna — dowiedzionych.

Stwierdzam dla przypomnienia:

1) 17 września 1939 roku, po południu w Kutach Marszałek Rydz-Śmigły odmeldował się Panu Prezydentowi Ignacemu Mościckiemu. Marszałek odjechał ze swym projektem dołączenia do armii gen. Sosnkowskiego.

2) 18 września 1939 roku, o świcie w Czerniowcach, sekretarz Ministra Becka — p. Ludwik Łubieński — przyjął telefon od Marszałka Śmigłego. Powiadomił natychmiast mego męża, który podszedł do telefonu i rozmawiał z Marszałkiem o zmianie jego projektów. Wiadomość ta zaskoczyła Min. Becka.

3) 18 września 1939 roku PO POŁUDNIU (a nie wieczorem, jak podaje p. K.W.) pociąg z Panem Prezydentem, Marszałkiem Śmigłym i niektórymi Ministrami, odszedł z Czerniowiec.

4) Minister Józef Beck był Ministrem Spraw Zagranicznych. Sprawy dotyczące wojska nie należały do jego resortu.

Nie rozumiem dlaczego autor listu, którego Marszałek Śmigły powiadomiał „poufnie” o swych projektach, pokazał czytelnikom aroganckiego Marszałka Rydz-Śmigłego — jak każdy człowiek — miał zalety i wady, ale był uprzejmy i publicznie zachowywał się zawsze poprawnie. Znałam go od 1916 roku.

Łatwo jest w 1960 roku wypaczać historię! 18 września 1939 roku w Czerniowcach, powody do przygnębienia i rozpacz miał każdy. Dziś nie pamięta się, że wtedy NIKT Z WYJEŻDŻAJĄCYCH NIE WIEDZIAŁ, ŻE JUŻ WPADŁ W PUŁAPKĘ, przygotowaną wcześniej alianckimi i... polskimi rękami.

Minister Beck opłacił ją życiem.

Opuszczając Czerniowce 18 września 1939 roku, każdy z tych ludzi miał jeszcze prawo wierzyć zobowiązaniom aliantów i... honorowi Polaków.

Uprzejme wyrazy łączę

Jadwiga BECKOWA

Paryż, lipiec 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

W swojej ostatniej *Kronice*, Londyńczyk poruszył (bardzo ważną dla wielu Izraelczyków) sprawę „Debitu Kultury w Izraelu”. By wytlumaczyć bezowocność starań, podejmowanych w tym kierunku bezpośrednio u władz izraelskich oraz w ich paryskim poselstwie, autor *Kroniki* sięgnął jednak do „informacji ze źródeł prywatnych”. Przyczyn odmowy debitu te ostatnie domyślają się w lęku władz izraelskich przed narazieniem się Warszawie, która może „zagrozić wstrzymaniem wyjazdu Żydów z Polski do Izraela” itd. Londyńczyk „w pełni docenia sytuację i nie lekceważy grózb rządu warszawskiego, ale równocześnie nie może powstrzymać się od melancholijnej uwagi, że władze Izraela liczą się daleko bardziej z antysemitami niż z grupą Kultury”.

Podzielałbym tę melancholię, gdyby cytowane przez Londyńczyka „informacje ze źródeł prywatnych” okazały się ścisłe. Nie mogę wszakże uchronić się od wrażenia, że jego informatorzy pomieszali mimowoli dziedzinę zgoła różne i nieposiadające z sobą żadnego związku.

O ile mi wiadomo, wszystkie publikacje mogą docierać do Izraela, bez potrzeby uzyskiwania na to specjalnego pozwolenia. Na prośbę zamieszkałych w Izraelu przyjaciół i znajomych, nieraz zakupywałem dla nich numery „Kultury”, owijałem w opaskę, pisałem adres i bardzo po prostu wysyłałem. Nie zdarzyło się nigdy, by wysłane egzemplarze nie doszły adesatów.

Nie chodzi zatem o (niewymagane) prawo docierania do Izraela, ale o to by mieszkańcy tego kraju mogli nabywać „Kulturę” w *księgach* z gazetami. Czyżby możliwosć ta warunkowana była względami politycznymi, a „Kultura” stanowiła przedmiot dyskryminacji?

W tym samym położeniu co „Kultura” znajdują się wszystkie inne publikacje wydawane za granicami Izraela, ze wszystkimi wydawnictwami... żydowskimi i nawet programowo pro-izraelskimi włącznie. Trudności na jakie napotyka ich rozpowszechnienie w Izraelu nie mają jednak absolutnie nic wspólnego z polityczną tendencją odnośnych publikacji. Chodzi natomiast o sprawę bardzo prozaiczną, mianowicie o ograniczenia dotyczące „handlowego” importu i dewiz. Drobnym przykładem: Wydałem w Paryżu, duży album, zawierający kilka tysięcy zdjęć, z tekstem w sześciu językach (w tym w języku hebrajskim czyli w oficjalnym języku Izraela). Z wstępami, jeden pióra przewodniczącego izraelskiego parlamentu, drugi pióra przewodniczącego Egzekutywy Agencji Żydowskiej. Nie mówiąc o (znajdujących się w tej książce) wypowiedziach szeregu innych żydowskich osobistości. Prasa izraelska poświęciła temu wydawnictwu bardzo pochwalne i bardzo serdeczne sprawozdania, dodając z reguły („jakby się umówili”), że w Izraelu powinno się ono znaleźć w każdym domu Żydów polskich i nie tylko polskich. Instytucja, która rzeczony album wydała bombardowana jest nadchodzącymi z Izraela listami z prośbą o wysyłanie egzemplarzy. Szereg księgarzy z Izraela zwraca się z propozycjami. Mimo to, w Izraelu, książka ta dotąd nie znalazła się w sprzedaży normalnej.

Przyczyny? Ani potencjalni nabywcy, ani księgarze nie mają prawa wysyłać za granicę należności w pieniądzu. Mogą natomiast wysyłać równowartość w innych towarach albo wpłacać tę należność na zablokowane konto w Izraelu. Właściciel takiego konta może z niego korzystać do woli, lecz tylko na miejscu (tzn. znalazłszy się tam jako turysta itd.). Różne wydawnictwa omijają tę trudność w ten sposób, że — albo orga-

nizują wymianę równowartości w towarach (np. otrzymując i sprzedając wydawnictwa izraelskie), albo pozostają w skutecznym kontakcie z żyd. organizacjami lokalnymi; te ostatnie wypłacają należność na miejscu, podczas gdy wpływy, uzyskane w Izraelu z rozsprzedaży, przeznaczają na popierane przez nich tamtejsze instytucje czy akcje. W innych wypadkach, rozliczenia z tytułu sprzedaży wydawnictw zagranicznych stanowią pozycję w ogólnych, międzypaństwowych układach handlowych.

Jak się zatem dzieje, że „Izrael jak długi i szeroki zalany jest dosłownie polską prasą krajową i krajowymi wydawnictwami”? Bardzo po prostu: kolportaż ten organizowany jest w Izraelu przez polskie placówki, które wpływającą należność konsumują (w zasadzie?) na miejscu. Niezwykle niska (chciałoby się rzec: dumpingowa) cena tych wydawnictw może tylko sprzyjać tej powodzi.

Od dłuższego czasu, w miarę rozluźniania się systemu dewizowej „austerité”, niektóre (ale tylko niektóre) firmy księgarskie w Izraelu posiadają, o ile mi wiadomo, prawo wysyłania za granicę należności za sprowadzane książki (podobnie jak niektóre firmy z innych dziedzin posiadają także prawo odnośnie sprowadzania „nieodzownych” produktów z ich „branży”). Jakie wydawnictwa sprowadzają, to już zależy od ich zainteresowań i handlowych kalkulacji.

Rezultatem wymienionego stanu rzeczy bywają dość grube paradoksy. Jeśli chodzi o „Kulturę”: kilka tygodni temu, jeden z jej izraelskich entuzjastów, bawiący przejazdem w Paryżu, tłumaczył mi, że w pewnym okresie można było „Kulturę” nabywać w kioskach (czy w określonych księgarniach), lecz cena jej była bardzo wysoka. Przyczyny nie trudno się — według niego — domyśleć: Mając zagranicą kogoś, kto zakupił, dany odsprzedawca korzystał z wyłączności. Albo jeszcze inaczej: By dotrzeć do tamtejszego konsumenta, „Kultura” musiała przejść przez... nabyt wiele ogw.

I jeszcze jedna uwaga, w związku z wzmiankowaną przez Londyńczyka „suchą odmową”. Wspomniałem o moim wydawnictwie albumowym, wobec którego nie tylko nie można mówić o żadnej dyskryminacji, ale które — przeciwnie — posiada wszelkie dane, by korzystać u władz izraelskich ze szczególnych „protekcji”. O możność, nie rozpowszechniania go, bo tego nikt nie bronił, lecz o możność normalnego uzyskiwania wpływów za egzemplarze (co samo przez się załatwiłoby jego rozpowszechnienie) starało się kilka wysoko postawionych osobistości izraelskich (i będących moimi osobistymi przyjaciółmi, i żywiących szczerą chęć „lansowania” rzeczony książki). W pierwszej rozmowie oświadczali, że chodzi o drobniarz, który załatwia „od ręki”. Po podjęciu interwencji, okazywali jednak coraz większe złożenie. Zważywszy, że formalnie szło tylko i wyłącznie o sprawę „handlową”, łatwo mogli się narazić na zarzut osobowego protekcjonizmu w tej dziedzinie. Na domiar: chodziło (w poręczach państwowych) o grosiki, zaś by rzecz przeprowadzić trzeba by przekroczyć ustawę. W rezultacie, jeden z tych moich przyjaciół dał mi, z zażenowanym uśmiechem, następującą radę praktyczną: skuteczniej od dygnitarzy czy urzędników załatwiłby taki drobniarz pierwszy lepszy spośród odnośnych księgarzy, mających prawo sprowadzania, włączając to do swojego „obrotu”.

Osobiście dzielę melancholię Londyńczyka, myśląc o paradoksalnych często rezultatach wzmiankowanej „austerité”. O ile wiem, jest ona skąd inąd tematem ciągłych dyskusyj w tamtejszej prasie, a nawet „koniem bojowym” przeciw rządowi ze strony określonych partij. Tyle jedynie, że te ostatnie wojują w danym wypadku nie o „Kulturę” i nie przeciw innym paradoksom z dziedziny kultury, będącym ubocznym rezultatem dewizowych ograniczeń, ale przeciw dewizowym ograniczeniom w ogóle.

Co do mnie, nie sędzę, by ekonomia Izraela mogła sobie pozwolić na niczym nieograniczony liberalizm w tej dziedzinie. Na równi z wieloma tamtejszymi zwolennikami rozsądnych ograniczeń dewizowych, uważam natomiast, że władze izraelskie winny zająć się (niepożądanymi przez nie same) paradoksami i położyć im kres odpowiednio przemyślaną ustawą specjalną.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, słowa prawdziwego poważania.

Michał BORWICZ

New York, 28 czerwca 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku ze sporem o to kto pierwszy podjął podjął tzw. sprawę Bergu i zaalarmował nią opinię publiczną, pragnę stwierdzić, że tak p. Wahnout, jak p. St. Mackiewicz i p. K. Okulicz są w błędzie, gdyż sprawa ta po raz pierwszy została wyjawiona przeze mnie w artykule redakcyjnym pt. „Merchants of Death” („Handlarze Śmiercią”) w „Polish American Journal” w wydaniu z dnia 3 maja 1952 r.

Łączę wyrazy poważania.

Leopold DENDE

Toronto 29 czerwca 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Redakcja „Kultury” wyrządziła niedźwiedzią przysługę p. F. Sławojowi Składkowskiemu, umieszczając w czerwcowym numerze Jego „Internowanie w Turcji”.

Młodszym czytelnikom postać tego długoletniego premiera 33-milionowego Narodu o mocarstwowych ambicjach — wyda się w świetle jego własnych wspomnień — żałośnie pozbawiona dumy i godności w swym natrętnym dopraszaniu się o przyjęcie do jakiegokolwiek służby w obcym wojsku — choćby nawet tureckim.

Dla starszych czytelników, którzy pamiętają p. Sławoję jako bezwzględniego, a wszechwładnego realizatora swego kursu administracyjno-politycznego — jego placzliwe utyskiwanie nad swym losem w Turcji — jest zrzędną woltą, która miałaby pozwolić Jemu jak i drugiemu współtwórcy Brześcia i Berezy — zająć miejsce w rządzie ofiar prześladowań politycznych w oczach swoich i obcych, zaś namolne zabiegi o przyjęcie do wojska wydadzą się staraniem o uzyskanie immunitetu osobistego — podobnego do statutu jaki kiedyś dawało przyjęcie do Legii Cudzoziemskiej osobom ściganym przez prawo.

Wydaje się, że zamiast tego nieszczerzego biadolenia — ogół czytelników „Kultury” chętniej by przyjął od p. F.S. Składkowskiego jakże należne słowa skruchy i pokory za jego własne, a wcale niemałe grzechy.

Przesyłam wyrazy szacunku.

K. M. DZIAMSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

List Pani Barbary Toporskiej w ostatnim numerze „Kultury”, przekonał mnie, że Polacy na emigracji nie bardzo zasłużyli na wolność. Pani Toporska zarzuca Mieroszowskiemu „zwalczanie antykomunizmu” i to na płaszczyźnie moralnej, ideowej. Po przeczytaniu tego zarzutu miałem wrażenie, że coś jest nie w porządku z moimi klepkami. Przeczytałem jeszcze raz „Rozważania Katastroficzne”, jeszcze raz „Konfrontacje”, jeszcze raz artykuł Axela i znów list Pani Toporskiej, po czym miałem ochotę bić głową w ścianę. Ale bez tego, wystarczyło faktów, by wyciągnąć dalsze wnioski z klimatu pewnego rodzaju publicystyki ostatnich czasów.

„Konfrontacje” mają bardzo szeroki zakres, jak na poetkę. Od Kartezjusza do Eisenhowera, od człowieka biologicznego do samego Pana Boga, z tym, że się nie jest pewnym własnej duszy. W porządku, duszy można nie być pewnym, ale wtedy nie można atakować w myśl Prawd. Jeśli się nie jest pewnym nawet własnej duszy można być trochę tolerancyjnym na temat poglądów cudzych, choćby były... niewygodne. Artykuł Pani Toporskiej nie grzeszy wielką logiką, trudno jej zresztą wymagać od poetki, piszącej tak o Bogu jak Kartezjusz i Eisenhowerze. List natomiast jest krótszy i tematyką ściślejszy, niemniej i on posiada nie tylko logiczne błędy lecz i przypisywane *wishfull thinking*.

„Porównanie antykomunizmu do antysymityzmu Himmlera” Mieroszewskiego, nie wydaje się być wyrocznią w stosunku do antykomunizmu jako takiego. O ile umiem dobrze czytać, Mieroszewski pisząc tego rodzaju porównanie odniósł je do: „antykomunistycznych humanistów”, a więc do jednego z rodzajów antykomunizmu, do jednego rodzaju praktyki tego antykomunizmu. Ze odezwały się nożyce — humanistyczne — jest to zupełnie zrozumiałe, natomiast niezrozumiałe jest najzupełniej dlaczego, miał zbierać argumenty i zwalczyć przeciwnika dowodami i faktami, jak to jest praktykowane w wolnym świecie, zaatakowały one z kolei autora zarzutów, przypisując mu niepowiedziane poglądy.

Ten antysemityzm Himmlera, łączy się z ową jałową nienawiścią, o której wspomina Mieroszewski. List Pani Toporskiej nie jest odosobnionym faktem, jest on częścią składową klimatu publicystyki ostatnich czasów, atmosfery myślowej emigracji, której zewnętrznym szczytowym przejawem był, wraz ze swą treścią przewodu sądowego proces Gen. Andersa.

Polacy na emigracji nie dorosli do wolności. Nikomu nie przeszkadza, że Pan X śpiewa i myśli, że ma głos, że Pani Y nosi ekscentryczne suknie, nikomu nie przeszkadza oświadczenie Mikołajczyka o zabójstwie Sikorskiego, nikomu nie przeszkadza szczytowa głupota takiego czy innego „działacza”, taki czy inny szwindel czy przywłaszczenie — ale P. Grabowskiemu przeszkadza Gombrowicz i on sam i jego megalomania i jego styl i w ogóle — jak on ma prawo? Do czego? Do życia? Do mówienia

tego co chce? Kiedys wszystkim przeszkadzał Miłosz, bo przecież wybrał wolność, nie był z „naszych”. Przeszkadzał do czasu nagrody literackiej... obcej. Wtedy przez snobizm trzeba było uznać i ataki zamienić w nie-życzliwe milczenie. Wielu, w tej liczbie Pani Toporskiej, przeszkadza Mieroszewski — czym? Odwagą i realizmem, posiadaniem swego zdania nie według standardu, ani według obowiązującego sentymentu. Ludziom tego typu odmawia się wiele i przypisuje wiele. Chwała Bogu „nihilizm jest za trudny, żeby był niebezpiecznym”, niestety — szerszy i głębszy humanizm jest też za trudny, żeby był przynajmniej tolerowany. „Mamy wśród nas wielu dystygowanych panów — píše Mieroszewski — którym uwielbienie dla Prousta nie mać marzeń o wielkiej rzezi sowieckich biologicznych podludzi” — Pani Toporska w „Konfrontacjach” wspaniale udowadnia faktami niższość ustroju społecznego sowieckiego, udowadnia w sposób standardowy operując trudniami, brakiem samochodów, niechcianym ustrojem. Tymczasem zagadnienie nie jest tak proste. Tak samo nie jest proste jak dla wielu strategów z r. 1920 nie proste było zagadnienie przeobrażeń psychicznych i militarnych obu sąsiadów. Bardziej szczegółowa historia Pasternaka, a właściwie historia tła tej historii, bardziej szczegółowe spotkanie z problemem Festiwalu młodzieży w Moskwie w okresie polskiego Października, może by ten standard zachwiało i pomieszało mu szyki. Polski standard patriotyczny nawet mesjanizm utożsamia z geografą i suwerennością. Polski standard patriotyczny posiada tak bardzo dla Polaków charakterystyczną ideologię jednej epoki, akcji jednego pokolenia. To wszystko jest *wishfull thinking* — rzeczywistość jest przeważnie inna, jak była inna dla Wielkiej Emigracji, tak jest inna dla dzisiejszej. Rzeczywistość jest poza tym ruchoma i wielostronna. Tak jak prawdą jest, iż komunizm nie będzie wiecznie i minie jak każdy inny system czy prąd społeczny lub filozoficzny, tak prawdą jest, że nie minie bez echa, nie minie bez głębokich rysów i trwałych pozostałości czy konsekwencji.

Wróćmy jednak do klimatu publicystyki. Istnieje w niej jakaś przedziwna, wcale nie wolnego świata, zasada, iż inne zdania mogą jedynie uwielbiać jako autorytet, albo potępiać. Istnieje jakieś nastawienie, że jeśli kogoś nie lubię lub powiedział mi coś przykrego, to nie ma on już racji w niczym. Nie może być racji niezależnej od człowieka, racji częściowej (wg naszych pojęć), racji zasadniczej, czy fragmentarycznej. Racja musi być pełna. Wydaje mi się, iż taka jest w ogóle nie osiągalna. Ale są ludzie zaciekawiający racjami, dający materiał myślowy człowiekowi pretendującemu do wolności intelektualnej; są to u nas właśnie niepopularni w standardzie patriotycznym: Mieroszewski, Miłosz, Gombrowicz, jest, a raczej był nim Camus podpowierzchniowy cudowny pływak, którego Pani Toporska połączyła z ideowym biologizmem i nadała etykietę porządkową egzystencjalizmu. Dla mnie, jak i dla bardzo wielu mojego pokolenia, to jest pokolenia dwudziestolecia, są oni nad wyraz cenni, swoją wolnością intelektu, swoją niezależnością myśli, poza wszystkim co reprezentują pogładowo i artystycznie. Na „emigracji z epoki” reprezentują oni pewną seismograficzną kontrolę tej epoki, tej nowej, kraju emigracji. Ale kontrolę epoki a nie kontrolę emigracyjnego społeczeństwa, broniącego się przed nią rozpaczliwie.

Tak, właśnie rozpacz przebija z tych samoobron czy ataków. To nie jest może „żyrafa” Mieroszewskiego, jest zbyt świadoma, — jest to rozpacz niezgody na rzecz dostrzeganą, której się nie chce, nie przyznaje, przed którą zaciska się rozpaczliwie powieki, przywołując na pomoc wszystkie sentymenty przeszłości, wszystkie slogany i najcięższą artylerię — wszystkie imponderabilia zmasowane bez taktycznego zastosowania. Powstaje z tego owa jałowa nienawiść, nie obca historii polskiej, nienawiść zasadnicza, zaokrąglona i zaprzysiężona, z której jedynym ratunkiem może

być tylko otworzenie oczu spojrzeniem dziecka, bez balastów i uprzedzeń. Przypomina mi to trochę dość zabawną i muzealnie szlachecką nienawiść pewnej grupy stronnictwa Narodowego przed wojną (ziemiańską) operującej „żydokomuną, masonerią i zaprzeczeniem od góry do dołu Marszałka Piłsudskiego. Przypomina to mnie też niedawną prośbę mojej 6-cioletniej córeczki podczas wieczornych opowieści: „Ale żeby to nie była prawda... Ta samoobrona w wieku lat sześciu jest urocza i zrozumiała, tylko że my już nie mamy sześciu lat.

Stąd wolność u nas, ma warunek. Wolność musi być według naszego wzorca, z chwilą gdy staje się niewygodna, krępująca, zawstydzająca, z chwilą gdy staje się za trudna — trzeba ją ukrócić. Furią personalną zawrzeszczyć głos krzywego zwierciadła, milczeniem zakryć spokojny refleksjonizm, atakiem polityczno-narodowym rozdzieraniem patriotycznych szat — zaatakować rzeczową prawdę.

Wisi u mnie nad kominkiem szabla i ryngraf. Uczę swego 5-cioletniego synka „Jeszcze Polska nie zginęła”... ale wiem, że moja szabla zawisa w powietrzu jak *spaceman* oderwany od rakiety, a z pieśni pozostaną tylko słowa... „póki my żyjemy”... że pozostaną tylko naprawdę niezmiennione wartości życia i żyjącego człowieka, wartości ludzkie w pełnym i szerokim zrozumieniu tak człowieczeństwa jak i wolności.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, słowa prawdziwego szacunku i poważania.

Andrzej MANTEUFFEL

Berkeley, 17 lipca 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Serdecznie dziękuję za zwrócenie mi uwagi na recenzję p. Eligiusza M. Zaworskiego w „Nowej Kulturze” (nr 23 z 5 czerwca) o mojej książce „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego”. Złośliwy, ale dowcipny tytuł recenzji („Archeologia szlachecka”) bardzo mnie intrzykował, toteż z niecierpliwością czekałem dnia, gdy ten numer „Nowej Kultury” dotrze do Kalifornii.

Niestety, treść artykułu p. Zaworskiego bardzo mnie rozczarowała. Za fasadą dowcipnego tytułu kryje się pustka drętowych banałów o „anachronizmie”, o „westchnieniu za starymi dobrymi latami”, o „czasach archeologicznych”, o „balach i obżarstwach”. (Sprawiedliwość każe mi stwierdzić, że z podobnymi „modnymi” banalami spotykałem się również ze strony niektórych naszych emigracyjnych matadorów i matadorek).

Nie mam żalu do p. Zaworskiego, że nazwał „archeologią” (może lepiej by było „prehistorią”) gawędę, którą inny pisarz krajowy o wyrobionym smaku artystycznym i wielkiej wiedzy historycznej postawił na równym niemal poziomie z „Pamiętkami Soplicy” Henryka Rzewuskiego, i jeden z recenzentów emigracyjnych — na poziomie pamiętników x. Kitowicza. To sprawa smaku i — podejścia. Nie winię go też o brak poczucia humoru, który sprawił, że jeden z moich niewinnych żartów podniósł do potęgi już nie „zjadliwej ironii”, ale „cynicznego stwierdzenia faktu”. Trudno — z poczuciem humoru trzeba się urodzić i z resztą jest to cecha na ogół rzadka, zwłaszcza wśród narodów nieszczęśliwych,

do których i Polaków trzeba by zaliczyć. Muszę natomiast zaprotestować przeciwko wprowadzaniu w błąd czytelników „Nowej Kultury”, którzy może nigdy mojego „Irteńskiego” nie przeczytają, przez fałszywe informowanie o tym, czego w mojej książce nie ma, i odmawianie jej tego, co w niej stoi jak byk.

A więc przede wszystkim p. Zaworski powiada, że „jak stwierdza autor” (!) szlachta mińska zajmowała nieposłownie miejsca w carskiej administracji” i robiła w niej kariery dochodząc „najważniejszych stanowisk”. Nic podobnego w książce mojej nie ma i p. Zaworski albo nie czytał uważnie, albo celowo rozmija się z prawdą. Człowiek jako tako obeznany z historią Polski w XIX w. wie doskonale, że po 1863 roku i aż do końca caratu na obszarze całego zaboru rosyjskiego — od Witebska do Kalisza — ani jedna osoba polskiego pochodzenia nie mogła zrobić „carskiej kariery”. I owszem — Polacy dorabiali się stanowisk w wolnych zawodach, jako adwokaci, lekarze, inżynierowie, rzadziej — w przemyśle i handlu, gdyż przemysł w Mińszczyźnie był wtedy w powojakach, a handel był przeważnie nie w polskich rękach. I owszem — Polacy dochodzili nawet do wysokich stanowisk społecznych z wyboru, a więc głosami współobywateli, a nie carskim „faworem”: stawiali się „głowami” tj. prezydentami miasta, radnymi i ławnikami, a po 1905 roku posłami do Dumy i do Rady Państwa.

Po drugie p. Zaworski pisze o „kilku” tysiącach Polaków, którzy opuścili Mińszczyznę przed 40 laty. Znowu fałsz. Opierając się na źródłach rosyjskich, ogłoszonych przed rewolucją (a źródła te o stronniczość na korzyść Polaków trudno posądzać) podałem liczbę Polaków w gubernii mińskiej na 300.000 — szlachty zaściankowej i ziemian. Z tej liczby istotnie tylko „kilka tysięcy” wyemigrowało na zachód, ale olbrzymia reszta „wyemigrowała” w zupełnie odwrotnym kierunku, w tym samym kierunku, w którym w 20 lat później powędrowali Polacy i inni „kulacy” z Wileńszczyzny, Nowogródzyny, Polesia, Wołynia i Galicji.

Wreszcie pisze p. Zaworski, że „nie dostrzegłem takiego drobiazgu, jak rewolucja 1905 roku”. Tutaj fałsz jest szczególnie jaskrawy. Nie tylko poświęcam tej rewolucji dwa bite rozdziały, ale jej echa przewijają się przez całą opowieść i brzmia nawet na ostatniej stronie. W kilku też miejscach podkreśliłem jak wielką rolę odegrała rewolucja 1905 roku w umysłowym dojrzewaniu pokolenia „Irteńskich”. Toteż wmawianie przez p. Zaworskiego czytelnikowi, że jedynym echem rewolucji w mojej książce było wyjście za mąż córki jednej z ofiar rewolucji za pewną znaną w Warszawie osobistość, jest chwytem lub raczej chwycikiem bardzo tanim i dość paskudnym. Pan Zaworski zarzuca też rodzinie „Irteńskich” że oglądała pochód rewolucyjny z balkonu. A z czego miała oglądać? Z helikoptera?

Nie na tym kończą się chyby p. Zaworskiego. Omówienie wszystkich pomniejszych zajęłoby dużo miejsca. Wspomnę więc tylko o jednym. Cytując zakończenie mego Wstępu odrzuca cudzysłów zdania zapożyczonego przeze mnie z arcydzieła literatury, napisanego przeszło 100 lat temu. Podsuwa więc czytelnikowi, że to moje własne słowa. A może p. Zaworski w dobrej wierze nie rozpoznał cytatu? Sądzę jednak że „literaturoznawcę” obowiązuje znajomość klasyków XIX wieku. A na pewno obowiązuje znajomość interpunkcji.

W pewnym miejscu swej recenzji p. Zaworski tytułuje mnie „przysięgłym myśliwym”. Obawiam się, że gdybym zastosował przymiotnik „przysięgły” do mego recenzenta, musiałbym użyć innego rzeczownika.

Łączę wyrazy szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Paryż, 3 sierpnia 1960

Drogi Panie Redaktorze!

P. Karol Wędziagolski, w liście do Pana („Kultura” nr 7-8 z lipca br.) pisze, iż szkic mój, ogłoszony w nr. 4/150 „Kultury”, obudził w nim „wspomnienie mało znanych, lub wcale nieznanych szczegółów dramatycznego dnia 17 września 1939 r., dotyczących Marszałka Śmigłego-Rydza”; „szczegółów”, przedstawionych przez p. Wędziagolskiego w tym liście, ja w swoim szkicu nie poruszałem, ponieważ jednak p. Wędziagolski powołuje się na mnie, proszę Pana o umieszczenie kilku stwierdzeń, będących wynikiem moich długoletnich badań historycznych.

1) Podstawą dla zawarcia przez min. Becka z przedstawicielem oficjalnym Rumunii, umowy o *droit de passage* była konwencja haska z r. 1907, dopuszczająca przejazd Głowy Państwa i rządu, z kraju, prowadzącego wojnę, przez terytorium państwa neutralnego. W układach z Francuzami o *droit de résidence*, z Rumunami o *droit de passage* mowa była tylko i wyłącznie o Prezydencie Rzplitej i o rządzie. Nie znalazłem nigdzie śladów, by układy te obejmowały także Naczelnego Wodza, jego sztab i oddziały wojska. Nawet nie mogło być inaczej, skoro podstawa tych układów — konwencja haska — najwyraźniej zabrania tranzytu wszelkich elementów wojskowych, a nawet kategorycznie nakazuje ich rozbrojenie i internowanie na ogólnych zasadach prawa międzynarodowego.

2) Minister Beck, w relacji swej napisanej w pierwszych tygodniach internowania, stwierdza, że 17 września, bezpośrednio po wydaniu instrukcji, jakich wymagała wiadomość o napaści moskiewskiej na Polskę, udał się do Kołomyi, do Kwatery Głównej Naczelnego Wodza: „Marszałek i Premier wahali się poważnie co do swych decyzji. Marszałek powiedział, że myśli nad przejazdem do wojsk gen. Sosnkowskiego. Premier zgłosił wobec tego gotowość analogicznego przesunięcia rządu. Zwróciłem na to uwagę, że pojęcia dowództwa i rządu są różne, że w ramach wojny koalicyjnej państwo polskie musi utrzymać swój charakter podmiotu, a nie przedmiotu wydarzeń międzynarodowych. Dlatego uważam dla Prezydenta i rządu za rozsądniejszy zrealizowany plan, który zostanie uzgodniony z aliantami, tj. kontynuowania działalności na zasadzie *droit de résidence* w państwie sprzymierzonym”. ...W rozmowie tej ze strony Marszałka „nie było wyraźnej decyzji”... „Oświadczył, że nad swymi decyzjami musi się zastanowić”.

3) W godzinę po powrocie min. Becka z Kołomyi do Kut „zgłosił się odszukany ambasador rumuński”. Beck w relacji swej stwierdza, iż chciał w rozmowie z nim „ulożyć warunki” przejazdu przez Rumunię. Ambasador „uprzedził mnie, oświadczając w imieniu króla, że król Karol ofiarowuje nam. tj. Prezydentowi i rządowi *l'hospitalité ou le droit de passage*. Dziękując ambasadorowi za to oświadczenie, powiedziałem, że nie żądam wykonania aliansu polsko-rumuńskiego, jeśli chodzi o agresję sowiecką, rozumiejąc, że w tej tak ciężkiej sytuacji międzynarodowej, Rumunia nie będzie mogła prawdopodobnie wykonać swych zobowiązań, natomiast, oczekuję iż sprawa tranzytu najwyższych władz państwa polskiego, będzie w związku z tym szczególnie życzliwie przez rząd rumuński, potraktowana. Ambasador nie wyraził co do tego żadnej wątpliwości. Oświadczył że będzie oczekiwał decyzji Prezydenta i rządu, aby osobiście ułatwić sprawę przejścia granicy”. I tu więc, w relacji min. Becka, mowa wciąż tylko o Prezydencie i rządzie. O Wodzu Naczelnym nie ma i tu ani słowa.

4) Ówczesny dyrektor Departamentu Konsularnego M.S. Zagr. p. W.T. Drymmer, w relacji ogłoszonej w nr. 28-30 jerozolimskiej „Na Straży” z roku 1946, pisze: „Czekając w Wyżnicy, aż ostatni wóz ministerialny opuści Polskę, zobaczyłem — zdumiony — wóz Marszałka Śmigłego, któremu towarzyszył płk. Wenda... Nie wiedziałem wtedy, co skłonić mogło marsz. Śmigłego do zmiany decyzji, którą powzięto na wspólnej konferencji z Prezydentem i min. Beckiem po południu 17 września. Byłem mimowolnym świadkiem pożegnania się marsz. Śmigłego z Panem Prezydentem i pamiętam ostatnie jego słowa: „A więc tak, jak umówiliśmy się. Panie Prezydencie, ja pozostaję z wojskami...”

5) Za pobytu w Brasov, w miejscu internowania Ministra Becka, w grudniu r. 1939, zwróciłem się do niego w tej sprawie. Stwierdził — a ja to bezzwłocznie i w obecności wicedyrektora Gabinetu p. Seweryna Sokołowskiego, zanotowałem — że pojawienie się Marszałka w Czerniowcach, było dla niego niespodzianką. Nie tylko dlatego, że w Kutach pożegnano się z tym, że Naczelną Wódz wraca do walczących oddziałów, ale i dlatego także, iż w rozmowie w Kołomyi min. Beck dawał wyraz obawom, że przekroczenie granicy rumuńskiej przez Naczelnego Wodza, może — ze względu na postanowienia konwencji haskiej — wywołać poważne dla niego komplikacje.

6) Najbliższe otoczenie Pana Prezydenta (pani Maria Mościcka i zięć, wiceminister komunikacji, Aleksander Bobkowski) w listach — w tej sprawie — do mnie, z września 1951 r. stwierdzali zgodnie, iż nieoczekiwane spotkanie z Marszałkiem Śmigłym, w Czerniowcach, zrozumiano jako zmianę decyzji przez niego.

Z góry dziękując Panu Redaktorowi za umieszczenie tych stwierdzeń — łączę najlepsze wyrazy.

WL. POBÓG-MALINOWSKI

Londyn, lipiec 1960.

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Kulturze” na lipiec-sierpień br., ukazały się wspomnienia p. S. Żochowskiego pt. „Konspiracja na wyspach”. Poświęcę im słów kilka, gdyż są tam wycieczki przeciw mnie, a mianowicie z tego powodu, żem w swoich wspomnieniach pt. „Trop legendy” („Kultura”, wrzesień, r. 1959) niepochwlebnie przedstawiał Sikorskiego, a nawet śmiałem wyrażać o nim ujemne sądy. Oburzyło to p. Żochowskiego, bardzo pięknie, że się za wodzem ujmuję. Szkoda że nie czyni tego mądrzej i ładniej, już nie mówiąc o tym, że Sikorski był wodzem i politykiem w jednej osobie, tak często łączył te role w jedną, że osłanianie go nimbem wodza nie znajduje uzasadnienia.

Zresztą p. Żochowski, czyniąc to, nie pomija zagadnień politycznych, częstując nas m.in. taką oto receptą generalną, z dodaniem surowej dla mnie przygany: „Niezawisła decyzja polityczna, która waży na szali, musi się opierać na sile własnej, istotnej. To jest jedyne kryterium, które należy podkładać pod osady niedojrzałe mimo lat i pochopne mimo siwizny „młodych”.

Jak nie trudno się domyślić, to napuszone mętñosłowie, usprawiedliwia brakiem siły w rękę, grzechy politycznych marionetek. Ba — przecież każda decyzja polityczna musi być zawisła od wielu rzeczy, ale oskarżeniu podlega nie inna zawisłość, ale zawisłość jej podmiotu na obcych sznurkach, co jest w każdych okolicznościach sprawą rozumu i woli decydującego. Roosevelt nie uniknął roli marionetki, zaś de Gaulle uniknął, bo nie siły, którymi się rozporządza, o tym decydują.

Autor, potępiając moje „pochopne sądy”, tylko raz próbuje zmierzyć się z nimi na gruncie faktów, powiadając: „...wypada mniej tragicznie oceniać podpisanie paktu Sikorski-Majski, niż to czyni autor „Tropu legendy”. Pamiętam przy tym, iż pakt ten podpisywał Sikorski jako premier, ale nieunikniony kompleks niższości, wynikający z tragicznego braku siły w rękach N. Wodza kieruje jego działaniem. W Rosji, spośród więzień i obozów, powstaje nowa siła. Z przeklętej ziemi jest wyjście dla wielu, dzięki paktowi”.

Czy to nie jest odwracanie „kota ogonem”? Chodziło przecież o to, żeby wyczerpać możliwości zawarcia takiego porozumienia, które by nie przemyślało w sobie załączników zaboru Polski. Sikorski podpisał podsuwany mu pakt wbrew woli Prezydenta R.P. i zdaniu polskiego ministra spraw zagranicznych, natomiast zgodnie z namowami ze strony obcej racji stanu. Wtedy polska decyzja mogła mieć znaczenie na „szalach”, a w każdym razie zaprzeczanie temu nie może się opierać na podstawach sprawdzalnych. Pan Żochowski powiada, że gen. Sikorski kierował się wtedy kompleksem. Może i to prawda, ale jeśli jest słuszną ta „niepochopna” diagnoza p. Żochowskiego, toć właśnie potwierdza ona to co ja sądzę, a mianowicie, że osobiste możliwości Sikorskiego nie były na miarę władzy, którą sobie zagarniał. Wreszcie, że wyszło wielu z Rosji, stało się wbrew woli gen. Sikorskiego, który chciał żeby armia gen. Andersa w Rosji została. Uznając za korzyść wydarzenie jak najbardziej przeciwnie myśli politycznej Sikorskiego, przemawia się tym samym na rzecz mojego ujemnego sądu o jego rozumie, jako męża stanu.

Na jakiej podstawie zarzuca mi autor sądy pochopne i niedojrzałe, skoro znajdują one uzasadnienie nawet w tym co on sam pisze?

Mam poddać się cenzurze ze strony żołnierskich uczuć? Zobaczmy więc dla przykładu, jak wyglądają żołnierskie uczucia p. Żochowskiego, w imię których mnie gromi. On to przecie — omawiając trudności, z którymi się borykał gen. Sosnkowski na stanowisku Naczelnego Wodza — tak pisze: „Gdy do tego dodamy troskę o Kraj, z A.K. teoretycznie podległą, posłusznie meldującą, ale w decydującym momencie buntem powstania odpowiadającą na jego zakaz...”

Bunt? Słowo bunt, zawiera w danym razie bardzo ciężkie oskarżenie, z uwagi na straszliwe skutki. Czy p. Żochowski może wskazać rozkaz, którego złamanie mogłoby uzasadniać oskarżenie A.K. o bunt? Nie, bo gen. Sosnkowski rozkazu takiego nie wydał, choć dał wyraz swoim zapatrywaniom, przecież nie zakazał.

Chyba imię A.K., przez wzgląd na ogrom ofiarności w jej szeregach zasługuje przynajmniej na taką ochronę ze strony żołnierskich uczuć, żeby na wątpliwych podstawach nie znieważać go słowem „bunt”. Czemu te szlachetne uczucia p. Żochowskiego, w które przywdziewa się, oburzając się na mnie, bywają tak nieczule? Coś tu nie pasuje. No cóż, nawet i oficer dyplomowany, jakim się nam przedstawia autor, może się czasem potknąć. Bieda z tym, że to wcale nie wygląda na mimowolne potknięcie, bo prosi, co powiada o mnie: „Pan Sęp-Szarzyński w swoim artykule feruje wyroki na N. Wodza (Sikorskiego, moje objaśnienie) i jednym tchem oburza się, że był aresztowany i sądzony, on i jego przyjaciele”.

Jeśli kto ciekaw, może sobie sprawdzić, że p. Żochowski, najdelikatniej mówiąc, minął się z prawdą. Przeciwnie, w „Tropie legendy”, nie tylko się o to, co autor pisze, nie oburzam, ale wyrażam uznanie dla sądu, że ten dążył do udowodnienia nam winy, mimo trudności i nastrojów, które były nam przychylnie. Oburzam się, ale zgola na co innego, bo na zlecenie agentom dwójki, by rozpuszczali o nas wieści, jakobyśmy działali z ramienia niemieckiej dywersji. Nie miało to więc nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości. Wprawdzie p. Żochowski mógł liczyć na to, że dawno, więc kto by pamiętał, ale nie złożył dowodu lotności swego umysłu, nie przewidując, że ja powołam się na tekst.

O szlachetnych uczuciach nie mówmy, mówią o nich świadectwa, autor sam je wystawia. Z tego powodu gdy mówi: „...niektóre strony z „Tropu” budzą we mnie głęboki niesmak. Niesmak żołnierza widzącego z daleka, jak jeden z liliputów szarpie spodnie poległego Generała” — ja widzę kabotyżującego jegomościa, który wyciąga jeszcze jedną sztuczkę z arsenału kauzyperdów, a jeśli czyni to z jakąś odrobiną żołnierskich uczuć, to przecie nie tych, których w nim brak, ale ot np. takich, jak umiłowanie instrumentów dętych i ubóstwianie rang. Jego wyobraźnia, mówi coś o jego smaku, ja go mu nie zazdroszczę.

Co się tyczy gen. Sikorskiego, jest on postacią historyczną, nie może być chroniony cenzurą sądów o nim ujemnych w imię czyichkolwiek uczuć. Chyba, że za cenę ogłupiania narodu, bo stał on na czele narodu, któż z Polaków o nim nie myślał. Ci, którzy jak ja, wypowiadają o nim sądy ujemne, mogą się mylić, zwłaszcza że w najważniejszej sprawie, mianowicie co do oceny jego myśli politycznej, opinia publiczna w kraju wydaje sąd bardzo chwalebny. Również i najwybitniejsi jego współpracownicy i kontynuatorzy jego polityki, jak b. premier Mikołajczyk i prof. Kot, świadczą na korzyść wielkości Sikorskiego, jako męża stanu. Zdania są podzielone, również co do jego charakteru, więc nim się ustanowi z jego imienia nietykalną świętość narodową, trzeba wprzód pokonać trudności procesu beatyfikacyjnego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Stanisław SEP-SZARZYŃSKI

London, 10.8.1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze

W swoim liście do „Kultury” (nr 7-8, 1960), płk. Adam J. Dąbrowski porusza zagadnienie szarż polskiej kawalerii na czołgi we wrześniu 1939, w związku z recenzją Z. Czajkowskiego i moją z książki gen. J. Kirchmayera „Powstanie Warszawskie”. Chociaż dla naszej recenzji kwestia ta ma charakter marginesowy, a ponadto — co może nie było jasne dla Autora listu — relacjonowaliśmy w tej sprawie punkt widzenia gen. Kirchmayera raczej niż własne poglądy, zagadnienie „szarż na czołgi” jest samo w sobie dość ciekawe i warto mu może poświęcić trochę uwagi.

Nawiasem mówiąc, płk. Dąbrowski kwestionuje wyrażenie „szarża konna” mówiąc, że szarżuje się zawsze konno. A jednak potocznie przyjętym w odniesieniu do nowoczesnej wojny jest wyrażenie „szarża czołgów”, a więc szarżowanie bronią pancerną. Mówiąc, że w kampanii

wrześniowej oficer polski „konno szarżował kolumny pancerne” mieliśmy na myśli niewspółmierność tej walki, w której jedna strona „szarżowała czołgami”, a druga strona — „konno”.

Płk. Dąbrowski zaprzecza, jakoby w kampanii wrześniowej szarż na czołgi w ogóle miały miejsce i nazywa to „legendą wymyśloną przez Niemców”. Widziałem co prawda niemiecki film dokumentalny „Feldzug in Polen”, na którym wyraźnie było widać jeźdźców polskich atakujących czołgi i nie uważam, aby film ten był sfałszowany. Dlaczego płk. Dąbrowski przypuszcza, że Niemcom miało być na takiej legendzie zależne? Wszak nie jest żadnym tytułem do chwały, że odnieśli zwycięstwo nad przeciwnikiem technicznie zupełnie nieprzygotowanym do wojny nowoczesnej. Mniejsza jednak o Niemców. Przypuszczam, że rzecz zasadza się na kilku nieporozumieniach. Płk. Dąbrowski użył słowa szarża w wąskim znaczeniu technicznym, rozumiejąc pod tym celowo zaplanowaną akcję, dokonaną przez wielką jednostkę konną. Takich szarż we wrześniu nie było, ale były wypadki, gdy otoczone oddziały kawalerii, przebiły się — nieraz nawet nie wiedząc o czołgach na swojej drodze — a w razie ich pojawienia się szarżowały desperacko, ponosząc ogromne straty. Czy nie to przydarzyło się 18-mu pułkowi ułanów w bitwie, w której zginął dowódca pułku, płk. Mastalerz? Jak się dowiaduję od p. Ryszarda Kiernowskiego, w dniu 28-ym września III pułk KOP-u wraz z towarzyszącym szwadronem Strzelców Konnych cofał się od Kostopola na Kowel. Pod Radoszynem zastąpiła drogę oddziałom polskim grupa czołgów sowieckich. Szwadron S.K. szarżował te czołgi — ze skutkiem fatalnym.

W niektórych okolicznościach „najeżdżanie na czołgi” miało inny jeszcze powód. Pozwolę sobie przytoczyć fragment listu, jaki otrzymałem od prof. M.K. Dziewanowskiego, rzucający istotne światło na tę sprawę:

„...chodzi o nieporozumienie wynikłe z instrukcji, jaką wszystkie oddziały kawalerii otrzymały jeszcze przed wybuchem wojny: ucieczka od czołgu jest trudna, bo czołg jest szybszy; jeżeli kawalerzysta natknie się na czołg, to powinien nie uciekać od czołgu, ale jechać szybko w kierunku czołgu tak aby znaleźć się w polu martwym broni ogniowej czołgu, oraz wykorzystać czas potrzebny czołgowi na zwrot na kawalerzystę, który go minął..

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby stwierdzić jak bardzo desperacki był to środek „uwalniania” się od broni pancernej nieprzyjaciela. Trzeba było istotnie wiele poświęcenia i... romantyzmu, by w tych warunkach prowadzić walkę. Miał więc rację Kirchmayer widząc jedno ze źródeł Powstania Warszawskiego w mentalności dowódców września, autorów takich jak powyższa instrukcja. Ale trzeba gwoli sprawiedliwości dodać, że we wrześniu nie było wyjścia, bo wojna była nam narzucona; powstanie natomiast było inicjatywą polską...

Łączę wyrazy szacunku.

Bolesław TABORSKI

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 3 trimestre 1960

TYDZIEŃ POLSKI

to najpopularniejszy i najbardziej poczytny tygodnik polski w wolnym świecie. Czytany w ponad 50 krajach, jest łącznikiem między Polakami na pięciu kontynentach.

TYDZIEŃ POLSKI

jest 12-stronicowym wydaniem sobotnim Dziennika Polskiego ale prenumeratorzy poza Wielką Brytanią otrzymują odmienne wydanie. Przynosi on co tydzień artykuły polityczne, naukowe i literackie, obszernie wiadomości z Polski i ze świata, opowiadania i reportaże. Posiada on następujące stałe działy: Najnowsza historia Polski — Kraj — Polacy w świecie — Szanowne zdrowie — Piękna pani i praktyczna — Co tydzień dzieciom — Anglo-Polish Table Talk — Nasza Skrzynka — W cztery oczy — Sport — Szachy i szachiści — Album ze znaczkami — Uśmiechnij się.

O bezpłatne egzemplarze okazowe prosimy zwracać się pod adres: THE POLISH DAILY, 45 Brompton Road, London, S.W. 3., albo do przedstawicielstw: BELGIA — J. Korab Brzozowska-Csaky, 19 Square Saintelette, App. 2, Bruxelles — C.C.P. 7315.20; FRANCJA — „Libella”, 12 rue St. Louis en l'Île, Paris (4) — C.C.P. Paris 5651.50 oraz Librairie Polonaise, 123 Bld St. Germain Paris (6); NIEMCY ZACHODNIE — St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1; SZWAJCARIA — Maria Wasung, 6 rue des Lilas, Genève, konto pocztowe Genève I — 14.431; ARGENTYNA — Zarema Bau, Calle Ramon Freire 1269, Buenos Aires, Tel.: 73-7481. Wpłaty „Giro Postal” na Zarema Bau; AUSTRALIA — Vistula (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney; BRAZYLIA — F. Rokicki, rua Republica de Peru 305, Apt. 18, Rio de Janeiro; KANADA — Michal Kinczel, 1574 Queen Street, West Toronto, Ont.; U.S.A. — H. Opalińska, Polish Book Importing Co., 38 Union Sq., New York, N.Y., Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Avenue, Chicago 22, Ill., Zdzisław Dziekoński, 572 Stanley, Birmingham, Mich., Mieczysław Tarłowski, 99 Miller, New Britain, Conn.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 c	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 2,50 NF	21 sh. 13 NF	42 sh. 26 NF
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaalkade 5, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Ave., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 3445 Marlowe Avenue, N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; Olgierd Kiersnowski, 36 Bermuda Ave., Toronto 18, Ont.; Andrzej Manteuffel, 797 Jessie Ave, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NOWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 frs. szw
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431		18 kor.	33 kor.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm			
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posnyak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890	75 cent.	4 dol.	z 6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél.: 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

BIBLIOTEKA "KULTURY" :

TOM LV

LEO LIPSKI
PIOTRUŚ

(A p o k r y f)

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., \$ 1,50)



TOM LVI

ALDOUS HUXLEY
NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT
POPRAWIONY

Przekład JERZEGO HORZELSKIEGO

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., \$ 1,50)



TOM LVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI
TKANKA ZIEMI

POEZJE

Cena egzemplarza 7 NF (10 sh., \$ 1,50)

Cena 2,50 NF